EDWARD PASZKOWSKI

# JASNE WODY

WYDANIE NOWE

NAKŁADEM
TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE
LWÓW — GUBRYNOWICZ I SYN
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
1914

# JASNE WODY

EDWARD PASZKOWSKI

# JASNE WODY

WYDANIE NOWE



NAKŁADEM
TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE
LWÓW — GUBRYNOWICZ I SYN
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
1914

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

*Jasne Wody, 31 maja.*

Trzydziestka ostatecznie wybiła.

Za mną kilkanaście mogił, przed któremi klękam z głową kornie schyloną, aby potem wstać i życiem własnem, szeregiem czynów lub nędzą bezczynu zawartości onych mogił urągać...

Potrafię to sobie powiedzieć i... grzęznę w błocie.

Kompromisy z koniecznością...

Odpowiednie locum dla ideałów — błękit nadchmurny i pierś ludzka ściśle zamknięta. Dusza ozamczona i nogi w kalosze przyodziane.

Łamać się, naginać, przystosowywać i drożyną, która do cmentarza prowadzi, ostrożnie stąpać... Byle ostrożnie, byle zdradliwych a grząskich trzęsawisk i smrodliwych bajorów unikać.

Skończyłem trzydziesty pierwszy rok żywota i od rana jestem piekielnie rozdrażniony, poprostu wściekły.

Z ganku mego mieszkania na całe gardło drę się . . .

— Karpo!... ej Karpo!...

Ogłuchł chłopak widocznie, albo gdzieś się zatartaszył i śpi.

Karpo!

Jest hultaj. Wyszedł ze stajni i powoli przez podwórze rusza, jak gdyby mnie na świecie nie było. Co za mina! Oberwany brudas, a tak niedawno uliberyowałem go należycie. Macie państwo, teraz znów Będzińska w drogę mu wlazła! Stanął i gawędzi, a o mnie ani pyta!

Jaki jednak upał szalony i co za powódź blasków dokoła. Drzewa jak gdyby pozamierały; nad ulicą, która przebiega pod dworską bramą, wisi zwarty tuman kurzu i słychać nieustający turkot wozów włościańskich, z oddali nadbiega krzyk gęsi, na lewo tuż za ogrodem Horyń mruga milionami świateł.

— Czyś ogłuchł? — pytam Karpa. Gdzie ty masz uszy, chłopcze? Kwadrans hukam, a on Będzińskiej nadskakuje.

— Ja nie słyszał... — spokojnie odpowiada Karp. Czego panicz chcą?

— Tyle razy kazałem ci drzwi wejściowe zamykać. Patrz, co tu psy wyrabiają.

Sypialny mój pokój, który mi służy zarazem za pokój jadalny, przedstawia obraz nader urozmaicony. Obrus z okrągłego stołu wraz z potłuczonem naczyniem i resztkami śniadania leży na ziemi, łóżko nie posłane, dwie poduszki ściągnięte na podłogę — na jednej spoczywa ponter Osman, na drugiej Lutnia... Lutnia symuluje urzędowe uradowanie, bijąc z lekka ogonem o podłogę, Osman przy wejściu naszem otworzył oczy i znowu je zamknął spokojnie.

O niewypowiedziana swobodo kawalerska, która przy współudziale wiecznie brudnego Karpa bokiem mi wyłazisz! Od trzech dni wycieram twarz prześcieradłem i chodzę w nocnej bieliźnie, bo Karp zapo-

mniał o praniu. Regularnie co tydzień kupuję szkło i porcelanę (Szmul Indes z miasteczka Złotogródki twierdzi, że to, co ja kupuję a Karp w spółce z psami wytłuka, jest „rzetelna porcelana“ !...); poduszkę dzielę z Osmanem i Lutnią, tytoń z Karpem, ubranie, zwłaszcza burkę, z całym zarządem dóbr Jasnowodzko-Charczańskich. Tylko kieszeń, kiedy pusta i mydło, bo psy go nie lubią, a Karp nie używa, wyłamują się z systemu komunizmu i stanowią grzeszną własność prywatną pana radcy prawnego J. W. hr. Rytwiańskich.

Los obdarzył mnie starożytnem nazwiskiem Ohija, chrzest ozdobił imieniem Aleksandra. Rysopis niezawiły: nieźle zbudowany blondyn o ciemnym zaroście; zdaniem kobiet przystojny, zdaniem mężczyzn — nie tyle przystojny, ile miły, gdyby nie pewne właściwości charakteru, które czynią moją osobę wcale jakoby nieprzyjemną.

Metier: radca prawny zarządu Jasnowodzko-Charczańskiego (czytaj: rok rocznie dwieście spraw z włościanami u „mirowika“, tyleż czynszowych, około trzystu egzekutyw, niezliczona moc drobnych i grubych załatwień u władz miejscowych, obowiązkowe upijanie się w charakterze „przedstawiciela“, obowiązkowe trzęsienie się na szarabanie przeciętnie dwadzieścia razy na miesiąc, co wytwarza w latach normalnych około dziewięciu tysięcy wiorst rocznie...).

Bezpośrednią moją władzą — hrabstwo mieszka w Paryżu — jest pan pełnomocnik Tarnobrzeski, zajmujący obszerny dwór Jasnowodzki, obok gmachu Zarządu, gdzie ja, Karp, Osman i Lutnia mamy dwa pokoje z przedpokojem i gankiem.

1*

Na mojem biurku leży dwadzieścia procesów już przygotowanych i osiem, które na gwałt wykończyć należy. A więc...

...Na posterunku!... Na wybranym posterunku...

Z nędzą ludzką walczyć... Z niedolą ciemnoty boje toczyć...

Ja Aleksander Ohij mam to czynić i walczę... z sobą. Pustka mnie gnębi, smutek znieprawia, tęsknota łamie.

— Co ja mogę?... Co ja mogę?...

. . . . . . . . . . .

Ideały młodości! Przychodzi dla was zwykle smutna chwila konania, a śmierć wasza o wiele najczęściej poprzedza mogiłę cmentarną.

Taki ideał ma niekiedy postać parującego ogniska, niekiedy krwawiącej się rany, niekiedy głowy się chwyta, niekiedy serce ssie i gorączką mózg pali.

Czasem ideałów takich zgoła nie bywa...

Czasem doczekują poczestnej siwizny...

Najczęściej nie przekraczają fatalnych punktów rozrzuconych między trzecim a czwartym krzyżem życia.

Trzydziestka to punkt zwrotny, czterdziestka to kresowa chwila próby, którą rzadko kto przeżywa z uczuciem odniesionego zwycięztwa.

W fatalnej dziesiątce ogniska wygasają, rany schną, brzuchy — rosną.

Nie zawsze, ale prawie zawsze.

Tarnobrzeski punkt zwrotny przekroczył już dawno, a co się tyczy ran i ognisk, to zdaje mi się, że na to konto łże sam przed sobą niezgorzej. Jest to operacya głaskania ideałów przy pilnem hodowaniu

żołądka, a tego rodzaju spólnictwo nigdy się pono nie kończy pokrzywdzeniem organów trawienia.

Ostatecznie dyabli go wiedzą, jak tam u niego jest w samej rzeczy. Mój pryncypał tak się otynkował dystynkcyą, tak się wszył w ścisłe formy dobrego wychowania, że nawet lat jego odgadnąć trudno, z taką umiejętnością je dźwiga.

W pachnącym gabinecie, w którym olbrzymie biurko i poważna szafa biblioteczna w ten sposób są ustawione, że wybornie się godzą z buduarowym wyglądem pozostałych mebli, Tarnobrzeski mnie się pyta:

— Więc jakże?

Na co ja odpowiadam:

— Nie wiem.

— To wola hrabiego...

— A tamto moja.

Tarnobrzeski z niecierpliwością dłoń o dłoń pociera. Z gustem wyrzuciłby mnie w tej chwili nie tylko za drzwi, lecz z manatkami za Horyń. Bo ostatecznie przy jego wszechwładzy, ja reprezentuję okrągłe zero.

— W końcu jednak zgodzić się z tem musimy, wycedzał przez zęby.

— Ja, szanowny panie, nie mogę, odpowiadam tonem urzędowym.

Niekiedy miewam nieodparty pociąg do drażnienia brytanów, których łańcuch nie hamuje i którzy mają możność zapuścić swoje kły brytanie w mizerne moje cielsko. Imponuje mi zwłaszcza wypowiedziany przed chwilą frazes o mojej woli, jako równoważniku woli hr. Tomasza.

Ohij contra Rytwiański! To brzmi coś niby

Szerpentyna contra Radziwiłł na wokandzie śp. trybunału wileńskiego.

Wpadam w hazard i staję się nawet nieco śmiesznym, wskutek zbytecznej emfazy, która w tym pachnącym gabinecie, przed chłodnem obliczem Tarnobrzeskiego ogromnie zakrawa na szkolne recytowanie wzniosłej ody.

Kończę moją oracyę nieco skromniej, twierdząc, że procesować chłopów muszę, bo szelmy kradną, a ja od tego tu jestem, żebym łajdactwa nie dopuszczał. Ale wciągać egzekwowane z chłopstwa sumy i kary do kasy jasnowodzkiej, jak hrabia pragnie, na to zakładam stanowcze veto. Musi, jakoby, pozostać tak, jak dotąd bywało: połowa z tych sum podtrzyma kuratoryę trzeźwości, a połowa powiększy fundusze szkolne.

Dalszego ciągu zniecierpliwienia na twarzy Tarnobrzeskiego nie spostrzegam. Cała jego postać wyciągnięta na wygodnym fotelu reprezentuje doskonały spokój, grzeczną uwagę, a nawet powierzchowne skupienie, chociaż prawdopodobnie śmieje się w duszy, będąc pewnym, że ja sam ze słów własnych wewnętrznie szydzę.

Z fotelu budoarowego przechodzi na fotel przed biurkiem i, przerzuciwszy kilka listów, zaczyna mówić zupełnie o czem innem. Robi to w ten sposób, że najwprawniejsze ucho nie mogłoby odczuć najlżejszego bodaj lekceważenia. Taki dystyngowany piżmowiec operuje zwykle bez hałasu i bólu.

— Co panie słychać z charczańskimi czynszownikami?

Nowa bolączka.

Odpowiadam, że jest źle, a będzie jeszcze gorzej.

— To trudno. Bądź co bądź dwadzieścia rodzin, które pięćdziesiąt przeszło lat wrastały poprostu w ziemię i przywykły uważać ją za dziedziczną niemal własność, dziś na mocy wyroku senatu pozbawiono dachu i chleba i kazano im iść precz... Dokąd?... Gdzieś się to przecież podziać musi... W Horyniu bestye nie chcą, powiadają, że na to zawsze czas, zamieszkali więc na samym brzegu.

— Jakto zamieszkali?

— Najakuratniej w świecie.

— Przecież ich wysiedlono.

— Formalnie i to dwa razy, co jednakże nie przeszkodziło im poraz trzeci zamieszkać. Pierwszy raz wysiedlił ich komornik sądowy, na drugi dzień wrócili. W tydzień potem Julski im chaty porozwalał, przenocowali pod gołem niebem — a wczoraj urządzili sobie z rumowisk szałasy nad brzegiem i znowu są na miejscu.

Przerażenie Tarnobrzeskiego zwiększam raportem o stanie wewnętrznym jasnowodzko - charczańskiego państwa.

Lista przydługa...

...Włościanie zarudynieccy zdecydowali, że sianożęć na Hnatowem uroczysku powinna do nich należeć i nie pozwalają siana kosić.

...Ekonom z Wólki raportuje, że chłopi gromadą w pole wyszli i nie pozwolili dróg pookopywać.

...W Tykiczanach trzydzieści olbrzymich sosen ukradziono z lasu.

...W Tomaszówce siedemdziesiąt kilka dziesię-

cin pszenicy chłopi spaśli, a pomocnika Zubielaka i stróża Jakimczuka tak zbili, że przywieziono obu do fabrycznego szpitala.

— Aj panie! aj panie!... mówi Tarnobrzeski, biorąc się delikatnie rękami za głowę. To osiwieć można.

— A można... powtarzam obojętnie.

— To nie do zniesienia. Niech kochany pan pomyśli nad tem, bo ja, słowo daję, poprostu głowy teraz do tego nie mam.

Po długich debatach, wychodząc już z gabinetu, otrzymuję nagle zapewnienie, że egzekwowane z chłopów sumy nie będą zasilać kasy skarbowej.

Rozumiem.

*3. czerwca.*

Strząsłem i przealkoholizowałem sobie kiszki haniebnie. Dwa dni spędziłem na wózku, dwie nocy piłem na pomyślność spraw jasnowodzkich.

Dziwna rzecz, jak cudownie działa koniak, a nawet zwykła monopolka, okraszona dobrem słowem na ludzi, których trzeba udobruchać, uprosić, życzliwie usposobić, nakłonić lub zniwelować!

Zrobiłem wszystko... zrobiłem więcej, niż wszystko...

W domu zastałem bieg rzeczy normalny.

Nasz kasyer porozumiał się z chemikiem fabrycznym, kontrolor kluczowy miał jakieś zajście z rządcą klucza charczańskiego, Julskim, ekonoma Zalipskiego złapano na kradzieży, Tarnobrzeski, żenując się odmówić, trzem obiecał jedno i to samo miejsce,

w końcu żona architekta Powierskiego urządziła wieczorny spacer do lasu z rządcą klucza jasnowodzkiego, Łosieskim.

Raportuje mi o tem przy wejściu do biura naczelnik tegoż Osadzki, raportuje mi niby na ucho, co nie przeszkadza personalowi biurowemu dodawać do słów pana naczelnika komentarze.

Naprzykład kasyer Nowolecki takiej Powierskiej zupełnie nie rozumie...

— Kobieta nie taka już bardzo i młoda, bo pewnie ma trzydziestkę, no i patrzcie państwo!... Czysta komedya taj już...

— Jak pan takich rzeczy nie rozumie, to kiepski z pana jest kasyer, bo pan rachunku nie znasz. To czysta rzecz! — odpowiada Nowoleckiemu pulchny, siwy i łysy pan Tytus Chodorowicz, zwany powszechnie Tytusem. Kobieta, panie, do lat trzydziestu, to jeszcze nie kobieta. Żyć z nią łatwo, bo ona niczego jeszcze nie chce. Ale od trzydziestu do czterdziestu lat jej wieku z nią przeżyć — ot panie sztuka! Ja panu powiadam, że nie można; ja panu powiadam nie tak sobie, aby to, ale z doświadczenia. Niema, panie na to rozumu — ot co jest! Bo w tym czasie sam dyabeł osobiście w kobietę, panie, włazi...

— Aha! — dziwi się Skrodzki. Teraz rozumiem, dlaczego Stawiński mówił, że teraz to nie, ale kiedy żona będzie miała lat trzydzieści, to jak on czwarty już krzyżyk przebędzie...

— Nie przebędzie! za nic nie przebędzie!... śmieje się Tyfus.

— Patrzcie państwo! więc to tak trudno?

— Niepodobna! — twierdzi Tyfus. To jest on,

jeśli nie powiesi się, to przebędzie, ale jak? Szklanki lecą, lampa leci, samowar leci, lampa, panie, z kirasiną — uważa pan?... z palącą się kirasiną leci, zjawiają sią jacyś Łosiescy, jakieś lasy, jakieś bady; bo żona ciągle czegoś chce... I żebyś pan ze skóry wylazł, żebyś pan zdrowie stracił, to jak ona ma lat trzydzieści, to jej zawsze mało. Powiadam panu, z doświadczenia panu powiadam, że w tym wieku dyabeł w babę włazi i rób co chcesz.

I tak dalej!... I tak dalej!...

(*U Powierskiej*).

Po długiem kołowaniu dojeżdżamy z Powierską do owej głośnej wycieczki z Łosieskim do lasu.

Siedzimy w saloniku o ścianach bielonych wapnem. Troje okien, kwiaty, gustownie obite i artystycznie ustawione meble, pianino, lustro olbrzymie kilkanaście wspaniałych sztychów w bogato bronzowanych ramach. Duży miękki dywan, osłaniający całą prawie podłogę, potęguje wrażenie ciepła i ciszy, oraz podkreśla efekty świetlane, przepełniające pokój wraz z delikatnym zapachem kwiatów i subtelnych perfum kobiecych.

— A panu Olkowi co do tego? — uderza mnie po ręku i śmieje się.

Jak ona cudownie się śmieje. Jak ona w ogóle porywająco jest piękna z tem bogactwem matowo-kruczych włosów na głowie, z ciepłym kolorytem twarzy, z pełnemi blasku oczyma i klasycznie rzeźbiącym się pod jasną letnią bluzką gorsem.

— Pani prawdopodobnie mnie nie rozumie... Ja, proszę pani...

— Ależ wiem! ależ wiem! Niech pan nic nie dodaje, bo panu to trudno, a ja rozumiem doskonale, o co panu idzie. Pana to dziwi?... — pyta głosem przepełnionym jeszcze echami srebrzystego śmiechu.

Naturalnie, że mnie to dziwi... Chociaż... Nie!... ona jest stanowczo za piękną i dyabelnie blizko siedzi obok mnie. Że też się takie rodzą i dostają... Powierskim!...

— Panie! trzeba panu wiedzieć, że ja mam moich szpiegów. Panie!... — mówi dalej Powierska z komiczną powagą. — Mój mąż, ten biedny zdradzony Powierski, wie również o mojej zbrodni i ciocia Kocia także...

— Jakto ciocia Kocia?

— Bo ciocia Kocia była ze mną, z Łosieskim i z Klopsem.

— Co znowu za Klops?...

— Pan Olek nie wie, kto to jest Klops?... A panie!... ignorancya nie do darowania. Klops to sławny obrońca cioci Koci, a teraz to i mój, a właściwie obrońca honoru tego biednego Powierskiego, bo on to właśnie, mops fabryczny, zwany Klopsem, do lasu nas nie puścił...

— Więc państwo nawet w lesie nie byli?

— Niestety, panie, nie. Klops wrócił z pod lasu, niemiłosiernie skowycząc, panna Kocia wróciła, bolejąc nad losem Klopsa i nad brakiem serca u Łosieskiego, ja wróciłam także, tylko p. Łosieski został w chacie Hnata Buby, bo zęby Klopsa uczyniły dlań dzienny powrót niemożliwym.

— Pan nie wierzy? Niech pan mi da swoją

rękę.,. Niech pan mi w oczy patrzy... No tak!... Wierzy, czy nie wierzy?...

W jaki tu u licha sposób można takiej kobiecinie nie wierzyć... dwadzieścia cali odległości od falującej piersi, a przytem ta ręka, która dziwnie jakoś moją ściska i te oczy, które mnie palą!... Zwłaszcza ręka... Nie... Ręka i oczy... Fu!... jest mi gorąco. Jeszcze do dyabła nie wytrzymam i zanadto naprzód się pochylę... To przecie bywa.

— Moje uszanowanie panu Powierskiemu.

— Nie omieszkam według adresu skierować... śmieje się Powierska.

Ile razy ją ogadują, tyle razy sprawdzam to na miejscu i zawsze przekonuję się, że ludzie łżą haniebnie.

Muszę jeszcze nadrzeć uszu naszym paniczom. Dziś rano ująć się za Powierską publicznie nie mogłem, bo gotowiby puścić pufa, że jestem w wolnej spółce z Łosieskim. Miłe stosunki, niech to wszyscy dyabli wezmą!

. . . . . . . . . . . . .

Dziś jednakże zrobiła na mnie wrażenie o wiele silniejsze, aniżeli dawniej. Doktor nasz Grabowicz nazywa stan taki zacietrzewieniem samczem i twierdzi, że jest to choroba ogólnie chroniczna, a chociaż ulega niekiedy niebezpiecznym komplikacyom, to w większości wypadków przebieg ma spokojny, a istotę do obrzydliwości niezłożoną i wstrętną.

Poezyę miłości zdaniem Grabowicza, robią waryaci i durnie, którzy nie rozumieją, że w ciele ludzkiem miejsca na poezyę Pan Bóg nie zrobił.

Wyraz „mąż“ w terminologii rzeczywistej powi-

nien oznaczać męczennika, który za cudzem się ogląda, a swojego broni i obronić nie może.

To też on, Grabowicz, poprzysiągł sobie urzędowe dziewictwo, bo woli z cudzego chłeptać, niż nad obecnością cudzych jęzorów w swojej własnej misie ubolewać.

Spotkałem go na załomie drogi obok mieszkania Osadzkiego. Kościstą jego postać, ustrojoną w niemożliwie powyginany kapelusz, ujrzałem zaraz po wyjściu od Powierskiej, lecz swoim zwyczajem szedł tak szybko, że dopiero tu dopędzić go zdołałem. Towarzyszył mu nieodstępny Bekas, w ręku niósł pudełko z narzędziami chirurgicznemi.

— Skąd walisz, Grabie?

— Od Kierkiewiczów. Dopomagałem obywatelce ujrzeć światło dzienne.

— Z wigorem — staruszek! — uderzam doktora po ramieniu. Wszakże on, ten twój Kierkiewicz, ma z górą sześćdziesiątkę.

— Zwyczajna rzecz — odpowiada Grabowicz. — Jak tylko mąż ma dużo lat, to napewno żona ma dużo dzieci. O to widzisz, nie trudno.

— Nie pleć głupstw, Grabie. Powierską znowu wzięli na języki.

— Wiem. Sobaczy interes... Rozerwane spodnie, wyłojone boki kundysa, krwawiące się serce czupiradła Koci i w rezultacie nowa plotka... A ty bogobojny Ohiju chodziłeś rzecz sprawdzić na miejscu?... co? I takiemu także się zdaje, że jest Samarytaninem... Wieczna komedya!

— Żal mi kobiety...

Grabowicz stanął pośród drogi, założył w tył ręce, przysiadł na kiju i badawczo patrzył mi w oczy.

Bekas za przykładem swego pana również ulokował się na tylnych łapach i melancholijnie z wrodzonym sobie spokojem łapał muchy, szczękając od czasu do czasu zębami.

Doktor jest to bardzo chudy i bardzo brzydki trzydziestoletni szatyn. Twarz płaska o wydatnych kościach, czoło ogromnie wysokie, gęste długie włosy, olbrzymie wąsiska i olbrzymia broda. Zdaniem Powierskiej w dużych szarych jego oczach najczęściej dyabły skaczą, ja znowu dostrzegam w gęstwinie jego wąsów wyraz niesłychanej dobroci, którą Grab próżno marsem maskuje.

— Daj mi rękę — mówi do mnie zupełnie poważnie. — Źle... Puls przyśpieszony, krew młotem wali, podniecenie jest... Niech je dyabli wezmą, te baby!... Istna epidemia... Nałyński, Łosieski, teraz znowu ten... także gotów.

— Jakto Nałyński?

— Zostaw, serce — wzrusza ramionami Grabowicz. — Ty wiesz swoje, a ja wiem swoje. Wszystkich was Powierska pali, nawet Tarnobrzeski przejawia symptomaty chorobliwe.

— Macie państwo! nowa zatem choroba. Cóż to za licho ta „febris amorosa“, Grabie?

— Febris, nie febris, lecz choroba jest. Przeczytaj rozprawę niejakiego Fleury „Introduction à la medicine de l'esprit“. Pyszny facet. Prawdę znalazł i do rozanielonych, obłąkanych mózgów ją wpycha. Stara się wyjaśnić psycho-fizyologiczny mechanizm miłości... Jak się to tobie, Ohij, podoba: psycho-fizyologiczny mechanizm miłości! Herezya?... Łosieski na pewno powie, że herezya. A tymczasem w takim naprzykład Paryżu w czasie grasowania influency

ogromnie się powiększyła ilość zakochanych zazdrośników. Czy ty to, Ohij, rozumiesz? Zatrucie miłośne, zależne od stanu kiszek, odporności nerwowej, normalności serca, od pogody, temperatury, pór roku i godzin Ohija, w końcu od przepełnienia lub pustki w żołądku...

— Jakąż rolę w tej zawiłej machinacyi gra twojem zdaniem Powierska?

— Jaką rolę gra Powierska? Jest to wierutny potwór — decyduje Grabowicz. — Podług was jest to znieważany anioł, a ja, serce, wolę już twoją panią Julię...

— Co znowu za pani Julia?...

Grabowicz ma minę niesłychanie niewinną.

— Uspokój się. Grab milczeć potrafi. A zawsze taki, serce, wolę Nałyńską, która wie, czego chce, niż takie, co to obiecują okiem, a w gruncie nic nie dają, każą się jeno domyślać, nie tracić nadziei i wzdychać.

— Ale czego ty chcesz właściwie od Powierskiej?

— Czego ja chcę od Powierskiej? Ja od Powierskiej nic nie chcę i radbym, żebyście i wy od niej nic nie chcieli, — wzrusza ramionami Grabowicz. Podły typ... Z zachodu przyszedł i został... Ogromnie bo też do smaku przypadł naszym niepokalanym Polkom. Francuzi nazywają takie baby „alumeuses“, rozumiesz? Piękne zajęcie. Przyjemne, uważasz, i niewinne... Bo cóż znaczą takie półsłówka, półruchy, półwrażenia, które wyładowują się li tylko w imaginacyi, a zewnętrznie granic platonizmu nie przekraczają?... Taka śnieżna matrona zamiast fizycznego kochanka ma stu imaginowanych, oddaje się w myśli

pierwszemu lepszemu i uważa, że ma prawo cały „entourage“ męski denerwować i wymęczać. Jest piękną, więc powinna być wielbioną, pozostaje zaś śmieszną, bo jej poemaciki miłośne nie miały swego...

— „Mot de la fin...“ — dorzucam z uśmiechem.

— Pyszna teorya! dalibóg tak pyszna! — irytuje się Grabowicz.

Po chwili woła:

— Głupstwo! z wami tylko się spotkaj, to zaraz baba nogi ci poplącze. Kobieta... Na dnie każdego świństwa, każdego łajdactwa, gmatwaniny, choroby, zbrodni... zawsze baba!... Wiecznie ona... — Głupstwo! są rzeczy ważniejsze. Szpital mam ciasny— rozumiesz? Ośm łóżek to farsa, wielkopańska blaga, a nie rzecz. Potrzebuję łóżek przynajmniej dwanaście.

— Potrzebujesz, ale nie otrzymasz.

— Jak mówisz?

— A tak mowię, że nie otrzymasz.

— Dlaczego?

— Jesteśmy w fazie oszczędności.

— Spekulacya na kiszkach ludzkich — mruczy Grabowicz.

*4 czerwca.*

— Gutek!...

Milczenie.

— Gutek!...

— Zbrodnia, Olku...

— Dlaczego zbrodnia?...

— Widzisz w tem jest nie zupełnie to, o czem ty myślisz. Tak... Poza obrębem tej nędzy fizycznej, która stoi przed nami jako wynik naszej zbrodni, jest jeszcze jeden gatunek bolu, który myśmy stworzyli... Nie przecz, Olku. My! my! my!... Gdzieś w głębiach duszy mojej noszę krzyk tego bolu, za gardło mnie to chwyta, w twarz bije, po prostu policzkuje — rozumiesz?...

Rozumiem, że jest w obecnej chwili porywająco piękny ten Gutek Łosieski, który mi śmiga przed oczami, rzucając się wśrod czterech ścian mego saloniku. Średniego wzrostu, szczupły i zręczny, twarz sucha i smagła, kruczy włos krótko przystrzyżony, głowa kształtna, zgrabny wąs i oczy — ciemne, przepaściste, iskrzące się milionem płomieni, dziwnie zagadkowe, niesłychane oczy... Oczy, w których skupia się cały Gutek... Oczy, których czasem nie rozumiem i które kocham; które zasłaniają mi twarz Łosieskiego, bo gdy pomyślę o jej rysach, widzę jeno dwa roztęsknione ogniska duszy Gutkowej.

— Słuchaj Gutku...

— Daj pokój — przerywa Łosieski. — Wiem, co mi powiesz. Zrównoważony Grab zamiast proszku bromowego ofiarował mi to w ilości obfitej... Przecież to jasne... Główne, że oni racyi nigdy nie mieli... Widzisz, te dwadzieścia rodzin czynszowych od pięćdziesięciu przeszło lat bez żadnych prawnych podstaw zajmowało szmat jasnowodzkiego państwa. Wprawdzie zżyli się z tem, w ziemię wrośli, dzieci im tu powyrastały, wnuki się porodziły... Ale praw — żadnych! A prawa — grunt. Ty, jako jurysta, doskonale to rozumiesz. Więc praw żadnych, a zamiast praw —

łaska... Tarnobrzeski człowiek rozumny i uczciwy. Chciał ich zabezpieczyć, chciał ich przyznać za czynszowników i oddać im sadyby i ziemię orną na wykup, byle w instytucyach czynszowych nie żądali serwitutów leśnych...

— Ale oni zażądali... Szmul Igdał ich podmówił. Zaczęli proces i przegrali... Muszą z ziemi iść precz, a rąk nie mają o co zaczepić, bo wszystko, co mieli, wyssał Szmul... Myśmy naturalnie niewinni, bo dawaliśmy im tyle, ile słuszność kazała... Winien Szmul... Poczekaj... Ja wiem... wiem — Szmul!...

Twarz mu się przekrzywiła, w oczach szalał huragan bolu. Zmilkł na chwilę i jak gdyby się uspokoił. Rysy twarzy ściągnęły się i zmartwiały.

— Czekaj Olku! Ty wiesz, że ja frazesów nie lubię, ale i głaskać siebie po łbie także nie lubię. Lud, wśród ludu, dla ludu... głupstwo! Stek wyrazów, które można usłyszeć po całonocnem łajdactwie, dusząc głową pierś wszetecznicy i lejąc jej na suknię ostatni kielich szampana... Głupstwo!... Ale, widzisz, stać w samym środku tego mrowiska, które przez własną głupotę samo siebie zjadało i doczekać się z założonemi rękami ostatecznej jego zagłady, to już jest świństwo, a myśmy to świństwo zrobili.

Gutek ma racyę — myśmy winni. Wprawdzie i dziś nie widzę możności powstrzymania tych biedaków od bezowocnego procesu, a jednak — nasza wina! Żyd do wyzysku znalazł środki, my ku obronie powinni byliśmy wyszukać odpowiednią drogę. Brak zaufania ze strony gromady przez żyda opętanej, to także nasza wina, spadek ojcowski przez nas ugruntowany, a tłumaczyć nowy grzech starym grzechem, to jak powiada Grabowicz, jest zawracaniem

kontrabasu, który porządnego sumienia ukołysać nie jest w stanie.

Łosieski stoi przy otwartem oknie, ma przed sobą barwny trawnik, w oddali nad brzegiem rzeki wyrasta grupa brzóz płaczących, Horyń skrzy się różowym blaskiem, zachodzące słońce kawał błękitu purpurą okryło.

Długa chwila milczenia.

— Gutek!

Drgnął i na fotelu obok okna usiadł.

Wiem od proboszcza z Szuwarowa, że Łosieski już trzeci miesiąc prawie całą pensyę oddaje pokryjomu tym biedakom, którzy teraz nad brzegiem rzeki w szałasach mieszkają.

— Gutek! uspokój się, pałko szalona. Tarnobrzeski piżmowiec, ale w gruncie człowiek dobry. — Zostawić tych biedaków w Charczanach niepodobna, bo hrabia się zajadł, zresztą klamka zapadła... Ale coś się obmyśli.

Łosieski smutno głową potrząsa.

— To Olku nie to, to zawsze jeszcze nie to... Wy myślicie — chleb... Wiecznie, wiecznie ten chleb! W mundury robocze dusze poubierać, w mundury z wysokiemi kołnierzami, żeby łby nad poziom nie lazły i brzuchy pozapychać! Ano ja wiem, że one mają swoje prawa... te brzuchy...

— Ja to wiem!... — powtórzył i zamilkł.

— A jednak... — zaczął cichym głosem.

Wzdrygnął się.

— Byłem wczoraj nad Horyniem, tam, gdzie te szałasy powyrastały... Przed tygodniem jeszcze osada, dziś szałasy... Wiatr błąkał się wśród opuszczonych ogrodów i wśród nagich szkieletów rozebranych

sadyb, chmury kłębiły się w górze, tylko nad Hnatowem uroczyskiem wisiał kawał czystego błękitu, a Horyń płynął cicho, zasłuchany w szelest szuwarów i szum pszennego łanu, który nad brzeg wybiegał... Płynął spokojny, jak zawsze... Pamiętasz Borkowskiego? Siwy, olbrzymi chłop, najstarszy w osadzie, równy i silny, jak omszały dąb, co setki burz przetrwał i w zdrowiu wieki przeżył... Borkowski!... Zgarbiło się chłopisko, na twarzy miał smutek i tęsknotę... Stał nad rzeką i ku lasom patrzył...

Łosieski zamilkł i znowu mówił cichym głosem.

— Tarnobrzeski im pomoże, ale tego kąta nad Horyniem, tego kąta, skutego wstęgą lasów im nie wróci... Brzuchy tylko...

Zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem.

— Żreć przecie i płodzić się mogą bodaj w tajdze, wśród śniegów polarnych, byle kożuchy były...

Wzdrygnął się powtórnie.

— Widziałem Olku dziecko, trzyletniego malca, który miał piekielnie dziwne oczy... Pamiętasz historyę z Julskim?... Za gwałt nad Odarką Jakub Julskiego potłukł, a potem w więzieniu się powiesił. Synek Jakuba, w miesiąc po jego śmierci na świat przyszedł... Takich oczu nie widziałem nigdy... A potem Hanka... Starej Bondarychy wnuczka, Hanka... Nazbierała bławatków i szła miedzą... Słońce zachodziło, w jasnowodzkiej cerkiewce dzwony biły... Horyń pomykał wśród łanów dojrzewających i łąk zielonych, zakręcał obok wydmy piaszczystej i w las sosnowy się wsuwał... Hanka szła... Może raz ostatni po tej miedzy bławatki niosła...

— Słuchaj Olku! zerwał się nagle. Czy ty

myślisz, że wszystkie szuwary jednakowo szeleszczą, czy ty myślisz, że grupa brzóz srebrzystych, z któremi o pewnej godzinie wiecznie jednakowo gra słońce, nie może w duszę ludzką się wtłoczyć, że Horyń w duszach tych ludzi nie wyżłobił takich zakrętów, jakiemi się gnie i łamie między ich dawną osadą i Hnatowem uroczyskiem?... Czy ty myślisz, że pod łachmanami siermięg tych szarych niema dusz smutnych, tylko są brzuchy głodne i syte?... Olek!... przecież to nieprawda... Do djabła wszelkie sentymenty, ale nie można łamać i plugawić prawdy, która sama w oczy się pakuje. Nie wszyscy — zgoda! Niech będzie stary Borkowski, niech będzie malec, któremu ból matczyny na wieki w oczach pozostał i Hanka... Na stu ludzi — troje... Dosyć!... Przez litość Boską dosyć... To wystarczy, ażeby zbrodnię naszą nazwą szatańską — obdarzyć... Trzy dusze ludzkie umęczone...

Trzy prawdziwe dusze ludzkie bólem zalane... Rozumiesz, Olku?... prawdziwe dusze!... A dusza ludzka toć przecie świat cały... Zasmucić jedną, czy zasmucić ich milion milionów — to zbrodnia jednakowa... Bo dusza to świat — sam w sobie świat cały!...

Zbladł, usta mu drgać zaczęły, a z oczu biegły snopy iskier. Potem uspokoił się, tylko jak u małego dziecka ból dokoła ust ślady zostawił. Oczy przygasły i były bardzo smutne.

— Ja może, Olku, przesadzam, ale wszystko to jest piekielnie potworne. Na czterdziestu tysiącach dziesięcin ziemi dla stu ludzi miejsca zabrakło. Muszą iść precz... Dzieci Szmula Igdała, dzięki tej aferze, do szkół pójdą, do inteligencyi przejdą, znajdzie

się między nimi może nowy Rotszyld, który rynkami świata trząść będzie. Więc Hanka musi iść precz... Precz z pod cieni nadhoryńskich brzóz i sosen, precz od tych szumów i blasków, które tylko w cichy wieczór wzdychają, tylko tu nad równiną łąk i łanów złocistych świecą... Smutna dusza Hanki i wielki bankier przyszłości... Naturalnie bankier, naturalnie zdrowy rozsądek, który z głupich majaczeń moich urąga.., Potworne!... potworne!...

Łosieski porywa mnie z sobą. Wpadam w bezkresowo olbrzymi bezmiar jego nastroju, rzucam myśli, które i mnie, o ile nie panuję nad sobą, wypalają mózg i serce.

Chwilami głosy nam drżą, jak małym chłopakom, gdy o zmroku rozpowiadają sobie straszne historye o złotowłosej promiennej królewnie, która śpi pod strażą brodatych gromów, zaklęta władzą czarodziei, którzy o zmroku z nadchmurnych zenitów przychodzą i po ziemi czary swe snują i zaklęcia rzucają.

Złotowłosa promienna pani!...

Mamy ją... Jest z nami i dusze nasze łączy, łagodzi ból, który na strunach roztęsknionych serc rozpacznie brzęczy. Gorycz rozpływa się w smutku cichym, chwilami elektryzują nas niecielesne drżenia przeczuć i upojeń, które z ciszy tej nocy letniej z dźwięku rozkołysanych nastrojem słów naszych własnych płyną.

Siedzimy na ogrodowej ławce u stóp wzgórza, na którem sędziwy dąb wyrasta i rozpościera na sennym błękicie pokręcone swe konary, błogosławiące ziemi ręce olbrzyma.

Słońce zaszło, niebo wyiskrzyło się gwiazdami, z ponad sosnowego boru wyjrzał olbrzymi, krwawy

księżyc, niby groźne oko nieskończoności, która na nas spogląda w majestacie bezbrzeżnej ciszy i spokoju.

Czujemy, że tuż w pobliżu przewija się Horyń, a nad Horyniem łany zbóż uśpionych stoją, błękitne chabry rosę piją, wydłużone ramię sosnowego lasu, niby wał strażniczy, czarną linią objęło horyzont.

Jest tęskna, upajająca cisza nocy letniej, gdy ziemia czeka świtu, aby powstać i żyć.

. . . . . . . . . . . . . . .

Odprowadzam Łosieskiego do bramy dworskiej. Koło trawnika przed gankiem dworskim spotykamy Powierskiego.

Okropny...

Drobne, nędzne jego ciało, jak gdyby pokurczył ból jakiś wewnętrzny. Twarz blada, ręce drżą, oczy błyszczą a czoło fala cierpienia w zmarszczki pościągała.

Drgnął i widocznie robił nadludzkie usiłowania, aby ukryć wzruszenie, którem był przepojony.

— Dobry wieczór! — ściskał bardzo gorąco, zwłaszcza ręce Łosieskiego. — Tylko co wróciłem z Karolówki. Przejazdem przez Złotogródkę znalazłem u Hindesa wspaniały sztych... Co za robota!... Pan to oceni, panie Gustawie... A w domu znalazłem dywan puszysty... Nienawidzę dywanów..., Che! che! czy panowie znacie dywany, które nogi palą?... Takie puszyste, takie bardzo puszyste... Nogi palą... Niektórzy boją się pająków, a ja do puszystych dywanów wstręt czuję... Ja po Marynię, bo moja żona z panią Będzińską do parku podobno poszły.

— To pan przed wieczorem wrócił?

Powierski kiwa głową.

— Objechałem obadwa klucze. Źle, panie Aleksandrze. Epidemia rośnie, tyfus ludzi dławi, a teraz znowu szkarlatyna... Dziatwa mrze.. Grabowicz wojuje i boi się... Milczy, ale ja wiem, że on o swego malca drży.

Grabowicz ma przy sobie pięcioletniego wychowańca.

— Che! che! — śmieje się Powierski. Może szkarlatynę własnemu dziecku przynieść, szkarlatyna może przyjść sama, a wtedy... Wtedy w domu jedno rodzone dziecko, a po za domem setka dzieci obcych... On doktor jeden i śmierć... jedna... Nikogo nie przeoczy, jego doktorskiej miłości nie uszanuje — śmierć ... los!

Wstrząsnął się cały.

— On przynajmniej walczy—zaczął znowu złym, zjadliwym tonem. Che! che!... melodramaty mają swój urok... Walka... Obowiązek i serce... Che! che!... i serce. Jest urok, piekielny urok, ale jest...

— Ja, moi panowie, znam coś gorszego... Naprzykład ból powolnej śmierci, połączonej z bezwładem... Siedzieć i zamierać... czekać i zamierać... wyć, bo serce kawałkami kona i nie może doczekać się końca!... Ciało skrępowane, a woda coraz wyżej, a w wodzie żmija coraz to w serce się wgryza... W sercu żmija a nad głową — błękit i cisza, światło i szczęśliwość promienna!...

Gutek ma twarz stanowczo obłąkaną. Wpatrzył się w Powierskiego i widocznie wyrazy jego wprost połyka, a piersią ledwie nieco powietrza zachwycić jest w stanie.

— Masz pan słuszność — przerywa mu nagle. — Głównie to, że nad głową błękit wiecznie

głęboki i promienny... Harmonijne, pełne dźwięki życia, huragan blasków i barw... Spokój... ach!... spokój taki bezmiernie olbrzymi i potężny!...

— A fala, panie Gustawie, powoli się wznosi, ciało coraz to bezwładnieje, żmija w serce się wgryza i serce kawałkami zamiera... Milion konań, milion śmiertelnych czkawek duszy... Che! che! che!... — śmieje się tryumfująco, prawie radośnie Powierski. — Zdaje się, że ból dosiągł szczytu, a no nie, panie Gustawie!... To zaledwie podnóże, a wyżej ból i jeszcze ból... bez końca, bez miary...

— Bez miary! — posępnie wtóruje Łosieski.

Zmilkli.

Powierskiemu nagle twarz się zmienia. Jedną sekundę z oczu tryska nienawiść z odcieniem piekielnej zawziętości, potem rysy kamienieją, wzrok przygasa, a nawet jest bardzo, ogromnie smutny.

Z poza pałacu wynurzają się trzy sylwetki. Na przedzie Tarnobrzeski pod rękę z Powierską, nieco dalej sunie Będzińska, rządczyni domu pana pełnomocnika.

— A!... i Józio... kiedy wróciłeś?... — uśmiecha się Powierska. — Dwie godziny spacerowaliśmy po parku z panem Tadeuszem. No, a teraz dosyć... Pan mąż wrócił, wsuwam się w postać patryarchalnej małżonki i idę karmić „tego biednego Powierskiego“... cha! cha! cha!... Ofiaro, biedoto ty moja!.. Dobrej nocy panom...

Tarnobrzeski całuje ją w rękę.

— Pan, panie Gustawie, z nami?...

— I ja państwa przeprowadzę.

— Tyle zaszczytu... przysiada pani Marya.

Tarnobrzeski nam się kłania, my zdejmujemy również kapelusze.

Za bramą Powierski przystanął.

— Muszę zajść na folwark. Przeprowadźcie panowie Marynię.

Idziemy „en trois“.

Powierska wsunęła rękę pod ramię Łosieskiego, ja towarzyszę jej z drugiej strony.

— Czy ma pan z sobą, panie Aleksandrze. wodę kolońską? Co?... No to proszę o kilka kropel.

Wysunęła ku mnie ręce dłońmi na dół, a otrzymawszy polanie, wytarła je chusteczką.

— „Bien“... A teraz całujcie panowie... w jedną rękę i w drugą... Jak ten znowu całuje?!... — Pan przecież śmiesznie całuje... — zaśmiała się do Łosieskiego.

— A pan?.. No!... pana uczyć, jak widzę, nie trzeba.

Płomienie czuję na plecach. Z trudnością odrywam usta od miękkiej łapki, która moją rękę nieznacznie ściska.

— Jacyście wy panowie wszyscy śmieszni! — drwi Powierska. — Jeden ubiera się w togę i jest srogi... oto ten pan — wskazała na Łosieskiego. — A drudzy... Naprzykład mój mąż... W życiu — tragik, w duszy — poeta, symfonie układa, sztychy zbiera i jest... architektem. Nie mąż, ale nastrojowo-tragiczny architekt... Czciciel sztuki, który akademię rzucił i na wsi się zagrzebał, aby módz być mężem... pani Powierskiej... Cha! cha!... A tamten... Dwie godziny chodził ze mną, po parku i drżał... Formalnie trząsł się, a potem wąsami ręce mi pokłół...

— Do jakiegoż gatunku ja się zaliczam?

— Pan Olek?... Daj pan ucho... Nie!... potem panu powiem. Kiedyś... kiedyś... kiedy już będzie zapóźno. Chodźcie panowie do nas na herbatę.

— Ja nie mogę... — tłumaczy się Łosieski.

— A ja nie proszę... — rzekła — i słowa nie złamię. Kato — nawet w trakcie zaprosin na wieczorną herbatę. A pan, panie Aleksandrze, także nie może... Mego męża niema w domu, a pan się mnie boi... zwłaszcza dziś...

— Dla czego zwłaszcza dziś?...

— Robota doktora... — śmieje się pani Marya.

— Nie rozumiem.

— A ja rozumiem. Spotkałeś pan Grabowicza wyszedłszy od nas, a doktor to mój wróg...

— Znowu nie rozumiem. Nie widzę dobrej racyi, dla którejby Grabowicz był wrogiem pani.

— Jest, panie Olku — jest! Takie rzeczy my niewiasty zwykle przeczuwamy, ale z Grabowiczem nawet przeczucia są zbyteczne... Pytałam raz tego pana, co mam uczynić, aby uzyskać jego doktorskiej mości życzliwość... Odpowiedział mi krótko — „nie grzesz!...“

Zaśmiała się głośno. Jakaś nuta fałszywa szybko w jej śmiechu zadźwiękła i zmarła.

— Nie grzesz!... nie grzesz!... — wołała znów wesoło. — Jak ja, proszę pana, mogę nie grzeszyć? Jak?... Za małżonka posiadam stare pożółkłe sztychy, mieszkam na poetycznem wzgórzu nad Horyniem, a otacza mnie lud, grzechów moich do zbytku żądny... A mianowicie — wiekowy pan Tadeusz Nałyński, którego żona do Jasnych Wód nie puszcza, natarczywy... cha! cha! cha!... natarczywy pan Ohij

i signor Łosieski, taki pan, który nosi w oczach piekło i pozostaje... Katonem. Chociaż posiada wszelkie dane, aby się we mnie zakochać, gdyby nie...

— Dla czego grasz pani komedyę?... — sucho przerywa Łosieski.

— Panie Gustawie!...

— Od kwadransa jesteś pani na scenie... — sucho powtarza Łosieski.

Zaśmiała się nerwowo.

— Pan wiecznie scenę widzisz... Paonowe wspomnienia... ojciec Turliński, który dziś spokojnym kuchmistrzem i... ona!

— Komedya!... — cedzi Łosieski.

— A pan...

Urwała i spoważniała nagle.

— Zrobiłam dziś pyszną zamianę — zwróciła się do mnie. — Jakiś obrzydliwy sztych wpadł w oko Tarnobrzeskiemu; naturalnie otrzymał sztych a ja cudowny puszysty dywanik ku umartwieniu biednego Józia... Ale otóż jesteśmy... Dobrej nocy panom.

— Całujemy rączki.

— No! no!... to już za odważnie — wyrywa mi swoją rączkę Powierska. — A teraz niech wielmożny tragik dobrodziej złoży kawał lodu na moim ręku... Brrrr!... doskonale. Ciekawa jestem, co się panom przyśni?... Józiowi naturalnie stracony sztych, panom — nie wiem... A mnie?... panie Aleksandrze, czy wolno mi o panu pomarzyć?..!

— Do usług pani...

— Wybornie. Proszę się kłaniać Grabowiczowi.

. . . . . . . . . . . . .

Wracamy środkiem ulicy uśpionej wioski. W chatach wieśniaczych światła pogasły, koło zabudowań

gospodarskich stoją wierzby ciche, w sadach ptactwo usnęło, usnął i wietrzyk rozmarzony blaskiem księżyca, który wbiegł na wyżyny gwiazdami usiane, srebrzy Horyń, błękitnawą dymką zasnuwa pola i łąki aż hen ku lasom, które je mocnem ramieniem objęły.

— Żal mi Powierskiego — powiada Łosieski. — Jedna z tych dusz smutnych, które w nędznem ciele mieszkają i rwą się dyabli wiedzą dokąd... W uszach tego chyrlaka grają dźwięki, które nie każdy z nas słyszy... Umie patrzeć... umie czuć i kochać... Tak!... Ta dusza głęboka pokręconem ciałem okryta, ma nieszczęście kochać się we własnej żonie... Przedemną się nie kryje, związał mnie tą ufnością swoją.

Wzdrygnął się.

— Tak... ja dla niego nie jestem straszny... Jak to Grab mówi?.. co? Nie chce cudzych jęzorów do własnej misy wpuszczać... cha! cha! cudze jęzory... Powiedz mi Olku, dla czego w każdym domu jest jakiś dyabeł, który szczęście wykrada i do jamy z pomyjami wylewa?!... Nawet Nałyńscy...

— Co Nałyńscy?...

— Nie wiesz?

Spojrzał na mnie badawczo.

— Ano myślałem, że wiesz...

— Co wiesz?... Tam chyba cudze jęzory...

— Nie żartuj Olek!... Pani Julia, to kryształ... Na dobitkę kochają się, jeno dyabeł wciąż szczęście wykrada i do jamy z pomyjami leje.

— Nie rozumiem...

— Dajmy temu pokój! — machnął ręką Ło-

sieski. Nie wiesz wypadkiem kto tych biedaków z nad Horynia będzie wypędzał?

— Pewnie Julski.

— Wyłże się...

— To poślą kogo innego.

— Tak... kogo innego.

Zmarszczył brwi i milczał chwilę.

— Dobranoc ci Olku. Zaraz tą drogą będzie wracał Powierski. Będzie zacierał nasze ślady, będzie niósł koszlawe swoje ciało, aż tam na wzgórzu i ułoży je do snu w pobliżu dywanu, który jest puszysty i pali... Tak... Zaraz po tej drodze, zasnutej blaskami księżyca, będzie się wlokła smutna dusza Powierskiego... A tam nad Horyniem inna dusza tęskni... Stary Borkowski nie śpi i Hanka marzy... Spluń Olek!... Albo w łeb sobie wypal... Jedna mała kula zagadkę rozwiąże...

— Dobranoc ci.

— Dobranoc...

. . . . . . . . . . . .

Na ganku mego domu Karpo chrapie, Osman i Lutnia w braterskiej zgodzie tuż obok Karpa, skręciwszy się w kółko, śpią. W pokojach cisza, księżyc gospodarzy, zapach nocy czerwcowej wbiega przez otwarte okno z uśpionego parku...

Nie jestem sam...

— Jest ze mną, a raczej we mnie...

Trzydziesty drugi rok życia... W onym czasie zawsze musi przyjść jakaś „ona“ i sercem owładnąć.

Boże!... jakie to głupie i niesłychanie prawdziwe... Dokoła ciche, ciepłe przystanie, alabastrowe, jasno płonące lampy, drobne kędzierzawe główki, cały szereg małych, zamkniętych w sobie światków...

A w twoim domu pustka, a wśród tej pustki serce tak dziwnie kołacze, takie potężne, nieprzeparte chcenia powstają w umęczonej samotnością duszy...

Krew młotem w skroniach moich wali. Przed chwilą pożądałem tamtej, a teraz ta... „ona“ przedemną stoi... patrzy na mnie... para jej olbrzymich szarych oczu ugrzęzła w duszy mojej i oto ze smutku, z tęsknoty, z bolu dławię się, czuję łzy w mózgu, łzy w oczach, łzy w krtani i tam na samem dnie trzepocącego się jak raniony ptak serca...

Ciche, jasne ogniska szczęścia...

— Niech się pan Ohij nie łudzi; jakem Tytus Pomian Chodorowicz — nie warto! Ja, panie, filozof, bo ja dużo przeżył i wiem... Małżeństwa to są tylko zdaleka bardzo ładne, ale niech pan Ohij do takiej ładności wlizie na pół roku, to pan Ohij się przekona, że to jest, proszę ja pana mego — piekło. ...I ja panu memu powiem, że inaczej być nie może... Bo jeden człowiek to jest jedno, a drugi człowiek to jest drugie... Jeżeli jedno jest, jako woda, to drugie jest, jako oliwa... Niech pan Ohij taki małżeński interes kałamuci, choćby sto lat, to zawsze woda zostanie na dole, a oliwa polezie na wierzch. Nigdy, proszę pana mego, nie wyjdzie z tego kałamucenia taki zawiesisty napój, jak na ten przykład zabielany barszcz, w którym nie dojrzysz dobrodziej, gdzie juszka i gdzie śmietana, bo się tak bardzo doskonale z sobą pomieszały.

Cha! cha! cha!...

Filozof Pomian Chodorowicz, którego żona biła podobno warząchwią drewnianą i Gutek Łosieski

zgodnie twierdzą, że w każdym domu jest specyalny dyabeł do wykradania szczęścia.

Krew młotem w skroniach wali i cisza, cisza mnie upaja...

Księżyc tak spokojnie wśród miryadów gwiazd płynie, drzewa w parku zwarły się w niewyraźne, śpiące masy, mógłbym usłyszeć szelest skrzydeł lecącego ptaka, ale ptaki śpią, nawet psy zmilkły na wsi. Doskonała cisza i bezbrzeżna samotność...

...Pani Julia... Nałyńska...

Zawsze, wiecznie ona.

Prawdziwy kryształ, mówi Gutek, a ja nędzny i głupi zarozumialec, podła samcza natura, okaz do galeryi Graba i tchórz!... Nędzny tchórz... Dławi mnie ta pustka, która mnie otacza i zachciewa się jegomości zapełnić ją sprzętem z cudzego domostwa...

Obce jęzory!...

Na Horyniu zdawało mi się, że jestem bajecznie szlachetny... Myślałem, że dość mi ramiona otworzyć, aby jej główka na mojej piersi spoczęła... A ja ramiona zwarłem i nie chciałem... Cha! cha! cha!... ja nie chciałem?!...

Głupiec!... trzykrotny głupiec...

Widzę ją...

W łodzi, z rękoma bezwładnie spuszczonemi na kolanach siedzi, smukła, wiotka, w kapelusiku różowym, przypiętym dużą złotą szpilką do ciemnych włosów... Tak... widzę nawet szpilkę...

— Bolciu!... pan Aleksander powiezie mnie łodzią.

— Dobrze, kociątko.

— Jedź z nami Bolciu, taki cudowny wieczór.

— Nie mam ochoty, detyno, jedźcie sami.

— Bolek!... — wymówiła bardzo cicho.

Nałyński już odszedł i skierował się w przeciwną stronę, oddalając się brzegiem rzeki od towarzystwa zgrupowanego dokoła altany.

Tak... ona myślała o nim.

Miała bardzo smutne, prawie Gutkowe oczy i głęboka tęsknota dźwięczała w jej cichym, chwilami drżącym głosie. Myślała o nim... Kochają się i mają pośród siebie takiego dyabła, który w Szuwarowskim ich dworze szczęście wysysa i do jamy z pomyjami wylewa.

Jest miłość i dyabeł...

...A ja?!... ja?!...

*6 czerwca.*

(Jadalny pokój w Szuwarowie.)

P a n i J u l i a. — N a ł y ń s k i. — Ł o s i e s k i. O h i j.

P. J u l i a. (z ironią) Więc mówisz, że to niepodobna?

N a ł y ń s k i. Ja nic, kociątko, nie mówię...

P. J u l i a. Zostaw. Ja wiem, że ty nic nigdy nie mówisz. Ale ja chcę wiedzieć coś stanowczego — można, czy nie można?... co? Nie miałeś prawdopodobnie czasu do pomyślenia o tem... A ludzie giną... Zapomniałeś pomyśleć o tem (śmieje się nerwowo) po swojemu, jak zawsze... Jutro to zrobisz, może pojutrze, za miesiąc. ...A tych biedaków powypędzają.

Ł o s i e s k i. Bolek ma racyę.

P. Julia. Bolek w oczach pana zawsze ma racyę.

Nałyński. Wiesz przecie, że Szuwarów oddaliśmy na lat sześć w dzierżawę, wyekscypowawszy sobie tylko dom z parkiem. Gdzież ja tych dwudziestu rodzin umieszczę?

P. Julia (tryumfująco). Więc, znaczy, stanowczo nie można, więc znaczy, myślałeś już o tem. Dla czego więc kłamiesz?...

Nałyński. Julciu!...

P. Julia (z coraz większem rozdrażnieniem). Zostaw. Cztery dni wymęczyłam się myślą, że ci ludzie tam nad Horyniem giną, cztery dni buduję projekty, jakby im pomódz i w ciągu tego czasu wciąż słyszę od ciebie — pomyślę, zobaczę, uspokój się kociątko, coś się zrobi itd... zwykła treść rozmów twoich ze mną. A tymczasem okazuje się, żeś ty już o tem myślał, że decyzya już zapadła, że nic się nie zrobi...

Łosieski. Pani wie, jak bardzo chciałbym tym ludziom dopomódz, a jednak zupełnie to uznaję, co Bolek przed chwilą powiedział.

P. Julia (przerywa). Dla czego kłamał?...

Łosieski. Bo są chwile, kiedy pani powiedzieć prawdy nie można. Kiedy powstał ten projekt charczański, pani wprost gorączkowała.

P. Julia (przerywa). I gdyby mi odmówiono tej zabawki, byłabym dostała spazmów i cały serwis potłukła... Przecież pan tak myśli?... Bolek przecież zawsze ludziom rozpowiada, że jestem chora... (śmieje się). I dla tego trzeba kłamać, dla uniknięcia drobnych nieprzyjemności jedyny środek — łgarstwo!... (coraz gwałtowniej). Bo mąż i żona, to albo

pan i sługa, albo pani i pantofel, albo dwa odrębne światy, stykające się przy stole i w czasie całusów... A potem... potem są to dwa odrębne życia wzajemnie nieświadome swojej treści... Jedyny łącznik (wzdrygnęła się) dzieci, jedyne prawo — wymaganie wzajemnej wierności, jedyny obowiązek — nie urządzać sobie scen i udawać absolutne porozumienie przy gościach... (śmieje się nerwowo). Doskonale wytresowani małżonkowie... Spółka dla okłamywania świata! Jedno mrugnienie oka wystarczy, a nawet są tak wspaniałe okazy, które zewnętrznych oznak porozumienia nie potrzebują... W domu mąż okłamuje żonę, poza domem żona pomaga mężowi okłamać ludzi... Proszę mi nie przerywać, panie Gustawie. Wszyscyście jednacy... Co za bajeczny egoizm i co za przerastająca wszelką miarę mania wielkości!... Obszary życia waszej duszy zdają się wam wyłączną osobistą własnością... Żony tam się nie wpuszcza... Żonie oddaje się ciało i okruchy myśli. Kiedy was samotność znuży, wtedy jest żona, która pustkę zapełnia, żona, której się rzuca uścisk i... kłamstwo! Całe lata żyją obok siebie ludzie bardziej obcy, aniżeli ja i pan... Bo ja pana znam lepiej, aniżeli mego męża... Bo mój mąż przed obcą, odpowiednio inteligentną osobą, przypuszczam, że mógłby zupełnie szczerze duszę swą uzewnętrznić... Ale przed żoną nigdy!... Bo to jest jego żona, matka jego dzieci, więc co jemu do tego, czem taka pani żyje, co taka pani myśli, czego pragnie... Siedzi się zamkniętym w sobie, a chwilami dla świętego spokoju rzuca się żonie — kłamstwo...

Łosieski. Przypuszczam wspólność winy.

Nałyński. Nie zawsze...

P. J u l i a. Bolku!

N a ł y ń s k i (smutno). Niekiedy zamiast winy jest nieszczęście.

P. J u l i a. Bolku!

N a ł y ń s k i. Bywa fatum prześladowcze, gmatwanina bez wyjścia!

A jeżeli mowa o winie, to znajdziecie ją najczęściej po stronie męża. Na sto nieszczęśliwych małżeństw w ośmdziesięciu wypadkach winien jest mąż...

P. J u l i a. Bolku!... ja ciebie dotknąć nie chciałam.

N a ł y ń s k i (całuje żonę w rękę). Ja, Julciu, mówię z głębokiego przekonania. Czy wy nie uważacie, że forma małżeństwa, jaką nam narzuca kościół o wiele przerasta miarę naszego uspołecznienia?... To fakt, który połowę ludzkości torturuje!... Małżeństwo... Toć przecie ideał — zawrotny, niesłychany ideał... Wyrwać duszę z piekielnej samotności i wzmódz ją, upotężnić, zlewając z inną duszą w jedną doskonale spoistą całość... Nic też dziwnego, że takie ideały wloką się po ziemi na kosztu-rach... Pisze się — łączność, a należy czytać — grzebanie się w duszach...

P. J u l i a (przerywa). Niesprawiedliwy jesteś, Bolku.

N a ł y ń s k i. Takie grzebanie się stawiamy nawet na piedestale obowiązku... Obowiązek... mus — stąd kłamstwo!... Takiego obowiązku narzucić własnej duszy mężczyzna częstokroć nie jest w stanie... Wtedy powstają zarzuty obojętności i lekceważenia... A potem ohydna symulacya, wstrętne podstępy,

kłamstwa musowe... Gmatwanina... chaos z winy przeważnie męża...

P. Julia. Bolku!... to nieprawda... Nie tylko ze strony męża.

Nałyński (stanowczo). Przeważnie mąż winien. Ona niekiedy odkrywa przed nim całą głąb swojej istoty, ona bywa niekiedy bajecznie szczera, całą potęgą wewnętrznych swoich pożądań pragnie zanurzyć się w jego duszy, a on... On przedewszystkiem jest brudniejszy od niej, on miał swoje wolne, swobodne życie, które go zbrukało... A szczerość musi być pełna, połowiczna prawda nazywa się kłamstwem... Więc kłamie, oszukuje...

P. Julia. Bolku!

Nałyński. Niekiedy znowu on szczerym być nie może... Chciałby i nie może... Wyczuwa niekiedy samotność wewnętrzną, która go chwilami poprostu zabija i wzdryga się nawet przed ukochaną dłonią, którąby ten ból piekielny uśmierzyć mogła... Tak... Można przecież ukochać taki ból samotności wewnętrznej...

Łosieski. Ja to rozumiem.

P. Julia (z udaną wesołością). A ty chciałbyś Bolku, żeby rozwody istniały?...

Nałyński (z uśmiechem). A jabym nie chciał, żeby rozwody istniały.

(Do pokoju wbiega czteroletnia Stasia.)

Stasia. Mamusiu!... mamusiu!... my z Jurkiem nazbieraliśmy róż i pojedziemy do cioci Loli.

P. Julia. A dzieciom kto pozwolil rwać róże?...

Stasia. To, mamusiu, dla cioci, a Jurek mówi, że ciocia bardzo kocha róże i pierogi z wiśniami.

P. Julia (śmieje się). I chcecie jechać do cioci?...

Stasia. Tak mamusiu. Jurek z mamusią, a ja z moim papem.

P. Julia. A ty z kim?

Stasia. I z mamusią i z papem. ...Ale ja z moim papem...

P. Julia (śmiejąc się, bierze ją na ręce). Ach ty mój dyplomato!...

Stasia. Co to jest mamusiu?...

P. Julia (cicho do męża). Chcesz rozwodu?...

Nałyński (namiętnie całuje jej rękę, a potem główkę córki). Nigdy.

P. Julia. Przepraszam panów. Boję się, że mój Jur róże zupełnie poniszczy.

Stasia. Co to jest mamusiu dyp... dyp... dyp... (śmieje się).

P. Julia. Dyplomata.

Stasia. Tak mamusiu. Co to takiego?...

P. Julia. Jest to taki pan, jak twój papo...

Stasia. To ja taki sam jak mój papo?

P. Julia. Oj taki sam!... taki sam!... zły, maleńki, kochany, jedyny!... (bierze Stasię na ręce, całuje ją w usta i razem z dzieckiem wychodzi).

Stasia (w drugim pokoju). Taki sam!... taki sam!...

(*Wieczorem*).

Fu! co za pyszna rzecz — swoboda!...

Sam jestem... Samiuteńki jeden... Nikogo... tj. Karp i dwa psy... Dwa psy i ja, bo Karpa mogę wypędzić, tylko Osman z Lutnią zostaną ze mną do śmierci. Nie potrzebuję nikogo do własnej duszy

wpuszczać i nie potrzebuję w niczyjej duszy grzebać się oficyalnie, z obowiązku...

A przytem dzieci...

Dzieci, jako jedyny łącznik... Brrr!... Musisz człowieku, zafundować sobie co najmniej dwoje dzieci, bo inaczej, jak mówi filozof Chodorowicz, woda z oliwą się nie zmiesza.

Pyszny Bolek. Mężczyzna, zdaniem jego, brudniejszy jest od kobiety, każdy mąż, powiada, ma jakiś szczególik do zatajenia przed żoną. A prawda albo jest, albo jej niema. Jeżeli pełnej prawdy niema — jest kłamstwo... I chłop ma racyę.

Zostają tedy dzieci, jako sznur, który łby małżeńskie wiąże.

Dzieci...

Kur, szkarlatyna, dyfteryt, trzewiki, majteczki, złe skłonności, egzaminy, posag, wekselki... piękny sznur sumiennie nanizany ostrymi paciorkami, które do szyi włażą...

A potem siwizna...

A potem — „pyszý propało!...“

Zostają wspomnienia długiego szeregu lat oszustwa, reumatyzm, podagra, katar kiszek i miłe obcowanie dwóch grudek próchna... Kto kogo przeżyje, ten tego dopilnuje przy śmierci. Podobno nie tak smutno umierać w gronie rodzinnem, jak na barłogu szpitalnym.

Wprowadziłbym tylko małe ulepszenie. Zasadnicza teorya — swego męża szanuj, a cudzych kochaj... Trzeba mieć przedewszystkiem troje... tak, dwoje za mało... koniecznie troje dzieci (...obowiązek społeczny...), a potem swoboda... Ty tu, a ja tam... W domu wyrozumiały szacunek, po za domem mi-

łość. Chcesz się, bracie, uzewnętrznić, pragniesz duszę własną przelać do duszy innej — poszukaj jej po za domem. ...Niech taka dusza przy tobie wciąż nie sterczy, niech ciebie ustawicznem obcowaniem nie zmaga i niech sama ciągłem wchłanianiem twego „ja" się nie nuży... Świeżą powinna być, rzeźką, wrażliwą, nie narzucającą się i pojętną... Ma się znaleźć przy tobie, kiedy szczerość zrzuca mundur urzędowy i staje się potrzebą, powinna niknąć, kiedy ty pragniesz pogrążyć się w uroczystem milczeniu samotności wewnętrznej.

Z nią jednak zdaje mi się, że potrafiłbym być absolutnie szczerym. Wprowadziłbym ją do najtajniejszych zakątków własnej duszy, nie zataiłbym nic z przeszłości...

I zyskałbym stróża więziennego, nieufnego stróża więziennego... Dałbym jej piekło obawy, przypuszczeń i podejrzeń...

Czuję to, wiem o tem i przeto pragnę tych bolów, tej katuszy, tych udręczeń bez miary i granic, byle z nią, byle przy niej, nawet u stóp jej grobu, któryby zawierał wyłączną moją własność...

Julia...

Dla czego tak późno, dla czego zapóźno?!... Jakiś ból nieludzki targa wnętrzem duszy mojej, czuję, że mógłbym stać się pospolitym salonowym zbrodniarzem, mógłbym ją wydrzeć temu człowiekowi podstępem, fałszem, kłamstwem bezwstydnem. ...Mógłbym zniżyć się do pospolitego oszustwa, do banalnej obłudy i kraść, kraść, kraść!...

Mógłbym i — nie mogę!...

Cha! cha! uczciwość z musu...

Jak ona jego kocha!... Nieszczęśliwa jest z nim

bezgranicznie, broni się dziećmi, oszukuje siebie codziennie i kocha go!... Do tej jednej duszy chciałaby znaleźć wstęp wolny i wstępu niema i mieć go nie będzie... nigdy!

Podłą, nikczemną radość wyczuwam w sobie, dzięki tej pewności, że szczęścia w szuwarowskim domu być nie może... Do śmierci kochać go będzie i do śmierci szczęścia z nim nie znajdzie...

A ja, nikczemnik, z powodu tego radość czuję. Wypędzam ją, całą siłą woli niszczę, kto wie, może byłbym zdolny do niesłychanych poświęceń, ażeby szczęście do Szuwarowa napędzić, ale taka przeklęta radość jest, gdzieś na dnie duszy leży, po za świadomością się chowa i żyje, żyje, żyje!...

. . . . . . . . . . .

— Olek!... czy ty tutaj jesteś, czy ciebie tutaj niema? — pyta Grabowicz, wchodząc do mego mieszkania.

— Ciemno, jak u murzyna w zamkniętej gębie... Olek!

— Jestem, chodź...

Zapomniałem światła zapalić. Okna są pootwierane, po niebie pełzają ciemne, gęste chmury. Jest niesłychanie duszno, błyska...

— Siedzi, bestya, w mroku burzą brzemiennym i błyskawicami sobie świeci. Daj pyska, Aleksandrze. Światła nie zapalaj, bo się pocałunku zawstydzę, ale ot tak w ciemności gęby daj, chłopie! Dziękuję tobie za szpital. Tarnobrzeski obiecuje sześć łóżek dodać i powiada — to właściwie nie ja, a ten waryat Ohij mnie zgwałcił... Więc dziękuję tobie, waryacie Ohiju... I za starą Nestoruczkę dziękuję... Baba ma co teraz do pyska włożyć i wnuki

z głodu nie pozdychają. A jak tam z tymi pługami dla Karolowieckich chłopów?

— Szmit daje na wypłatę a Łosieski i Powierski mają je na naszych fabrycznych warsztatach zreparować.

— Bene. Walny chłop z Łosiarza... Tylko fantazya dyabelska — nie obowiązek, nie warsztatowy, ciągły celowo świadomy siebie czyn, ale fantazya, egoizmem wypchana buta, odruchy chorobliwej wyobraźni, czart wie zresztą, co w tym człowieku się gnieździ. Słyszałeś o awanturze w Borkowcach?...

— Bielski proces z chłopami podobno wygrał.

— Wygrał — potwierdza Grabowicz — i co ważniejsze, łąkę od chłopów odebrał. Chłopi komornika i policyę widłami z łąk zegnać chcieli... Byłaby heca — sąd, katorga... bo krwią podobno w powietrzu pachniało. Ale nadleciał Łosieski, w gromadę uwidloną się wmieszał i swoje zrobił. Błahoczynny z Hrehorówki mi mówił, iż oczy mu tak się żarzyły, że mógłby świece w cerkwi pozapalać... A taki ból miał na gębie, że zwierza od mordu był w stanie wstrzymać. Była chwila, powiada ojciec Porfiry, że myślałem... kaput... Zmiażdżą chłopa na nic, zatłuką go widłami i basta!... Ano nie... Wstrzymał... Życie naraził, ale komornika Krausa od śmierci a dziesiątki ludzi od ciężkich robót uwolnił. Cha! cha! Gutek... Jakbym go widział — nie słowa, nie perswazya, ale ten ból prawdziwy, który miał na twarzy i te piekielne oczy zrobiły swoje...

— Gutek... — powtarzam bezmyślnie.

— Dziękuję ci raz jeszcze za szpital — mruczy Grabowicz, sadowiąc się na parapecie otwartego okna.

— Daj pokój, Grabie... Robota wprawdzie jest, ale czasem mi się zdaje, jak gdyby ją ktoś inny wykonywał, tak niesłychanie wydaje mi się chwilam obcą. Jakiś sztuczny, poprostu maszynowy mechanizm jest w tem, co wykonywam, a w duszy... W duszy świnie łażą...

— Głupiś Olek! — decyduje Grabowicz.

— Oj Grabie, Grabie!... Gdzie u dyabła podział się ten czysty jak kryształ idealizm, który kiedyś wypełniał nas całkowicie, po brzegi?! Pamiętasz Młockiego?... Wszystko oddał, wszystkiego się wyzbył, własną duszę gotów był podrzeć na szmaty i rzucić na palenisko motoru, który miłością miał świat odrodzić. Własnem sercem chłopak się spalił i umierając przepraszał nas, że roboty swojej umiejętnie wykonać nie umiał. Przebaczcie, przebaczcie — szeptał... Cha! cha!... i to myśmy jemu przebaczać mieli... my!... A siostra jego „panna Zocha“ z czarną kędzierzawą główką... Pamiętasz Grabie?... Słabe to było, pracować nie mogło, więc zdecydowało maleństwo, że utrudnia Adamowi życie, a życie Adama potrzebne jest dla innych, których zliczyć nawet nie można... Więc umarła... Chorobę ukryła, powoli gasła i umarła... W dwudziestym roku dziewczyna, jak anioł piękna, dobrowolnie zginęła... I nie było w tem do stu dyabłów przesady, nie było śmieszności!... Dziś w takim wypadku wykrzywiłaby mi gębę ironia... A wtedy... Pamiętasz Grabie?... i ty beczałeś na Powązkach, nie zaprzeczaj, miałeś łzy w oczach i wszyscy czuliśmy, że niesłychanie wielka dusza odeszła od nas, zostawiając nakaz miłości bezgranicznej i poświęcenia pełnego ciszy, energii i stałości... I co nam z tego zostało?... Ty jeden, Grabie, pra-

cujesz uczciwie... A ja, Powierski, Łosieski... Gutek może najmniej, ale bądź co bądź każdy z nas ma w sobie nierogate bydlę, które mu do duszy wnosi fetor zatęchłych bajorów.

Grabowicz milczy, jak gdyby słów moich zgoła nie słyszał... Sylwetka jego słabo zarysowuje się na ciemnem tle otwartego okna. Błyska... Chwilami słychać oddalony hurkot grzmotu i znowu cisza... Park czarnym mrokiem zalany, zamarł. Najsłabszy szmer nie dochodzi z ciemni, ziejącej dusznym żarem rozświecanej migotliwym blaskiem błyskawic.

Milczymy.

Grzmi coraz bliżej, coraz donośniej...

— Co ciebie dzisiaj tak wzięło? — pyta w końcu Grabowicz. — Przed chwilą widziałem Gustawa, ale i ten miał na czole taką chmurę, jak to bestyjstwo, które na niebo teraz wypełzło i błyska. Gdzie włóczyliście się po obiedzie?

— Byliśmy w Szuwarowie.

— Aha! I tam także idealizm dyabli biorą. Zaplątał się w babskiej spodnicy i stęka... Och te baby! Jakże tam u nich?

— Źle...

Przyciszonym, chwilami nawet zdławionym głosem opowiadam doktorowi wizytę szuwarowską. Nie gwałtowny, nie szarpiący, lecz cichy, łagodny smutek owłada całem mojem jestestwem. Mówię o nich, a zdaje mi się, że gdzieś w głębiach duszy mojej rozlegają się cmentarne szlochania nad własnem sieroctwem, nad samotnością, której wtórują — wycie dwóch ponterów i chrapanie wiecznie brudnego Karpa.

Mroczną otaczającą nas przestrzeń wypełnia nieuchwytny dla ucha szmer nadpływających wspomnień, które do duszy wsiąkają, budzą mgliste, powiewne widziadła o rozwiewnych kształtach i łagodnie smutnym uśmiechu. Blade widma wstają w duszy mojej i wiodą mię w zieloną gąszcz brzóz, rozpłakanych nad marmurowemi taflami grobów, nad smukłem ciałem krzyży mogilnych, nad świętą ciszą cmentarzy nieznanych, gdzie bezimienne zwłoki szczęścia i cierpień zgasłych spokój wieczny znalazły.

— Rozumiem. Ja to rozumiem — powiada Grabowicz. — Więc Nałyński zaczął już sobie wyjaśniać powody swoich nieszczęść małżeńskich, nawet teoryę utworzył... Wiem!... wiem!... Takie teorye w nocy się robią. Homeryczna głupota nieszczęść, smutków i cierpień przed oczy wtedy wyłazi, jak plugawe robactwo duszę obsiada i spazmem piekielnego śmiechu serce rozrywa. Bywają takie noce rozrachunków wewnętrznych... bywają!... Fakty, jak woły olbrzymie wizytę twemu mózgowi czynią i mówią ci — byłeś osłem, byłeś głupcem; a potem rezultaty faktów audyencyę sobie wywalczają i widzisz człowieku, że w onych rezultatach jest także głupota, ale głupota inna, od ciebie niezależna, dziwna, niepojęta, nieludzko potworna, urągająca logice, śmiejąca się z etyki, szalona i taka mocna, taka potężna, że strach ciebie chwyta, drżysz, jak marny liść osiki, i napróżno pytasz, ażali jest to konieczny idyotyzm życia?... Czy nie jest to wypadkiem ironia jakiejś Furyi nieznanej, lub gra „w myszkę“ jakichś istot złośliwych?! Wtedy, ażeby obłędowi się nie dać, stwarzają się uzasadnienia, systematy, teorye... Cha! cha! z rozwiewnej mgły kręci człowiek biczy-

sko, aby własny mózg nim chłostać... Zamiast w stronę tych błazeństw splunąć i do roboty uczciwej stanąć, taki błazen mędrkuje, taki błazen oblicze swoje smutkiem okrywa i zdaje mu się, że już swoje zrobił, że tak zwany przez niego „los“ dał mu absolucyę na zamianę obowiązku życia na prawo trwania!...

— Łatwo ci tak mówić Grabie...

Grabowicz zaśmiał się krótkim, suchym śmiechem.

— Bądź łaskaw, nie tłumacz — rozumiem!... Od urodzenia byłem szpetny, jak dyabeł, więc to, co wy nazywacie szczęściem, do rąk mi nigdy nie lazło. A kto czego nie zakosztuje, to i wyrzekać się takich nieznanych smakołyków jest mu nie trudno... Wam tedy jest trudniej?... Szczęście w postaci amorów do rąk waszych wciąż wam lazło, tylko pan Bóg zrobił go ślizkiem, jak rybę... i takiem delikatnem, takiem koronkowem, że szkoda wam go łapami mocno ścisnąć, a choćby i zębami przytrzymać... Więc jako ryba takie szczęście z rąk się wyślizguje, a chłopy... tfu!... Niech was wszyscy dyabli wezmą!...

Zeskoczył z okna i zniknął w ciemni, zasnuwającej pokój. Po chwili głos jego nadbiegł ku mnie od strony kanapy, na której musiał się ulokować.

— Patrzę ja na was, słucham, badam i — ani psa nie rozumiem. Macie sumienie, macie poczucie moralne, niekiedy przerafinowanie wrażliwe i postępujecie tak, jak gdyby ideały etyczne były wyłączną waszą własnością, wykwitem li tylko duszy waszej, jak gdyby nie z przyrody biegły i przyroda obcą im była. Ja tam w filozofii krzepki nie jestem, więc ci tego dokumentnie wyjaśnić nie potrafię. Ja poprostu nie izoluję swego „ja“ od natury, która

mnie otacza, czuję się jej cząstką, widzę, że ona spełnia pewne musowe funkcye w określonym, chociaż nie zawsze dla mnie zrozumiałym celu i staram się ją naśladować, usiłuję zlać się z tem, co mnie otacza, wykonywam możliwie najlepiej jakiś nakaz wewnętrzny i jest mi z tem dobrze. Stwarza to poczucie należenia nie do samego siebie, ale do powszechnego porządku, a w tem jest już poezya... Taki szpetny jegomość, jak twój sługa, czuje się zespolonym z całym ogromem wszechświata. Oczu nie przewracam, jako miech kowalski nie wzdycham i mam pomimo to w moim szpitalu wspaniale poetyczne chwile, o których wiem tylko ja i mój Bekas.

Z gardła jego wydostawały się dźwięki pewne, mocne, chwilami suche, lub przepojone ironią i szyderstwem.

— Powiadasz — „ty jeden, Grabie!... I zdaje ci się, żeś mi pomnik wystawił. Głupstwo. Ja z pomników kpię i na pomniki nie pracuję. Egoistą jestem, robię to, z czem mi jest najlepiej. Mam przytem odwagę w obowiązku się kąpać, nie obawiając się, że moja indywidualność w jego odmętach zatonie. I nie zaginęła, mam ją, w najryzykowniejszych eskapadach czuję niezawisły, niespętany, wolny oddech duszy mojej. I właśnie dopiero teraz wyczuwam w sobie tę wolność absolutną. Ja jestem za głupi, abym miał całą ludzkość zbawić, niech więc panowie teoretycy myślą o tem, a ja robię co mogę, nie bojąc się wyrazów kompromis i paliatywy, nie bojąc się w współdziałaniu z każdym, kto zdaniem mojem dobrze robi, lub dobrze robić może, utraty indywidualizmu programowego.

Zamilkł, a potem zaśmiał się złym, szorstkim chrypliwym śmiechem.

— Indywidualizm programowy! Cha! cha!... ja wiem, że tam u wielkiego ołtarza gromnice nade mną pozapalali. W ich mniemaniu Grabowicz żyje jako człowiek uczciwy, lecz zmarł, jako ideowiec, bo w kompromisach się zaplątał... Więc gromy! Ano ciekawy jestem, jaka różnica między setką, której ja służę i dziesiątkami milionów tych panów od idei? Dla czego powinienem krzywdzić setki milionów, żyjących dla problematycznego szczęścia setek milionów, które kiedyś przyjdą... Dla idei?... Cha! cha! cha!... dla zmurszałego fanatyzmu zaślepionych wspaniałością własnych myśli teoretyków... Hola!... A gdzie probierz prawdy?... Kto mi zaręczy, że za sto lat gromada nowych fanatyków nie powie — za pozwoleniem!... zaszła pomyłka, my nie stanowimy jeszcze tych szczęśliwych, którzy żyć mogą, trzeba urządzić z ziemi nowy cmentarz ofiarnego bolu, a dopiero potem za pomocą nowych środków dla przyszłych pokoleń nadejdzie promienna era uciech i szczęścia...

Znowu zamilkł, a po chwili nad kanapą błysnął słaby promyk światła. Grabowicz papierosa zapalał.

— Dla czego milczysz?... co mi masz do zarzucenia? — spytał krótko.

— Nic, Grabie...

— Kłamiesz... Ciebie i Gutka, i Powierskiego razi pospolitość tej mojej roboty. Boicie się wyrazu obowiązek, bo was to równa z przeciętną masą, która w waszym mózgu nosi czarnbułową nazwę stada baranów. Wy przecież nie tacy, jak oni, jak ten tłum,

którego dusza bezczelną pospolitość ogarnąć i ukochać li tylko jest w stanie... Wyście wielcy, wyście duchem i bolem olbrzymi! Obowiązki posiadacie wyłącznie dla równych sobie, a dla nich, dla tych innych jest łaska i jest dobroć wynikająca z poczucia waszego ogromu... oraz z rozlewności waszej siły wewnętrznej i waszej potęgi duchowej... No tak... Nie zaprzeczaj, bo skłamiesz... Łaska i dobroć wspaniałomyślnych władców, jako oddzielne akty dobrowolnej ofiary nadchmurnych tytanów. Ciągłość oddania się pracy was męczy, na taką ciągłość wy nawet czasu nie macie, bo w duszach waszych odbywają się ustawiczne tragedye, bunty, huragany bolu, łamanie się i walka... z wiatrakami, któremi porusza banalnie pospolita siła krwi i rozpasanych zmysłów.

Wśród ciemności, która nas otacza, słowa Grabowicza, a zwłaszcza ich dźwięk suchy, chłodny i stanowczy sprawiają na mnie wrażenie dziwnie denerwujące, Jak gdyby mnie kto ostrym piaskiem obsypywał, jak gdyby suchy, kolący strumyk piaszczysty do wnętrza mego wpadał i drażnił, wysuszał i męczył... boląco męczył!

— Przesadzasz, Grabie. Zaczęliśmy o Nałyńskim...

— Cha! cha! samotny tytan... — przerywa Grabowicz.

— Daj pokój!... nie śmiej się w ten sposób, mnie ten śmiech twój poprostu boli... A przytem...

— A przytem ja przesadzam... co?... — ironizuje Grabowicz. — Spojrzyj, jeżeli łaska na Łosieskiego!... Ten przecie nigdy z tak zwanym tłumem się nie miesza, tłum go nie rozumie i nie zna... I on tego nie pragnie, on społecznego bolu poprostu nie

rozumie, dla niego istnieje wyłącznie ból osobnika, ból człowieczy gdzieś w zaświatach duszy zrodzony... Tak... On gotów życie własne rzucić tłumowi w podarunku, jak w Borkowcach, lecz pójść ręka w rękę z tymi ludźmi, być dla nich nie dobrodziejem, lecz bratem, pomocnikiem, towarzyszem — tego Gutek nie potrafi, to wręcz się sprzeciwia nie naturze, lecz temu dyabłowi, którego w duszy dźwigacie, który wam nogi plącze, który was z szeregu takich, jak ja robotników ustawicznie wytrącą.

— Zamilcz, Grabie!...

— Cha! cha! boisz się, żebym do ciebie nie doszedł?... Dojdę!... — szydzi Grabowicz.

— Dojdę!... — powtórzył spokojniejszym, poważnym tonem. — Dwa lata śledzę za każdym twoim krokiem, Olek, i widzę, że jest źle, że jest coraz gorzej!...

— Grabowicz!...

— Cha! cha! cha!... do Łosieskiego mówisz Gutek, do Powierskiego panie Józefie, a do mnie — Grabowicz!... Niedźwiedź — co?... Głaskać nie potrafi; otwarcie, szczerze, brutalnie powiada ci — strzeż się Olku, bo zginiesz... Strzeż się, bo stoisz na takiem urwisku, z którego mocniejsi od ciebie na łeb spadają. Ja wiem dużo i dużo przeczuwam, ot tem niedźwiedziem, grubem sercem przeczuwam. Widziałem, jak w pierwszych chwilach, kiedy stanęliśmy do roboty, tyś się z sobą mocował, łamał, własną duszę zwalczał. Ciągnęło cię tam — do świata, do kawiarni...

— Teatr, a raczej kulisy aż tu wspomnieniem za tobą biegły i nęciły, wabiły ku sobie, wołały. Jam to widział i widziałem, że zmogłeś się... A dziś?...

— Dosyć tego!... przez Boga zamilcz... To już przeszło, minęło... Cmentarze kamieniami przywalone...

— Nieprawda, Aleksandrze!... Boisz się jeno do duszy własnej zajrzeć i prawdę, nagą prawdę zobaczyć... Największy twój druh Białek w swoim czasie mówił: „Ohij, albo na człowieka wyjdzie, albo zginie; prędzej zginie i zgubią go baby". Słuchaj, Olek, — dyabła za nogi i... won!... Albo spaskudzisz się i zginiesz... Pomyśl, po coś się ty tu zagrzebał?... Czy po to, żeby biedzie i nędzy ludzkiej służyć, czy po to, żeby przyjaciołom żony kraść?...

...Wypowiedział! Zimnym, suchym tonem wypowiedział to, co przez tyle miesięcy przez mózg mój się przelewało na wpół świadomie. W pierwszej chwili jakaś nieludzka, piekielna wściekłość mnie chwyciła.., Byłbym mu te podłe, tak bajecznie niesprawiedliwe, takie krzywdzące nie mnie, lecz „ją" słowa z powrotem wbił do gardła, gdyby nie gwałtowne uderzenie dzwonka w przedpokoju.

Wszedł Skrodzki. Był blady ostateczną bladością człowieka żywego, głos mu dygotał i ręce się trzęsły.

— Awantura, proszę pana...

— Co u licha się stało?...

— Awantura!... — powtarza Skrodzki. — Czy jest kto u pana?...

— Ja jestem — odzywa się Grabowicz.

— Ach doktor... To nawet dobrze... Trzeba panowie ratować... W altanie Powierska leży...

— Co pan pleciesz?...'

— Nie plotę, lecz tak jest. Wracałem przez park do domu... U wejścia do parku spotkałem Powierskiego, zdawało mi się, że jest bez kapelusza

4*

i że biegł... Tak, na pewno biegł... Potem koło altany nad sadzawką posłyszałem cichy jęk... Stanąłem... Niby ciężkie westchnienie i... nic, cicho. Zdecydowałem się wejść do altany, zapaliłem zapałkę... Na ziemi leżała Powierska zimna, jak lód... Trząsłem nią i nic... Ja proszę panów myślę, że pani Marya nie żyje...

— Bój się pan Boga!...

— Zostaw, — przerwał Grabowicz. — Pan, panie Skrodzki, jesteś człowiek uczciwy, więc będziesz pan milczał. Nikomu ani słowa! Czy nie widziałeś pan w parku więcej nikogo?

Skrodzki zawahał się i spokojnie odparł...

— Nikogo.

— Dobrze... — wycedził Grabowicz.

— Weź Olek latarnię. Mam na szczęście kobiałkę moją apteczną. Chodźmy.

Idziemy przez ciemny park we troje, kierując się w stronę sadzawki. Nad nami gęste czarne chmury, błyska gwałtownie, z oddali nadbiega coraz bardziej wzmagający się hurkot grzmotów.

Coś niewyraźnego, nie dającego się ująć i określić dźwigam w sobie... To „coś" boli, za serce ściska, za gardło chwyta... Nie mam w sobie bojaźni, jest we mnie ciemność taka gęsta i taka dławiąco czarna, jak te zwały chmur, które przedemną zasłoniły błękit, odbierając zda się wiarę, że tam wysoko złote gwiazdy migocą, że jutro przyjdzie słońce i noc zwalczy i smutną ziemię złotemi blaski zasieje...

— Poczekajcie... — schylił się nagle Grabowicz.

Podniósł z ziemi kapelusz Powierskiego.

Poszliśmy dalej, milcząc...

U stóp małego wzgórza, na którym stała altana, Skrodzki znalazł przełamaną na dwoje laskę.

W altanie nie było nikogo...

*7 czerwca.*

...Spokojnie!... przedewszystkiem spokojnie.

Wziąć siebie w łapy, własną duszę kleszczami zdławić i — orać... Powoli, akuratnie, systematycznie, z rozmysłem i... z miłością. Tak... duszę zdławić, a serce na wierzch wydostać i równe, pracowicie wycięte skiby nim ożywiać i zapładniać.

Przykazanie Grabowicza: cudzych żon nie kraść, własną swoją osobę płaczącym i zbolałym ojcom, mężom i synom na żer oddać...

Przykazanie one pracowicie i sumiennie dziś spełniam, a dyabeł wlazł do duszy i monotonnym, usypiającym tonem nawołuje — a jednak jaki długi, a jednak jaki nieskończenie smutny dzień!...

...Spokojnie!... przedewszystkiem spokojnie...

Jestem w tak zwanej kancelaryi gminnej. Duża, zabłocona izba, przesiąknięta zapachem tytoniu, zapachem dziegciu, zapachem potu kilkudziesięciu przedstawicieli gromady wsi Horki.

Jestem bajecznie szczodry... Ofiarowuję tym ludziom kilkadziesiąt dziesięcin dobrej łąki, byleby się zgodzili na zamianę rozrzuconych wśród obszaru dworskiego poletek na zwarte łany dobrej ziemi tuż przy sadybach wiejskich leżącej.

Zysk dla obu stron widoczny z poważną przewagą korzyści na stronie gromady wiejskiej.

Mam poniekąd prawo być dumnym. Długie miesiące walczyłem o to z naszym zarządem, zdobyłem prawie przemocą zgodę Tarnobrzeskiego i aprobatę hr. Tomasza notyfikowaną w Lucernie, długie, niesłychanie nużące godziny musiałem zużyć dla przekonania prowodyrów horeckich włościan, dzisiaj miał nastąpić koniec...

I spotyka mnie fiasko...

Kilkadziesiąt nieufnych par oczu przygląda się podłodze, sufitowi, kątom, lecz w oczy moje nie patrzy. Uwagi, namowy, perswazye giną w przestrzeni zasnutej dymem dziesiątka papierosów, których z ust prawie nie wypuszczam, lecz do dusz tych ludzkich wejścia nie znalazły.

Fiasko...

Dusza tych ludzi utworzyła jak gdyby jedną zwartą całość i stoi przedemną zamknięta, nie zdobyta, otoczona potężnym wałem nieufności i obawy.

— Niechaj już, panie, będzie, jak bywało... — powiada tonem napoły prośby, napoły skargi Jakim Buza, stary, mądry chłop, przewodnik Horek.

— Taj wżeż, jak buwało! potakują inni.

— Bójcie się Boga, ludzie!... Pomyślcie, przecież tak zostać nie może. Przecież w zeszłym roku zachwyciliście olbrzymi kawał dworskiego pola... Sam mirowy pośrednik wam mówił, że sąd od was to odbierze i jeszcze koszta zapłacicie... My wam tę zabraną ziemię darowujemy — rozumiecie? Skarb daje wam jeszcze sześćdziesiąt dziesięcin łąki i oprócz tego będziecie mieli pola tuż koło wsi... Pomyślcie... Toć i dojrzeć łatwiej i wygnoić można akuratniej i wygrana na czasie i ziemia lepsza, a głównie, że będziecie jej mieć więcej. U was bieda, ja wiem

o tem... Już dwa lata dopomagam gromadzie, jak mogę... Krzywdy odemnie chybaście, ludzie, nie mieli?...

— Aboż my ceje każemo?... — odzywa się kilka głosów.

— Szo prawda, to prawda!... — potwierdzają inni.

— Więc wierzcie mi, że tak będzie lepiej. I mirowy pośrednik to samo wam mówił i adwokat w mieście tak samo wam doradzał.

— Ano tak... — potakuje Jakim.

— Tak ono niby jest... Molan wsi tak każut', słyszę głos z pod ściany.

— No więc jakże?... Zgoda?... Po ręku uderzymy i mohorycz wypijemy?

— Nechaj wże panyczu bude, jak za bat'kiw naszych buwało... — mówi cichym głosem Jakim, mnąc czapkę i nie patrząc mi w oczy.

— Ależ to czort wie co!... to głupio!... zapominam się na chwilę.

— Syroty my panyczu!... Z widkila nam rozum braty... — kiwa głową Jakim.

— Jakimie!... oj Jakimie!... ciężki wy grzech na duszę swoją bierzecie. Ludzie was słuchają, boście wiekiem najstarsi i rozumni, a wy ich do złego namawiacie, wy im krzywdę robicie, wy ich na straty narażacie... Toć przecie sto dziesięcin w zysku! Ej pamiętajcie ojcze, żeby was wnuki nie przeklinali... Pomyślcie.

Buza podnosi głowę. W wypełzłych, bezbarwnych jego oczach błyszczy szyderstwo, bezzębne jego usta okolone białą szczeciną wąsów i niegolonej brody rozchyla chytry, ironiczny półuśmiech.

— Taj szo tutki panyczu bałakaty?!... Wy nam dajecie więcej, jak nam powiadacie, się należy... A my nie chcemy, my grafskiej krzywdy nie chcemy...

— Taj wżeż!... — rozlega się cichy chichot.

— Więc jakże?

— Ano po staremu.

Wyczuwam w sobie głuchy gniew, prawie nienawiść do tego bezzębnego starca, do tej gromady ludzkiej, która stała się dla mnie i obcą i wrogą. Chwilę milczę, żeby myśli zebrać i gniew opanować. Tłumaczę ich przed sobą, uniewinniam, i znowu mówię, znowu wyjaśniam, oniemal proszę, zużytkowuję nowych parę godzin na bezcelową szarpaninę i ciągle czuję, że słowa moje nie mają dla nich żadnego absolutnie znaczenia, iż są to proste dźwięki, w których treść żaden z nich nie wnika.

Zamknięte dusze... obcy świat... Myśli i uczucia, odgrodzone od moich myśli i uczuć wysokim murem niedowiarstwa i obawy...

— Jak sobie chcecie! — powiadam w końcu. — Nigdy ja wam nic złego nie zrobiłem, więc nieufność wasza mnie boli... Chleb grafski jem, ale człowiek jestem a nie zwierzę... Nie raz, ale sto razy przekonaliście się, że sprzedać was nie chcę, że krzywda wasza mnie męczy i sumienie mam... Ano wola wasza! Dla skarbu szachownica jest niewygodna, ale skarb bogaty — wytrzyma. A wam będzie źle... To coście zagrabili, będziecie musieli oddać i koszta sądowe zapłacicie...

— My to wiemy! — potakuje Jakim.

— Więc jakżeż?...

— Ano nic.

— I ziemię wam odbiorą i koszta zapłacicie.

— My to wiemy paniczu... — szyderczym i zarazem smutnym głosem powtarza stary.

— Pomyślcie, ludzie...

— My już pomyśleli... Jak krzywda, niechaj będzie krzywda!

— Słuchajcie, ojcze, tak nie można... Wyście się uparli i właśnie myśleć nie chcecie. Przecież pociągną gromadę do sądu.

— A pewno, że pociągną.

— I sąd ziemię od was odbierze.

— A odbierze... My to wiemy...

— Tymczasem, jeżeli zgodzicie się na separat, to będziecie mieli i wygodę i ziemię lepszą i sto dziesięcin w zysku.

— My to już słyszeli... Ziemia to ona wielka rzecz, mało jej u nas i dla chudoby wypasu niema... O t  S y d o r c z u c z k a  z  h o ł o d u  p o m y r a j e...  a  u  B o n d a r a  k o r o w a,  j a k  ż y d o w ś k a j a  s m e r t',  s z o  p o  k i r k u t i  m a n d r u j e...  t a k  o n a  c i a  b o n d a r o w a  k o r o w a  w y h l a d a j e...  S z o  t u t k i  k a z a t y  —  z ł e,  t e s n o  i  s z e  s u d,  t a j  p o s r e d n y k,  t a j  p y s a r  z  w o ł o s t i...  w s e  s z t r a f y,  t a j  s z t r a f y,  a  j a k  n e  s z t r a f y  t o  w  c h o ł o d n u j u  z a p y r a j u t',  a  t o s z e  i  t i u r m a  n a j d e t s i a...

— Więc jakże?...

— Ano niech sąd rozsądzi... — ostatecznie decyduje Jakim.

Stoi przedemną tłum istot żywych, zwarty przy ścianie w jedną masę szarą, wśród której niby biało-brudnawe plamy połyskują miejscami grube koszule i białe, płócienne szarawary. Zwarli się i walczą

całą potęgą instynktu, nakazującego im widzieć we mnie przedstawiciela siły, obcej ich nędzom i cierpieniom, wroga, któremu uledz nie powinni.

Czuję na twarzy gorący oddech tej duszy zbiorowej, której zwalczyć nie jestem w stanie i rozumiem ją...

Rodzi się we mnie coś pośredniego między bólem, żalem i zniechęceniem.

. . . . . . . . . . . .

Boże!.. jaki ciężki, jaki niesłychanie długi dzień!.

Wśród złotego potopu blasków słonecznych, otoczone falistym oceanem łanów dworskich, w piaszczystym rozdole długą linią rozbiegły się sadyby włościan Horeckich. Niskie w ziemię zapadłe chaty, pochyłe, gliną oblepione lub z chrustu plecione stodoły i chlewy, nędzne nawpół poobalane płoty... Malutkie, najczęściej pobite, szmatami pozapychane okna, zaledwie odrobinę światła kradną słońcu... Na podwórkach brud i błoto, na drodze wieczna w czasie spieki kurzawa... Kilkoro dzieci z wydętymi brzuszkami w brudnych, podartych koszulinach po środku drogi piaskiem się bawi... Kilkanaście wierzb z kory obdartych pospuszczało ku ziemi zapylonemi liśćmi okryte gałęzie...

Gorycz, gorycz mam w sobie!...

Z najgłębszych, zapadłych pieczar duszy podnoszą się mgły ciężkie, czarne, gryzące... Nieokreślony żal, niespodziewana bojaźń snują się w tajemniczym chaosie, który pierś wypełnia...

Ciężko i smutno... Bardzo smutno!...

. . . . . . . . . . . .

I znowu dębowa powaga naszego Zarządu.

Przedewszystkiem kapitalny przedpokój... Dę-

bowa ławka, dębowe wieszadła, dębowe stołki, dębowa posadzka i odźwierny Mikołaj, ogromny mężczyzna z poważnym siwym wąsem, skrzętnie wygoloną brodą, w szarej codziennej liberyi, na której błyszczą herbowe guzy.

Olbrzymią salę zarządu obficie wypełnia światło i dużo powietrza.

Fundamentalnie zbudowane stoły biura upiększa kilkanaście mniej więcej elegancko uczesanych czaszek, nad stołem Osadzkiego zwiesza się siwa głowa patryarchy, Chodorowicz w kącie błyszczy wcale poważną łysiną, przy olbrzymiej kasie szczupła postać Nowoleckiego symbolizuje zwycięstwo ducha nad podłym kruszcem.

Głębokie framugi okien, łukowy sufit, krzepka budowa muru tchną wspomnieniem niezbyt może dalekiej, lecz już zamierzchłej przeszłości, zda się mówią — wybudował nas pan możny, pradziad potężny, który ponad tłumem stojąc i nas ponad nędzne słomiane strzechy wyniósł... Jest powaga w tej sali o strzelistym suficie. Powaga siły, świadomej swojej potęgi i konieczności.

Przy szafie z planami stoi Powierski. Brzydka jego twarz ma wyraz niezwykłego skupienia, oczy smutne, nie zupełnie wygładzona zmarszczka bolu lekkim cieniem przysłania mu czoło. Ręka, którą ściskam, jest gorączkowo rozpalona.

— No jakże?... Horki zwyciężone?... — pyta półgłosem.

— Fiasko, panie Józefie.

— Fiasko... — powtarza i jakiś nieokreślony uśmiech przewija mu się przez usta.

— Twardy to naród ci horczanie... — zaczyna

po chwili. I jacyś dziwni są to ludzie. Czy pan zauważył, w jakiem oni miejscu sadyby swoje pobudowali — nie dla oka, nie dla duszy!... I to już od wieków... W szesnastem stuleciu według naszych aktów i starych planów Horki w tem samem miejscu stały. Kilkanaście pokoleń w tym zapadłym, piaszczystym wąwozie życie swoje wlokło. Wysuszył ich ten piasek, dusze im pozwężał...

— Ja jeszcze nie daję za wygranę.

— Ach!... pan jeszcze walczyć myśli?... — dziwi się Powierski.

— Spróbuję.

— Po co?

— Wymęczyłem się piekielnie i przywiozłem z sobą gorycz, która mi spokoju nie daje.

— A jabym sądził, że nie warto... — mówi Powierski. — Męczyć się dla nich...

— Ja, panie Józefie, męczę się dla siebie...

Powierski badawczo spojrzał mi w oczy.

— To co innego... Chociaż ja sądziłbym, że nie warto... — odparł cicho. — Wielki pan, to znaczy dobry pan, ale dobry pan swoich skarbów do śmietnika rzucać nie może, bo jego skarby to cząstka jego wielkiej duszy, a dobrowolnie w brudnych bajorach moknąć nie godzi się. W Horkach ludzi niema... Pan ich separatem nie wyczłowieczy... Ja ich znam!... Kiedy po pożarze pomagaliśmy z Łosieskim korolowieckim włościanom racyonalne chaty budować i ogrody urządzać, chcieliśmy i w Horkach mniej więcej coś zrobić... Łosieski pieniądze dawał, przy niektórych sadybach horeckich sam drzewa pozasadzał... I napróżno... Także fiasko!... bo posadzone drzewka na opał porąbali. Ludzi tam niema...

Korolówka na nogi stanęła, słońca dziś się nie wstydzi, a w Horkach bydło mieszka. Duszy tam niema... Chciałeś pan im pomódz — pięknie... Ale wymęczać się nie należy... Proszę tylko spojrzeć...

Wskazał przez okno zakątek parku zalany słońcem.

Okolona świerkami mała barwna łączka tonęła w świetle. Pośrodku kilka młodych brzóz białopiennych na ciemnem tle otoczenia tworzyły promienną grupę. Ponad tem wisiał dziewiczy szmat błękitu, wszystko przenikała cisza, królewski spokój, łączący w jedną całość doskonale zieloną ziemię z palącym się kawałkiem nieba.

Twarz Powierskiego wyjaśniał dobry, słodki, szczęśliwy uśmiech. W oczach miał jakieś błyski potężne, wyraz subtelnego uduchowienia wypromieniał jego rysy pospolite i brzydkie, które jakby odbijały w sobie piękno tej łąki tak wspaniale zielonej, tego nieba przesyconego złotą mgłą słoneczną.

— Widzi pan? Co znaczą nasze troski i bóle wobec tego?!... Kołowacizna, śmieszne kwilenie małych niemowląt... dobrowolna, przeklęta ślepota! Tak panie!... Trzeba tylko oczu nie zamykać i uszu nie zatykać, trzeba na oścież bramy i furtki duszy pootwierać... Trzeba umieć patrzeć i umieć słuchać... Patrzeć i słuchać, a potem... zrozumieć. Są chwile, kiedy myślę że to można zrozumieć... Tak wielka jaśnie wielmożna dusza może, powinna to pojąć.... Przecież ten zakątek pod dotknięciem słońca nietylko barwi się, on, panie, gra, jest muzyka w tej ciszy zielonej, w tym spokoju bezdennie błękitnym, w tej nadziemsko cudownej harmonii, która w tem miejscu, w tej oto chwili ten kawałeczek jasnowodz-

kiego parku z bezkresem promiennym wiąże. Wpatrzeć się, wsłuchać i... zrozumieć!... A potem już nic... Potem wniebowzięcie, potęga... Ziszczenie się marzeń, które gdzieś w zaświatach marzeń się snują.

Powierski trzyma mnie za rękę rozpaloną dłonią, mówi cicho, przejmującym szeptem i ciągle jest pogodny. Oczy mu błyszczą blaskiem wewnętrznym, który w tej chwili musi potężnie świecić tam w głębinach tego ciała tak nikczemnie nędznego.

Rozmawiając przesuwamy się przez salę biurową i wchodzimy do parku. Dobrą chwilę, idąc cienistą grabową aleją, milczymy, potem Powierski podniół głowę, wziął mnie pod rękę i mówi:

— Tak, panie Aleksandrze. Przedewszystkiem jest jeden prawdziwie wielki obowiązek — to obowiązek względem nas samych. Zabić w sobie zwierza i hodować... Widziałeś pan przed chwilą łączkę, którą z niebem coś wiązało... Czy pan nie uważał, że takie samo „coś“, dla którego nazwy w języku ludzkim niema, i ja, i pan mamy w sobie w tajemniczym, w świętym zakątku naszej jaźni... Że świadomość istnienia tego „coś“ jest bezkształtna i jednocześnie potężnie jasna... Że to „coś“ ma barwę melodyjną i melodyę, kaskadą barw tryskającą... Że jest ono i ciszą, i potęgą, i jak gdyby tęsknotą, i jak gdyby wspomnieniem, brzemiennem burzą rozpaczy i boskimi promykami niesłychanej jakiejś nadziei.

...Błysnęła przed nami srebrna tafla sadzawki, na wzgórzu pławiła się w słońcu okryta winem altana. Jednocześnie wyczułem ramieniem lekkie drgnięcie ramienia Powierskiego. Brwi zmarszczył, zbladł, twarz mu się przekrzywiła.

W tem miejscu wczoraj znaleźliśmy jego kapelusz, nieco dalej Skrodzki podniósł na dwoje przełamaną laskę.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków.

Powierski zatrzymał się i ciężko usiadł na ławce, przypartej do szerokiego pnia rozłożystej lipy. Ciężki, posępny, jakimś bólem wewnętrznym przepojony wzrok jego tkwił w błyszczącej zieleni altany.

— To dziwne!... — wymówił z cicha.

Po chwili.

— Cały świat nosimy w sobie, olbrzymi świat proroczych przeczuć lub szczątkowych okruchów jakiejś nad-świadomości, którą ciało przygniata i gasi... Wczoraj widziałem tę altanę w nocy pod chmurnem, błyskawicami rozświeconem niebem. Widziałem wczoraj i... widziałem kiedyś dawno... przypominam sobie, widzę ją, jak gdyby przez gęstą mgłę tę altanę.., Jeszcze o istnieniu Jasnych Wód nie miałem pojęcia... Nad Newą w Akademii Sztuk wtedy byłem... Che! che!... Sztuką, boską sztuką wtedy żyłem... nad Newą ...dawno. A jednak wtedy... kiedyś... może we śnie... Nie wiem... Pewny tylko jestem, że stała przedemną w mroku chmur piorunowych, w świetle błyskawic, nad wodą... Słyszę jeszcze poszum burzy, który ją, tę senną moją altanę otaczał, widzę wzgórze i wodę i wiry... straszne, tajemnicze, ziejące cmentarnym szeptem, chłodne wiry... A wczoraj... wczoraj po tylu latach znowu to samo wzgórze, ta sama altana nad wodą, znowu burza, znowu błyskawicowe światło...

Wsparł łokcie na kolanach, schował twarz w dłoniach i umilkł. Po chwili wzdrygnął się raptownie.

— Co panu, panie Józefie?.., Plućcie na to, uspokójcie się, prosiłem, objąwszy go ramieniem.

— Nic... To już przeszło. Takie dziwne, takie niesłychanie dziwne... Zdawało mi się, że czuję chłód kajdan na ręku i nogach... Już nic... Ja miewam czasem takie bajecznie osobliwe chwile, kiedy ludzie mają prawo nazywać mnie waryatem.

Wyraz „ludzie“ wypowiedział z lekka szyderczym tonem.

Wstał, myślał chwilę i położył rękę, suchą, kościstą o długich wiotkich palcach rękę na mojem ramieniu.

— A Grabowiczowi pan nie wierz... Łże!... On potrzebuje cierpiącego tłumu i dla tego motłochu, w którym nic człowieczego może nie być, gotów własną duszę, własne swoje człowieczeństwo zatracić. Taki tłum musi mieć rany na plecach, kolki w bokach i pustki w kiszkach; tylko w takim razie Grabowicz poświęcenie się dla takiego zbiorowego łazarza i głodomora uznaje i nakazuje... On nie rozumie, że można wybrać jedną smutną, starganą duszę i tej jednej starganej duszy całe życie służyć; zlać ją ze swoją i służyć jej przeciw całemu bodaj światu; dopomagać jej nawet w tem, co ogół zbrodnią nazywa, a co w danym razie jest cnotą, bo tej smutnej starganej duszy daje ukojenie, a chociażby i ból, którego ona łaknie i pożąda... Łże!... Grabowicz łże!... — powtórzył.

Machnął ręką i odszedł w głąb parku.

Odszedł i ja zapominam o jego istnieniu, czuję tylko dotkliwy ciężar smutku i gdzieś w głębokim zakątku duszy mojej wyrasta cisza „łączki z niebem związanej,..“ Jeno ta cisza nie wspina się po zielo-

nych stopniach olbrzymów ku błękitowi i słońcu, lecz zaplątała się wśród opylonych liści brzozy płaczącej i spuszcza się po smutnych jej gałęziach coraz niżej ku ziemi.

*8. czerwca.*

Cicha, gwiaździsta, niesłychanie smutna noc letnia blado-błękitnawą zadumą okrywa Jasne-Wody. Dwór i gmach zarządu skryły olbrzymy parku, wieś śpi, na wzgórzu domek Powierskich błyszczy trzema świetlistemi oknami.

Jakiś nakaz wewnętrzny pcha mnie w tę stronę, chociaż na pozór bezmyślnie błądzę po parku i piaszczystej wiejskiej drodze wśród śpiących sadów i zagasłych chałup.

— Pan wyjechał, pani u siebie — tłumaczy mi pokojowa i chowa się do kuchni.

Salonik oświetlony jasno... Drzwi do sąsiedniej sypialni otwarte... W salonie niema nikogo, w sypialni ciemno...

Smutek i tu przypełzł za mną, zgęstniał, zabarwił się niepokojem i nieokreśloną jakąś obawą. Zdaje mi się, że w tej ciszy, która mnie otacza, w powietrzu przesyconem zapachem perfum i kwiatów wisi jakaś zmora potworna, która rozpanoszywszy się i mnie przygnieść zamierza.

Po chwili przeczucie spełnia się w sposób barbarzyński, brutalny. Usłyszałem w sypialni cichy niewyraźny szelest, potem szmer płaczu, potem gwałtownie tłumione łkania, łkania kobiece...

W jaki sposób znalazłem się w sypialni — nie wiem.

Na piersi mojej leży Powierska i płacze. Całe jej ciało gibkie, sprężyste, gorące, drga, poruszone jakimś nieludzko gwałtownem łkaniem, łkaniem bolu nad siły, łkaniem rozpaczy bezgranicznej. Wyczuwam niesłychaną szczerość tego płaczu, widzę jakąś otchłań tajemniczą, która w tej rwanej łkaniami piersi się otwarła. Bezwiednie przyciskam jej głowę do siebie i zlekka całuję włosy olbrzymią kaskadą rozsypujące się ku ziemi.

Ucichła i wyszeptała:

— Pan dobry...

Potem zerwała się nagle i zaśmiała się nieprzytomnie.

— Pocieszyciel... Chcesz pan widzieć, jak wygląda kobieta, która z błota trafiła w pańskie ramiona...

— Patrz pan!... Chodź...

Wciągnęła mnie do saloniku.

Rysy miała chorobliwie ściągnięte, twarz bladą, oczy paliły się jak dwa żużle. Ból, wstyd i rozpacz spoliczkowanego przed chwilą człowieka tryskały z pod przymarszczonych brwi i z czoła, na które spadały krucze jej włosy rozpuszczone i poplątane.

Znowu zaśmiała się bezdźwięcznie.

— Patrz pan!... Przyszedłeś w samą porę... To pan, panie Ohij... a mnie się wydało, że to mój dobry ojciec stamtąd wrócił... rękę moją powstrzymał... cha! cha!... żeby włosy całować... To pan... dobroczyńca... wspaniały zbawca... od śmierci uratował...

Urwała.

— Gdyby nie to... — wyszeptała po chwili — byłabym już daleko.

Pokazała flaszkę i z pogardą wycedziła:

— Opium...

Chciałem flaszkę wyrwać, ale ona zaśmiała się dziko i tak silnie ugryzła mnie w rękę, że kilka kropli krwi wytrysło, a ja mimowolnie wypuściłem jej dłoń, w której flaszkę ściskała.

— Tchórz!... taki sam jak inni — szydziła.

— Masz pan!... bo byś snu nie miał w nocy — rzuciła mi z szyderczym uśmiechem flaszkę pod nogi, a potem na fotelu siadła, zakryła twarz dłońmi i płakała cicho.

Płakała teraz jak dziecko, które się skarży, jak małe bezsilne dziecko, któremu się krzywda stała.

Siadłem przy niej i czekałem.

— Boli pana?... — zapytała cicho, kładąc swoją dłoń na moim ręku. Ja pana bardzo przepraszam... Niedobra byłam... Ja wiem, że pan inny, że pan zawsze, zawsze...

Zapłakała znowu.

— Nic! ach panie, nic!... — przemówiła wśród łkania.

W głosie jej dźwięczała bezdenna, beznadziejna rozpacz i ból niesłychany.

Po bardzo długiem milczeniu odjęła ręce od twarzy i spojrzała na mnie wzrokiem, w którym ból zastygł i oniemiał. Złożyła ręce na kolanach, długie krucze jej włosy rozsypały się na ramionach i plecach, rysy twarzy ściągnęły się i nabrały wyrazu surowego, białe jej czoło znaczyła głęboka nad nosem zmarszczka w postaci trójkąta. Obcy, nieznany mi człowiek siedział przedemną. Miękkość, ciepło, urok jej kształtów znikł, jak gdyby rozpłynął się w jakiemś uduchowieniu, pełnem surowości i powagi. Ból,

cierpienie, zapamiętanie się graniczące prawie z obłędem chłodnym, stalowym błyskiem wylewało się z jej oczu, uporczywie utkwionych w mojej twarzy.

Chciałem wstać — zatrzymała mnie ruchem ręki i znowu długo, przenikliwie patrzyła na mnie, nie poruszając się, nie mówiąc ani słowa.

Czas upływał. Milczeliśmy.

Spuściła w końcu powieki, po chwili usłyszałem cichy jej głos — suchy, pozbawiony zwykłej sobie melodyjności.

— Wypadek rzucił pana w moją stronę w chwili...

Wzdrygnęła się cała, jak gdyby ją musnął śmiertelny chłód podziemi cmentarnych. Spojrzałem mimowoli na flaszkę z opium, leżącą w pobliżu pianina, a ona uśmiechnęła się bezbarwnie i potrząsnęła głową.

— To już przeszło...

Zamilkła i znowu mówiła.

— Dobry pan byłeś dla mnie, zawsze dobry... Dobry nawet w chwilach, kiedy gardziłeś... och! nie zaprzeczaj pan... Ja wiem, ja rozumiem, że byłam, że będę godną waszej męskiej pogardy, która zamyka oczy w chwilach rozkoszy i szału, a potem powieki podnosi i spluwa... Ja to wiem...

Uśmiechnęła się.

— Tembardziej, że każdy z was pożądał i na pożądaniu skończył. Grabowicz ma trochę racyi i niesłychany zasób głupoty... Przytem ja nie zawsze taką byłam... Przytem... a zresztą co to pana, co to kogokolwiek obchodzić może.

Znowu jej rysy skamieniały, znowu w jej oczach zabłysło zapamiętanie się, graniczące z obłędem.

Wziąłem jej rękę w obie dłonie.

— Niech pani mówi, niech pani wszystko wypowie. Przyjacielem jestem, nie zdradzę, a serdeczne współczucie — nie rada, nie nauka... o nie!.. współczucie, ciepłe przyjaźne współczucie uczciwego człowieka ulży pani. Pani Maryo!... droga, biedna pani Maryo, ja proszę, ja bardzo proszę.

Schwyciła mnie obiema dłońmi mocno za rękę i... odepchnęła nagle... Twarz jej skurczyła się nieludzkim jakimś przestrachem, źrenice się rozszerzyły, usta drżały.

— Odsuń się pan!... Boże!... znowu... znowu...

Zaśmiała się dziko i zmilkła.

Powoli rysy jej twarzy łagodniały, z pod przymkniętych powiek łza wybiegła. Milczała. Łzy płynęły coraz obficiej, twarz coraz bardziej miękła i zalewała się bezbrzeżnym smutkiem.

— Co ja panu powiem?... Poplątało się, pogmatwało się wszystko tak dziwnie... Drogę zgubiłam, wyjścia nie widzę i źle mi... tak bardzo, tak okropnie... okropnie źle!...

Oczy miała szklane, koło ust zjawiły się dwie kreski bolu.

— Temat z melodramatu... Historya odwieczna, jak świat stara... Ona kochała, a on lubił... miłość kłamał... i zabił! Ona tej miłości nigdy z serca wyrzucić nie mogła, w życie jej się wżarła, całą ją zatruła... A on kłamał... Pokochał również może silnie, ale inną... więc odszedł. Kłamał, oszukiwał i zabił!... Dwa razy kochać nie można, na dwie miłości serca ludzkiego nie starczy... Z początku nieświadomie kłamał, potem przez litość oszukiwał, potem odszedł... Sprawiedliwą jestem... ale zwykłą bohaterką być nie

potrafiłam... Serce się złamało, dusza spodlała, duma nagle wyrosła, szał zemsty opętał... Ja, panie Aleksandrze, jestem nikczemnie podła, wyrafinowany, dziki zbrodniarz we mnie się urodził i został — mówiła wolno, dobitnie, zimnym jak stal głosem.

Zaśmiała się nagle, oczy jej dziko rozbłysły, przez drżące rozchylone nieco wargi widać było białe jak śnieg zęby.

— Nie żałuj mnie pan! W waszym języku zasługuję na nazwę zbrodniarki. W chwilach szalonej, bezdennej rozpaczy zjawił się Powierski, uratował mi życie, zgodził się na wszelkie warunki, otoczył mnie nieludzką dobrocią, a ja... jego nienawidzę!... Nienawidzę jego dobroci, jego ofiar, jego zaparcia się i zarazem pogardzam jego bolem. Wszystko zresztą jest kłamstwem!... I on przecie... i on... ten szczytny wykwit miłości, ten nędzarz, który przed ołtarzem przysiągł mi tylko opiekę i poświęcenie bez granic... i on skłamał, i on jak dzikie bydlę mnie skrzywdził!...

Wstrząsnęła się ze wstrętem... Szalone, zapamiętałe słowa biegły z jej ust, które jak gdyby lubowały się w deptaniu tego, co stanowiło przedmiot piekielnej jej miłości.

— Potwór jestem... waszem zdaniem. Ja dziś zemsty na obydwóch szukałam... Zabić się — jednemu serce, drugiemu sumienie zgruchotać! Jednym podle gardzę, drugiego... nienawidzę!...

I znowu szydziła przyciszonym syczącym półszeptem, oczy jej miały tygrysie iskry, chwilami w rozchylonych wargach błyszczały zęby drobne, białe i ostre.

Wyszedłem...

Dokoła cisza nocy głębokiej, chmury zawlokły niebo, Jasne Wody w ciemności toną, tylko na wzgórzu błyszczą trzy oświetlone okna Powierskich.

Nerwy mam potargane do szczętu.

Najsłabszego promyka nie widzę przed sobą. Jakaś szara, beznadziejna pustka wyrasta przedemną i ciągnie się ku dalekim murom cmentarnym, za którymi mchem porosłe płyty kamienne zaparły życie w milczących pieczarach ziemi.

Grabowicz ma racyę.

Tragedye, bunty, huragany, któremi owładnąć nie sposób. Straciłem równowagę i prostotę uczuć, jakieś pokłębione konglomeraty myśli, pożądań, nieokreślonych, a potężnych chceń powstają chwilami we mnie i odciągają z jasnej, prostej drogi.

*9 czerwca.*

Całą noc gorączka mnie paliła.

Przez długie godziny mózg ani na chwilę spoczynku nie zaznał. Jakieś chorobliwie dzikie, przerażająco jasne, łudząco naśladujące rzeczywistość obrazy wciąż się snuły przedemną.

Widziałem olbrzymie, falujące wzgórzami śnieżne pole bez granic i końca. Na niebie noc była bez gwiazd i księżyca, w oddali biały tuman zasnuwał horyzont, jakieś dziwne półświatło zalewało śnieżną pustkę. Na jednem ze wzgórz stał wilk niby szkielet wychudły, smutnym wzrokiem obiegał wydmy śnieżne, ciemnymi badylami sterczących z pod śniegu trupów roślinnych upstrzone, i — wył...

Głuchy, tępy, beznadziejny smutek wypełniał

śnieżny bezmiar szarem niebem okryty... Lodowe milczenie wstrząsał skowyt wilczy.

Noc gęstniała, czarny mrok zakrył śnieżną pustynię smutku, tylko żałośny, chwilami groźny, chwilami rozdzierającego smutku pełny skowyt samotnego wilka — trwał...

Z ciemności, przy akompaniamencie wilczego płaczu wyrastała nagle przedemną olbrzymia, silna postać mężczyzny. W roboczej bluzie, skrzyżowawszy na piersi ręce, stał w szarym blasku, oparty o szerokie ramy drzwi otwartych. Na silnej, energicznej jego twarzy ryły się znaki myśli głębokiej, pracy ciężkiej i cierpień gwałtownych. Ból miał w oczach, na czole, w ustach, nawet skrzyżowanie rąk, nawet całą jego postać rozrosłą, krzepką i piękną ból swymi śladami piętnował.

W głębi, za drzwiami dwie kobiety... W oczach jednej błyszczało pożądanie, szyderstwo i zemsta, oczy drugiej pełne były smutku, cichego bolu i zdziwienia... Tuż przy nich zdawało mi się, że spostrzegam olbrzymie oczy Gutka i szczery, łagodny uśmiech szczęścia na brzydkiej, lecz jakby natchnionej twarzy Powierskiego...

Za nimi, z głuchym szmerem, niby poszum głośnej burzy, poruszał się tłum postaci niewyraźnych, ginący w czarnym mroku wnętrza...

Twarz mężczyzny bladła i nabierała coraz więcej blasku, siły, energii i wiary, która mu z oczu ból zegnała, kobiety z cichym jękiem na ziemię padły. Gutek próbował walczyć i padł również. Powierskiego już nie widzę, na zewnątrz wylewają się tysiące, krocie, miliony... niby huragan pędzą, wciąż

rosną i zlewają się w końcu w jedno ciało potworne, milionami oczu na milionach głów błyszczące...

Znowu mrok, znowu cisza i pustka tajemnicza a smutna.

I znowu widzę wąwóz skalisty. Jednolite kolosy skał nagich do błękitu sięgają. W głębi wąwozu cisza i mrok czarny, jeno wierzchołki skalnych olbrzymów błyszczą złotem obramieniem słonecznem... Wąwóz zamyka potwór przed chwilą jeszcze wielogłowy, a teraz jedną olbrzymią głową błękitu sięgający... Na tułowiu potwornym błyszczy słońcem oblana, w bezmiernej ciszy pogrążona, marmurowo spokojna głowa sfinksa.

. . . . . . . . . . .

Grabowicz decyduje...

— Nerwy!...

Wysłuchawszy skróconej opowieści o Powierskiej, twierdzi...

— Ciekawe!...

Na pytanie moje...

— Kto jest ten nikczemnik?..

Uśmiecha się ironicznie i odpowiada:

— On wcale nikczemnikiem nie jest. Znam go ale o więcej nie pytaj, bo ci nie powiem.

— Łzy!... łzy!... łzy!... Grabie...

— Nie jęcz, a chwytaj pierwszą lepszą ścierkę i ocieraj. Babę zostaw w spokoju, a z Horkami koniecznie trzeba skończyć.

— Niepodobna...

— Głupstwo!

— Nic nie wskóramy...

— Musimy wskórać! — twardym głosem mówi Grabowicz. Przed chwilą widziałem Łosieskiego. Mó-

wił mi, że pobereźnik Iwan znowu dwóch Horczan, którzy mają poletki w lesie, złapał na kradzieży dworskich sosen. Tak dalej być nie może... Sami, sami robimy tych rabusiów i złodziei. Powiadasz — trudno?!... Ja ci odpowiem — bardzo trudno, prawie niepodobna, a jednak trzeba!... Kto na jakiem miejscu stoi, powinien obowiązek swój znać i według sił swoich go spełniać... Rozumiesz?... Fatałaszki precz!... Robota powinna być uczciwa, rozumna, wytrwała i silna!...

— Zmęczyłem się Grabie. I dzień mię zjadł i noc, zwłaszcza noc zmogła...

Grabowicz słucha, potem uśmiecha się spokojnie, kładzie mi rękę na ramieniu i mówi...

— Fantazya, krew niespokojna, Olku! Ja tobie przypomnę inny, rzeczywisty obraz. Pamiętasz świetną grawiurę Klingerowską? Na pustej i ciemnej płaszczyźnie stoi człowiek samotny, z rękoma wzniesionemi ku niebu, wzrok jego wybiegł ku skrajom horyzontu, gdzie jakieś tajemnicze nadzwyczajne światło wybłyska. Nazwa grawiury w dwóch słowach się mieści, geniusz klingerowski proroczo woła: *Und doch!...*

— A jednak!.. a jednak, Olku!...

*15 czerwca.*

Nie umiem, nie mogę własnej duszy ujarzmić i wykrzesać z niej iskry jednolitej, ogień tak potężnie jasny, aby mi drogę rozświetlił i prawdę, moją własną prawdę, spoczywającą gdzieś na dnie mego jestestwa, odnaleźć pozwolił.

Szuwarów odpycham od siebie...

Nie chcę, nie chcę myśleć o niej, staram się

wyrzucić ją z duszy mojej, hen precz ze krwi, która mi jej obraz potężną falą do mózgu wrzuca.,. I czuję... czuję, że gwałcę siebie, że cierpienie to niesłuszne, że ból to niesprawiedliwy!...

Zewnętrzny fałsz, w którym brnąć muszę, straszy mnie, męczy i zmaga. Brak mi pewności czynu, brak mi poczucia wewnętrznej słuszności. Stąpam wahając się, ręka moja drży, serce rozdwaja się, duszę wypełniają zwątpienia, przeczucia i łzy — plan nietwórczej, rozpacznej niemocy...

*16 czerwca.*

...Po co?... po co?...

I mnie boli... I ja cierpię, tak strasznie, tak niewypowiedzianie cierpię w głuchem milczeniu samotności bezbrzeżnej.

„Uszczęśliwiać i czynić dobro, oto nasze prawo, kotwica, latarnia morska, racya bytu. — Nieprzerwany duch poświęcenia przetrwał wszędzie i wszędzie kwiat ludzkości cierpi dla zbawienia ogółu“. Tyle Amiel.

„...Nie mogę pozbyć się myśli, że właśnie ziemia jest piekłem, ziemia jest więzieniem, ustanowionem przez jakiś wyższy rozum, w którem ani krokiem nie mogę się ruszyć, aby nie skrzywdzić mego otoczenia, a inni podobnież nie mogą być szczęśliwymi bez skrzywdzenia mnie“ — powiada Strindberg. I mówi dalej... — Czy wytłumaczono cośkolwiek przez to, że jedną masę słów określono przez drugą?...“

Cierpię — to dosyć...

*18 czerwca.*

Ustawiczne kompromisy.

— Ja pana, panie Ohij, absolutnie nie rozumiem!... — mówi chłodnym, trzeźwym tonem Tarnobrzeski. — Przecież matwiejowiecka awantura, to powtórzenie naszej charczańskiej, to przepowiednia tego, co czeka nas w Hapnikach... Przecież tak?... Przyznasz pan chyba, że mam racyę?... Chłopi, w chwili wywłaszczenia sądowego, zatłukli na śmierć komornika, a pan... pan nasz pełnomocnik i doradca prawny, chcesz do spraw obcego majątku się mięszać, do Złotogródki jechać i zbójów przed ławą przysięgłych bronić! Niech pan tylko pomyśli — chcesz pan cudzych chłopów za gwałt i rozbój bronić, a naszych w identycznym wypadku obowiązany pan esteś wysiedlać.

— Pan przesadza — usiłuję się tłumaczyć i czuję podły, nikczemny wstyd wobec tego piżmowca. Nie mówiłem o sobie, pytałem o radę — w jaki sposób tym ludziom dopomódz, bo w całej awanturze i komornik grubo zawinił...

— To nie nasza rzecz! — chłodno odpowiada Tarnobrzeski. — My do tego mieszać się nie mamy obowiązku, ani prawa. Własnej biedy dość. Surowość w danym wypadku konieczna, bo wulkan parujący chyba waryat prochem zapładniać będzie.

...Masz pan racyę, masz pan racyę, panie Tarnobrzeski!... Nie jedną, ale sto racyi! Wobec ciebie, wśród dębowej powagi twego gabinetu czuję się uczniem, błaznem, fantastą i waryatem... Jesteś pan w gruncie nawet dobry człowiek, jesteś pan rozumny i racyonalny statysta. Kraść nie wolno, zabijać nie wolno, komornik zostawił żonę i troje dzieci, inni

komornicy mają także sporą ilość kandydatów sierootwa... Przykład i hamulec być musi... Niewiadomo jest, czy jedna dusza, bolem zabita, nie warta jest miliona dusz sytych i wesołych...

...Niewiadomo — więc masz pan racyę.

...Niewiadomo — więc i ja...

Na dnie, na samem dnie sumienia męczy się we mnie zawiązek płodu jakiejś prawdy innej, jeszcze ciemnej, zaledwie przeczuwanej, wymykającej się promieniom świadomości.

Czuję, że jest ona słonecznie świetlista, twórcza, więc nadludzko potężna... Lecz ująć jej nie mogę, fałszu zadać jej nie chcę, wewnętrznej duchowe renegacyi się lękam.

Grabowicz rozstrzyga kwestyę praktycznie.

Zbieramy składkę na koszta przyjazdu adwokata Jasielskiego z Onpola — ten matwiejowieckich zbójów bronić będzie. Do składki należy i Nałyński, bo Matwiejowce, to ongi dziedzictwo dziada p. Julii. Składkę wnosi nie on, Nałyński, ale jego żona... On jest tylko pośrednikiem.

Sprawa ubita. Na propozycyę naszą otrzymujemy odpowiedź pomyślną.

Jasielski pisze:

„Proszę! więc mam stanąć do roboty?... Prawdopodobnie śni się wam dawny stary Jasielski... Pyszny kawał!... Po dziesięciu latach pobytu w Onpolu — dawny Jasielski?!!...

„Jestem, jestem!... do usług waszmościów...

„Sprawa matwiejowiecka to kamyczek do pracy moich przyjaciół. W agrarnym procesie wystąpić, jako obrońca zbójów... Brrrr!... skóra cierpnie. Ale stary bojowy koń we mnie rży... Kopyta pomimo

woli skaczą, coś tam w tej ex-piersi woła i wyschłe strupieszałe ex-serce podrygiwać zaczyna!... Ano — va banque!... Zfilistrzałe moje kości na złotogrodeckiej ławie obrończej sterczeć będą...

„Przyjadę...“

*30 czerwca.*

Sąd...

Przedewszystkiem „ona“, wdowa po zabitym komorniku Krausie.

Twarz martwa i blada, a w oczach piekło, a w ustach ból, a dwoje rąk małych, ściśniętych kurczowo, bieleją, jak dwa płatki śnieżne na kolanach, obciągniętych czarną suknią żałobną.

Zgubiła sens życia i nie wie... nic nie wie.

Głucha, tajemnicza, jeszcze nie świadoma swej treści rozpacz, niby kamień cmentarny z ponad świeżej mogiły musi jej duszę rozgniatać.

Chwilami pierś gwałtownie się poruszy i zamiera...

Chwilami jakiś płomień po twarzy przemknie i gaśnie, zmieniając się w tępą martwotę.

Tylko w oczach piekło, tylko w ustach ból, a dwoje dziwnie małych rąk bieleją, jak płatki śnieżne na kolanach, obciągniętych czarną suknią żałobną.

Pod ścianą na trzech ławach drewnianych siedzą „oni“, zabójcy Krausa. Są tu ludzie bardzo wiekowi, są kobiety, jest kilku wyrostków gołowąsych. Szare aresztanckie ubiory, szare wydelikacone i jak gdyby pociemniałe więzienne twarze, apatya

na czołach i w ustach, gorączkowe błyski w szeroko rozwartych źrenicach.

Sądowi koronnemu prezyduje krępy, siwy starzec, zwany powszechnie „Didem“... Smukła postać Jasielskiego wychyla się z krzesła, przeznaczonego dla „obrony“.

Did prezyduje, to dodaje otuchy. — Czoło Jasielskiego przecina głęboka brózda pionowa, jest w nim moc, jest przedewszystkiem wiara — stary bojowy koń ma rasę i ma szkołę.

Did złożył ręce na czerwonem suknie stołu i smutnym, pełnym dobrego współczucia wzrokiem patrzy na nieruchomą gromadę, zbitą na trzech ławach drewnianych. Dziesięć lat był mirowym pośrednikiem, do głębi przenurtował te dusze chłopskie, więziennem szarem płótnem okryte. Did tych zbrodniarzy rozumie i smutek, głęboki smutek błyszczy z pod dużych siwych brwi starca.

...A „oni“...

...Rozumieją, naturalnie rozumieją!...

Nie kradnij, nie zabijaj, nie pożądaj cudzego... Duży zbiorek tabliczek z napisami powkładano do ich mózgu. Uriadnik, sąd, tiurma... Nowy szereg napisów przeplata ich włókna mózgowe.

Rozumieją...

Znieruchomieli, tylko oczy im błyszczą...

Dziwne błyski! Z dna duszy biegną, świadczą, że tam w ciemnych głębinach mają oni jakąś inną „swoją“, dla nich tylko zrozumiałą prawdę... To, co ich otacza, ma dla tej gromady znaczenie formy koniecznej — tak musi być, to odbyć należy, tak nawet być powinno, bo od tego jest „wołost’“, policya, pan „pysar“ w kancelaryi i duży budynek wię-

zienny, zielonym, koniecznie zielonym dachem pokryty... Komornik w chwili śmierci — wieczna jemu pamięć! — miał szlify na ramionach i złote guzy herbowe... Więc to trzeba odbyć. ...Otacza ich nie prawda, ale forma... Prawdę bez „pysara“ i komornika oni mają w sobie pod tem szarem płótnem, w które ich przywdziano... Mówią o tem ich oczy błyszczące na szarych wydelikaconych powietrzem więziennem twarzach.

Did te ich myśli rozumie i jest bardzo smutny. Twarz Jasielskiego sposępniała, na czole nadzieja przygasła.

Śledztwo wykazało fakt znęcania się i zabójstwa. Komornik zawinił zbytkiem nerwów, tłum ze zwierzęcem okrucieństwem znęcał się nad nieszczęśliwym.

— On żony swojej przez całe życie ani razu nie uderzył, a Krausa bił... — powiadają świadkowie o starym Semenie Ławryniuku. I Bondar łagodny bardzo i Jakimczukowa i Złotarenko i Horobeć... A bili, wszyscy jak jest, bili...

— Biłeś, Semenie — pyta Did.

— Dwa raza pałkoju udaryw...

— Dla czego?

— Ne znaju... Chwila taka... Ja jego nie zabił... Wszyscy bili...

...I Bondar i Jakimczukowa i Horobeć odpowiadają...

— Ne znajemo... Chwila przyszła... Wszyscy bili...

Twarz Krausowej wciąż jest martwa, oczy wciąż się palą. Cała jej postać, okryta suknią żałobną i długim welonem krepowym, tworzy niby gwałtowni<sup>e</sup>

czarną plamę krwi zakrzepłej, na którą przez okna sali brutalnie padają snopy złotych blasków słońca.

— Ta kobieta — szepcze mi do ucha Powierski — straciła wszystko... Taka już jest... W nędzy żyła, bo rodzice pułkownikostwo za mezalians córki się wyrzekli. Teraz przyjmą ją z otwartemi rękoma, a jednak ona straciła wszystko... Czasem, jak się kobieta uda, to wychodzi — Krausowa... Che! che!... ci ludzie naturalnie niewinni, bo jest ich „dużo“, a ona jedna i grzeszna... zmysłami zanadto żyła... I on także... Piosnki ludowe zbierał i kochał... Grabowicz twierdzi, że to grzech... Ano jak grzech — to przyszła i kara... śmierć. Jejmość o miłości zapomnieć winna, bo ma obowiązki... dziatek dwoje, a „oni“, ponieważ jest ich „dużo“, więc zasługują na ulgę... Che! che!... — śmieje się Powierski i odchodzi.

Zbliża się koniec. Jasielski z krzesła się podniósł.

Smukła jego postać, jak gdyby wrosła, czarne głębokie jego oczy, zadumą zwykle zasnute, mają wyraz surowy, na czole pionowa zmarszczka pogłębiła się i drży...

Rzucił pierwsze słowa...

Spokój... ukojenie wlewa mi do piersi. Wyboru robić nie potrzebuję, piekielny śmiech Powierskiego w uszach moich milknie, widzę długi korowód cieni krzyżami obarczonych...

I „ona“ i „oni“, i wszyscy bólem łamani, i wszyscy głodem próżnych pragnień umęczeni, i potężni a bezwolni, i maluczcy a ciemni... niezliczona ciżba cierpiących, smutnych i tęsknotą zwalczonych, niby widma wybladłe przed trybunałem się tłoczą,

wołają — sądźcie nas! — szydzą — szukajcie między nami winnych?!...

Dzień był letni, słoneczny, oparem świeżej orki, zapachem młodego zboża, radością rozśpiewanego ptactwa przesycony... I nagle ludzie przyszli i czarną noc z sobą przynieśli... Wśród złotej runi ból wykwitł, krew się polała... stała się śmierć, której „on“ nie wywołał, której oni nie pragnęli... Biedny on!...

...A oni?...

Jasielski mówi „o nich“, świat ich myśli, los ich życia głębokim, surowym głosem kreśli... A mnie się zdaje, że słyszę głos krzywdy ludzkiej na rozstaju wśród pól szarych u stóp rozpiętej na krzyżu czarnym Postaci jasnej, płaczącej... że widzę olbrzymią rzekę łez, która po skalnych zrębach z jękliwym szumem płynie...

Rozełkana skarga krzywd ludzkich nie milknie... rzeka wciąż płynie, poszumem swym wieczność mierzy, fale swoje jak kryształ w słońcu lśniące, na zrębach skalnych, marszczące się i spienione, w ciemność nieprzebraną, w wiekuistą noc rzuca...

Głęboki, metaliczny głos Jasielskiego brzmi teraz mniej surowo. W ustach jego, lekko wzruszeniem skrzywionych, zadźwiękła nuta beznadziejnego smutku... niby echo łkań i skarg gromadnych nadpłynęło z pól dalekich, z pól krwawym potem niepoailnej i płonnej pracy zroszonych...

Nadpłynęło i rozełkało się przed trybunałem prawdy na krzyżu umęczonej...

Nadpłynęło i szarym smutkiem chmurnych zachodów jesiennych serca ludzkie osnuwa, roztęsknia i tłoczy...

Głębokie, szczere wzruszenie wypełnia salę sądową... Tylko twarz Krausowej wciąż jest martwa, nawet oczy przygasły, a dwoje małych rąk, niby dwa płatki śnieżne, bieleją na kolanach obciągniętych czarną suknią żałobną.

Teraz tłum podsądnych poruszył się gwałtownie i powstał, bo prezydujący pyta, czy nie mają co dodać na swoją obronę...

Ożywienie zabłysło na ich twarzach zmęczonych. Władza pytała, należało odpowiedzieć, inaczej nie można, tak trzeba... Zebrali się tu przed nimi i swoje robią... Na to jest sąd!...

...Czy nie mają co dodać na swoją obronę?

...Oczywiście — nie.

...Winni!

Wszyscy winni, nawet bezzębna, trzęsąca się staruszka, nawet dwunastoletni wyrostek i młoda dziewczyna z jasnym, pogodnym, nieco zalękłym wzrokiem.

Wszyscy...

Dzień konał. Ostatnie promienie umierającego słońca zabłysły na obnażonych szablach straży więziennej, a tłum szarem płótnem okryty poruszył się gorączkowo, powstał i zamarł.

Sąd ferował wyrok...

Wyrostków i dziewczynę uniewinniono, kobietom przyznano okoliczności łagodzące, pozostałych skazano...

Po twarzy Krausowej przemknął lekki płomień, oczy na chwilę rozbłysły i usta lekko zadrgały... Rozległ się cichy, przejmujący płacz... Ktoś płakał na sali wśród widzów...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na ulicy spotkałem Łosieskiego, który do składki na przyjazd Jasielskiego nie należał. Przyczyn nie tłumaczył, propozycyę szorstko odrzucił.

— Napróżno wzdrygałeś się, Gustawie. Sprawiedliwości stało się zadość... zasądzili.

Łosieski milczy. Potem głowę podniósł i brwi zmarszczył.

— Nie rozumiem i nie zrozumiem waszego rachunku ilościowego... więc nie szydź, Aleksandrze. Potrzebujecie widzieć przed sobą gromadę, żeby duszę ludzką w niej dostrzedz i... zapłakać... Milion, a przynajmniej kilkadziesiąt dusz smutnych, albo sto pudów i dwadzieścia dwa funty dusz bólem męczonych... przepraszam — głodnych, lub spragnionych... Cha! cha! to dopiero warto zachodu, wtedy dopiero podnosi się drukowany gwałt, rozdzieranie szat papierowych; wtedy dopiero wyrastają systemy, projekty; wtedy dopiero spada krokodyla ulewa łez, zrywa się huragan absurdów i obłudy!...

— Gutek!...

— Mam słuszność, Aleksandrze, — spokojniejszym nieco tonem przerywa Łosieski. Czy widziałeś Krausową?... Patrzyłeś na nią, ale jej nie widziałeś, ciebie absorbował — tłum. ...Jasielski ją widział... Jasielski ją czuł, on czuł również zabitego przez ten tłum Krausa i chwilami głos mu się łamał... Znałem go... Piosnki ludowe namiętnie gromadził, przywoził Powierskiemu desenie haftów po chatach zbierane... Nie dałem ani grosza na przyjazd Jasielskiego.

— I dobrze pan zrobił... Bydło, zwierzęta... Jużonto raz od pana słyszał w Machnowieckiej karczmie, kiedy Machnowczanie złodzieja słusznie karali.

Dopędził nas stary Borkowski z Charczan.

Stał przed nami wysoki, rozrosły, silny... Na grubej słońcem spalonej szyi leżała olbrzymia długim, siwym włosem okryta głowa. Nosił długą brodę, usta okrywał sumiasty wąs, z pod zupełnie białych krzaczastych brwi błyszczała para żywych, niesłychanie surowych oczu. Twarz miała teraz wyraz szyderczy, w oczach błyskały chwilami ogniki zawziętej nienawiści.

— Ja pana znam! — uśmiechnął się złośliwie... — I daj Boże... wydychać! Daj Boże!... daj!... — powtórzył i zmieszał się z tłumem ludzi, który nas otaczał.

Łosieski zbladł i twarz mu się zmieniła raptownie. Wyraz dumy, niesłychanej pogardy przemknął po czole, a potem rzewny smutek złagodził jego olbrzymie, niby morze głębokie oczy.

Poszliśmy milcząc.

Po drodze dopędził nas lokaj Nałyńskich z kartką od p. Julii.

...Proszę przyjść — pisała.

Pożegnałem Gutka i udałem się do hoteliku Abramsona, gdzie Nałyńscy zwykle stawali.

Mocny zapach Ideal'u wypełnia numer hotelowy, którego dwa otwarte okna wychodzą na mały placyk, zakończony białemi murami kościoła. Ostatnie promienie zachodzącego słońca złocą krzyż wieży, łagodny zmrok letni zasnuwa ogród plebanii, cichy pusty placyk i wnętrze pokoju.

Wyciągnęła ku mnie obie ręce.

Czarna letnia suknia doskonale odcienia białość szyi i rąk, oraz wspaniale subtelny i nadzwyczaj wykwintny rysunek jej twarzy owalnej.

— Dziękuję panu!... Wiem o sprowadzeniu Jasielskiego z Onpola i dziękuję... Niech pan siada... Było to właściwie naszym obowiązkiem... W ciężkich chwilach przeszłości ci ludzie stanowili wyjątek i mój dziad wiele im zawdzięczał... I ja zapomniałam, i Bolek swoim zwyczajem zapomniał... Najpewniej nie myślał o tem... A pan...

Mówiła urywanemi frazesami, na czoło jej chmura wybiegła, a oczy miała smutne i pierś falowała szybko.

— Dziękuję!... jeszcze raz dziękuję panu!

— Nie mogę tych podziękowań przyjąć, bo tylko wykonanie ja i Grabowicz przypisać sobie możemy. Środków dostarczyła pani...

— Ja?...

— Pan Bolesław w imieniu pani zapłacił przyjazd Jasielskiego... tj. właściwie koszty podróży, bo Jasielski honoraryum nie przyjął.

— Mój mąż... w mojem imieniu?...

Czoło jej jeszcze bardziej schmurniało, oczy były jeszcze smutniejsze.

— Znowu tajemnica... — szepnęła. — Mąż nic mi o tem nie mówił... Niespodzianka!... Czy pan wiedział, czem są dla mnie ci ludzie?...

— Nie pani, nie wiedziałem. Ale nie wiem, dla czego ta sprawa męczyła mnie więcej, aniżeli inne tego rodzaju sprawy... Rad jestem, bardzo rad!...

— Kto pierwszy rzucił myśl sprowadzenia Jasielskiego... Pan?...

— Nie, pani. Ja chciałem osobiście bronić tych ludzi, lecz w samej rzeczy byłby to nonsens. Jasielskiego zaproponował Grabowicz.

— Pan ma często bardzo sympatyczne... nonsensy.

— Proszę wierzyć, że Jasielski zrobił wszystko, co mógł... Trudno było... Chcieliście inaczej... Stało się.

Podniosła powieki i patrzyła na mnie badawczo.

...Wie wszystko.

Jej oczy do wnętrza mego swobodnie weszły i z dna duszy tajemnicę moją zabrały.

— Dziękuję panu... — szepnęła ze smutnym uśmiechem i znowu w oczy moje spojrzała.

Patrzy... Patrzy...

I wie wszystko...

I niewolnika widzi przed sobą...

Ona, pani moja, na twarzy ma uśmiech smutny, pobłażliwy, łagodny i smutny...

Zdaje mi się, że oczami wyczytuję z jej oczu echa bolów i cierpień duszy, która tam pod falującą na piersi czarną jak noc oponą kryje się i płacze..

Zdaje mi się, że jedno dotknięcie jej ręki...

Nie!...

...Jeden ruch błyskawiczny myśli pod jej czołem białem wywołałby huragan ech bratnich w mojej duszy, która samotna jest i spragniona, która drży i czeka...

Czeka napróżno!...

Ona, pani moja, patrzy...

I wie wszystko...

I niewolnika widzi przed sobą,

A jednak w promiennym szlaku świateł bezkresu dwie gwiazdy nie mogą być bardziej dalekie i obce.

A jednak uśmiech jej smutny mówił do mnie — samotny jesteś i samotnym zostaniesz... obcą ci zawsze będę... mojej drogi ty rozjaśnić nie możesz...

Obca!...

Taka daleka i taka bezgranicznie ukochana... taka jedyna... na całem bezbrzeżu świata jedna jedyna!... Ona tylko!

I nie moja!...

I obca!... I daleka!...

Wyszedłem z poczuciem piekielnej samotności i pustki.

Nademną noc zapalała pierwsze gwiazdy wieczorne. Cisza tchnęła z niebios i od ziemi, na wieży kościelnej dzwony grały za jakąś duszę, która się ciała wyzbyła...

Coraz głębszy, coraz błękitniejszy spokój ochwytywał niebo gwiazdami drgające.

Bzy pachniały, cisza rosła i dzwony wciąż grały.

. . . . . . . . . . . .

Specyalna woń żydowskiego zajazdu, hotelowy hałas i szwargot złotogrodeckich obywateli trzeźwi mnie, sprowadza na ziemię, na której ulokowana jest jasno-wodzko-charczańska kasa Rytwiańskich, gdzie męczy się kwestya separatu, oraz kajdanami brzęczy „prawda“ Jakimów.

W numerze czeka na mnie Borkowski.

Podniósł się ciężko z krzesła, stojącego pod oknem, surowym swoim wzrokiem zlustrował moją osobę i powoli, jak gdyby wahając się, wyciągnął ku mnie rękę.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki.

— Jeszcze pan dłoń starego uścisnąć może.

Wyraz „jeszcze“ dziwnie jakoś podkreślił.

— Siadajcie, panie Borkowski. Słucham was.

Stary usiadł, obie dłonie oparł na dużej drewnianej lasce i na chwilę głowę spuścił, a potem oczy podniósł i w twarz mi spojrzał. Surowa powaga ściągała rysy jego twarzy ogorzałej, w oczach błyszczał jakiś ogień posępny.

— Pan, panie Ohij, dobry jesteś człowiek... — mówił głosem życzliwym. My to wiemy... A jak gdzie niektóry tego nie wie, to on to czuje.

— Sprawiedliwości mało jest na świecie, to jak gdzie chociaż kapelka jej się znajdzie — sława Bogu i za to! Splunąć na taką rzecz nie godzi się... Ot, ja panu pomódz przyszedł.

— Dziękuję wam, ojcze. W czemże to pomódz mi chcecie?

Borkowski uśmiechnął się ironicznie.

— Nędzarz ja, bez dachu, włóczęga, ale pomódz wam, panie Ohij, pomogę. Widzi pan, choć my, jak powiada pan Łosieski, bydło...

— Dajcie pokój, ojcze!... Łosieski tak nie myśli...

Stary uśmiechnął się powtórnie.

— To już pańska rzecz. Pan swoje, a ja swoje... Ja panu pomódz przyszedł... Pan sprawiedliwy jest człowiek... Pan tam swój rozum ma i ja tego rozumu dobrze znać nie mogę... Ale pan jest sprawiedliwy, to pan złego dla ludzi nie zechce i ja panu pomoc dam...

Spojrzałem na starego ciekawie.

Stary myślał chwilę, a potem znowu mówił...

— Pan w Horkach nic nie zrobił...

— Nie chcieli ojcze... nie chcieli!...

— Ja za pana zrobię — stary Borkowski panu powiada, że horczanie na zamianę gruntów się zgodzą, i oni się zgodzą. Moja w tem głowa i pańska sprawiedliwość. Pan za matwiejowieckich chłopów, a horczanie dla pana... Jak Kuba Bogu, tako też Bóg Kubie...

— Wierzcie mi, panie Borkowski, że to przedewszystkiem będzie z korzyścią dla samych Horek.

— To już pańska rzecz!... — posępnie odpowiada stary. — Ja tego dobrego nie bardzo rozumiem, ale to nie mój interes. Pan sprawiedliwość tu robił, to pan krzywdy i tam nie zechce. Wasza rzecz, panie. Ja wam pomogę, a potem — wasza rzecz... Pan ma sumienie, to pan swego młodego sumienia zapaskudzić nie zechce. Ja sobie właśnie tak myślę i dla tego panu pomogę.

Zachmurzył czoło.

— Kto na mnie chlebem, na tego ja piernikiem słodkim, ale za krzywdę... za zło, za kamień, za ślinę...

Oczy mu dziko zabłysły.

— Nie za moją!... nie za moją!... Ja już stary, do grobu blisko... Ale są młodzi... są młodzi, wnuki moje i powinowaci po krwi niby, i przyjaciele... dzieci zmarłych przyjaciół po sercu, co tę krzywdę dźwigać będą i dźwigać... Niech jemu Pan Bóg tego nie zapomni!...

— Wy się mylicie ojcze!... Łosieski za horczan stał zawsze, dopomagał wam, ratował was...

— I zgubił!... — szyderczo zaśmiał się stary.

— To nie prawda!...

— I zgubił! — powtórzył mocnym głosem.

Potrząsnął głową.

— Nie żyd nas zgubił, ale on!... Jak ta sprawa nasza się zaczęła, pan Łosieski, rządcą w kluczu charczańskim był. Wielki pan!... wielki pan!... a my bydło!... Do niego trafić nie można było, a żydiuga proklatyj sam do nas trafił... Durnie jesteście... ot co z jego, pana Łosieskiego, gadania my wymiarkować mogli... A żyd zakony przywodził, jakieś ukazy nam czytał, głowę nechryst zamoroczył i zgubił... Nie on, nie żyd, ale pan Łosieski, jaśnie pan Łosieski. Niech jemu Pan Bóg na sądzie ostatecznym to policzy...

Podniósł stary rękę, wyprostował się i z pod krzaczastych siwych brwi groźnie okiem błysnął.

— A w Horkach ja het wszystko zrobię. Jak kto sprawiedliwy, to krzywdy ludzkiej nie zechce... Ot i dzisiaj ludzie gadali, kto to adwokata z Onpola sprowadził? A potem pomiarkowali i mówią — pewnie Ohij!... Tak też ono i jest... My pana wiemy. Jak skarbowego gdzie zabraknie, to pan szuka, upustu złodziejom pan nie da... My pana znamy... Tak to ono i musi być... Ale gdzie jakie dobro na nas spadło, to zawsze albo pan Grabowicz, albo pan temu winien... My od ojca Porfirego o sztrafach słyszeli i Sydorczuczkę z wnuczatami pamiętamy... A wczoraj Rohozę do szpitala fabrycznego zabrali... Rohozicha panu Grabowiczowi dziękuje, a pan Grabowicz powiada — durna, babo, jesteś, ja w szpitalu jeno osiem łóżek miał, a twój stary na dziesiątem leży... To pan Ohij, mówi, te nowe łóżka wyprosił, jemu dziękujcie, on, mówi, o was pamięta... My to wiemy i także pamiętamy...

Gdzie jaki głupi sarknie... ano nie! Pan Bóg nie zapomni i stary Borkowski pomoże...

Wyciągnął do mnie rękę.

— Słowo się rzekło i Horki będą w porządku.

— Dziękuję wam.

— Niema za co. A teraz dobrej nocy.

— Dobrej nocy, ojcze!... Jeszcze raz dziękuję. Wasza obietnica, to dla mnie pewność.

— Niech Bóg dopomaga!...

— Do widzenia...

Chciałem pomówić o kwestyi zamieszkania charczan w szałasach nad Horyniem, lecz stary okiem błysnął i machnąwszy ręką, szybko wyszedł do sieni zajazdu.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Zostałem sam.

Znowu ziemia z pod nóg mi się wymknęła, znowu bezmiar potężnych uczuć pierś moją wypełnił... Tylko smutek wypełzł z duszy, tylko serce uderzało silnie, lecz równo i spokojnie.

Mam w sobie radość dziecinnie ufną i dziecinnie szczerą, jakaś moc wyrosła tam w głębiach świadomości, gdzie przed chwilą jeszcze panował smutek i zniechęcenie.

Więc praca nie poszła na marne.

Wierzą mi... Wdzięczni są...

Słaba, prawie niewidzialna fala poruszyła nieruchome, ciemne otchłanie... i dziś po raz pierwszy uczuwam świeże muśnięcie tych kręgów rozbieżnych, które stworzył kamyk, moją dłonią ciśnięty.

Dumy nie mam w sobie — jest we mnie spokój i radość taka niezmiernie potężna!

Na dworze za otwartem oknem noc ciemnym

szafirem okryta, złotem skrzących się gwiazd przetkana... Noc promienna i cisza nieszporna. Cisza świątyni rozmodlonej, wśród której organy marzą, w ołtarzach świece żółtym blaskiem migocą, a w półmroku nizin nawy strzelistej ból, prośba i nadzieja głowy ludzkie kornie ku ziemi chyli.

...Pana Ohijowa robota...

Nie wiem, skąd ten frazes w archaiczną szatę przybrany, po mózgu moim się plącze i serce porusza.

Za oknem bzy pachną, przepojona obfitą rosą ziemia pachnie...

Zdaje mi się, że słyszę „szmer pługów" i „głos" pogonny ludzi biednych". Roztkliwiam się jak histeryczna baba, nie umiem opanować niesłychanej jakiejś radości, która mnie wypełnia i sądzę, że mam prawo jej nie odpychać, bo nikt o niej nie wie i nikt wiedzieć nie będzie... Nie mam jej dla ludzi, posiadam tę moją radość wyłącznie dla siebie — ze mnie ona płynie i za rozgłos, za pomniki i uznanie mi starczy.

Pana Ohijowa robota...

*5 lipca.*

Łosieskiego poprostu nie poznaję.

Sprawia wrażenie człowieka, który zupełnie w sobie się pogrążył i żyje wyłącznie tem życiem wewnętrznem, niesłychanie ciężkiem i niesłychanie strasznem.

Jakiś ból, jakąś burzę nosi w sobie. Automatycznie spełnia swoją robotę, milczy, tylko twarz nabrała posągowej skamieniałości, tylko olbrzymie

jego oczy posępnie się palą, chwilami gasną i martwieją, chwilami pełne są ogromnego zdziwienia i niepewności, to znów wstrętu i pogardy.

— Czy znasz to? — pytał głosem na pozór spokojnym, w którym czuć się dawał oddech ognia, gorejącego gdzieś na samem dnie wnętrza jego duszy.

— Czy znasz to?...

Zlej w duszę łask światło na męczeństw Taborze,
Bym w ziemię te blaski słał niebios świetliste,
Daj życie, lub weź je — lecz całe o Boże!
Usłysz mnie Chryste.

Dziwnie boleśny, prawie męczeński uśmiech skrzywił mu usta.

— Nawet za śmierć ręczyć nie można!... Nie wi m... nie wiem, czy umrę cały... I tu droga zamknięta...

— Gdybym mógł wiedzieć?!...

— Gutek...

— Zostaw... zostaw, Olku. Będą wyrazy, określniki, logicznie zbudowane frazesy... To nie to!... to zawsze nie to!...

— Gdybym mógł wiedzieć?!... — powtórzył...

I znowu boleśny, prawie męczeński wyraz kaził czystość rysunku jego twarzy bladej.

Długi chłodny cień pada od niego na moją drogę słoneczną. Coś burzy się we mnie, ostry niepokój z dna duszy się zrywa i widzę czarną postać Krausowej, skrwawione ciało nieznanego mi Krausa, który „piosnki i hafty“ zbierał, oraz inne widma pojedyńcze, które z samotnych mogił powstają i w sennym półblasku gwiazd błądzą, od wspólnych, gromadnych cmentarzy stroniąc.

Dla czego nie mogę posiąść tej ufnej, dobrowolnej ślepoty, która Grabowiczowi siły wzmaga i spokój daje?... Spokój wśród cierpień najwyższych, spokój wobec śmierci nadziei osobistych!...

„Czyń, co do ciebie należy, nie troszcząc się o to, co się stanie.“

Co do ciebie należy...

Nie wiem, właśnie nie wiem...

Und doch! — woła Grabowicz i widzi przedświt słońc nieznanych na skraju horyzontu, mających się zrodzić... Przeczuwa światło, które ma się rozproszyć i raduje się temu rozproszeniu się światła i wierzy, że siła wspólna cząstek potędze ogniska się zrówna.

Ja widzę krzepką postać olbrzyma, który wśród pustki i ciemności ręce do nieba wyciąga, własną li siłę z siłą nieznanych mocy łączy, światło z własnej duszy krzesze, ciepła w piersi bólem targanej szuka.

Samotny jest...

On — i nikt!...

Równe mu olbrzymy w poza-światach uczuć i myśli, u mistycznych ognisk pra-mocy bratniem uderzeniem serc z nim się zlewają... Tu na tej ciemnej równinie wiecznie rozdzieleni, wiecznie samotni i samotnością swoją nadludzko potężni...

Samotność, ból i potęga!...

Blade promyki świtów z ich piersi olbrzymich tryskają. Pożarem ich nadludzko potężnych serc ziemi świecić będą... Oni zostaną sobą z piekielnym bólem porodów, często oplwani, zawsze samotni...

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
W niezmierną pustkę płynie przez odmęty
Krzyż — na nim Chrystus boleśny rozpięty!...

*6 lipca.*

Precz!... precz!...

Po co te złudy, które mnie tak bardzo serce umęczyły?!...

Świat tak wspaniale piękny, szerokie fale szczęścia spływają z promiennego błękitu, ziemia pachnie i śpiewa, olbrzymio prosty, cudownie zrównoważony spokój snuje się nad zielenią łąk, nad złotem łanów, wśród cienia lasów sosnowych, ponad tajemniczem milczeniem chłodnych nurtów Horynia...

Idę do Łosieskiego.

Radbym jednem uderzeniem dłoni rozdusić wrzód, który gdzieś w samem sercu duszy wyrósł i dolega mi, i męczy...

Doskonale są dopasowani — mieszkanie i on, Gutek... Zwłaszcza duży o trzech oknach weneckich gabinet zawsze sprawia na mnie wrażenie, jak gdyby był wypełniony czemś nieuchwytnem, czemś, co z duszy Gutka wypływa i integralną część jego istoty stanowi. Jest tu artystycznie wykończone piękno i jest powaga, jest cisza i tajemnicze jakieś skupienie.

Wieczór nadchodził.

Łosieski grać właśnie przestał i z nawpół przymkniętemi oczyma, jak gdyby nie wyszedł jeszcze z fali dźwięków, które mu w duszy śpiewały.

Drgnął...

— Dobrze, żeś przyszedł, siadaj.

Ręce miał chłodne, twarz bardzo bladą, widziałem, jak w jego olbrzymich oczach światła stopniowo gasły. Martwy chłód ściągnął i znieruchomił jego czoło i usta.

— Trzeba, Aleksandrze, raz skończyć z char-

czańską maskaradą. Podobno łąkę nadrzeczną zupełnie zniszczyli... Skończyć trzeba...

— A trzeba. Właśnie Tarnobrzeski ma w tych dniach wydać rozporządzenie Julskiemu, żeby kilkadziesiąt furmanek zebrał, szałasy porozwalał, a czynszowników wraz z ich rzeczami do Złotogródki wywiózł. Od naczelnika powiatu mamy obiecaną pomoc. Więc Julski...

— Nie Julski, ale ja... — chłodno przerywa Łosieski.

— Dlaczego nie Julski, ale ty?

— Ja!...

— To jego rewir...

— Ja mam jeden jedyny, własny mój rewir, – powtórnie przerywa Łosieski. — Jeżeli zarząd wysiedlenia mi nie powierzy — rzucam służbę.

— Zwaryowałeś, Gutek!

— Blisko tego było... Już jestem zdrów... Cha! cha!... na linii... na własnej linii!... Każda moja robota jest moją, chociażby nawet zbrodnią była i ja tylko za nią przed samym sobą odpowiadam... Cnota na tem często polega, żeby do końca zostać sobą — nie cofać się, nie kryć, nie wykręcać, konsekwencye na własnym łbie umieć udźwignąć... Możesz powiedzieć Grabowiczowi, że i ja mam moje osobiste obowiązki i że w sferze tych własnych moich względem mnie samego obowiązków, kompromisów nie znam i fałszem truć się nie chcę.

Uśmiechnął się gorzko.

— Przeznaczenie... czy inne jakie licho.

Machnął ręką.

— Zawsze to tylko słowa, próżne określniki,

ale nie rzecz... Głupstwo!... Charczańska awantura przy mnie się zaczęła, ja ją skończę...

Znowu uśmiech posępny twarz mu wykrzywił.

— Na linii... na własnej linii... — szepnął i podszedłszy do pianina usiadł i w klawisze uderzył.

— Piekielna muzyka...

Zdawało mi się, że on struny rwie i szarpie. Jakiś szatański ryk rozległ się po gabinecie... a potem śmiech nieludzki... a potem...

Nie wiem...

Doznałem uczucia niesłychanego chłodu, beznadziejnej, bezkresowej szarej pustki, w którą biegły potężne dźwięki fala za falą... Spiętrzony wał za wałem perlił się w słońcu i gasł, ginął w szarym mroku, w bezmiernej przestrzeni, którą nie myślą lecz napiętem do bólu uczuciem chwytałem.

Urwał i milczał chwilę.

Potem mówił, jak gdyby nie do mnie.

Siedział, skuliwszy się na okrągłym stołku przed pianinem i zapatrzony w głąb własną, mówił...

— Zaczęło się w Wiedniu... Córka emigranta i adwokat wiedeński pochodzenia węgiersko-czeskiego... Zgrzeszyła przez ciekawość i wstrętem ją to przejęło... Zmuszona wyjść za niego, rok z nim dziewiczo żyła i uciekła... Potem teatr, duża scena stołeczna, przybytek sztuki ojczystej... Kapłanka... Cha! cha!... zimne jak lód stworzenie, przepojona wstrętem pierwszej chwili grzechu... Taką była i starania patronów teatralnych ognia w niej wykrzesać nie mogły... Wreszcie w imię sztuki stało się... Studentem był agronomii i dyletantem artystą... Ten w niej iskrę rozniecił, on pierwszy właśnie zrobił z niej kobietę...

zwierza w duszy rozbudził i.. cha! cha!... między ludzi puścił... Koleżeństwo w imię sztuki... bachanalie dla sztuki... zmiana wrażeń dla utrzymania napięcia działań iskry natchnienia i... znowu uciekła... Znikła, ale przedtem cały ten brud, którym przesiąkła, do duszy jemu rzuciła... I on tym brudem upoił się, onieprzytomniał i aż tu... tu się zatoczył!.. Przestał rozumieć... wszystkie naraz drogi pogubił... zamiast sztuki widział ramy wypełzłe, kulisy brudne, pełne śmiechów lubieżnych i westchnień zwierzęcych, jakieś góry błota, jakieś ścieki brudem tchnące... Przestał rozumieć i... onieprzytomniał i... aż tu się zatoczył!... Zaczęło się nad modrym Dunajem, kończy tu nad wąskiem korytem Horynia. Znalazłem Charczan, których zduszę i parę prawie takich oczu.

— Patrz...

Wskazał na stalugi.

Szkic głowy Powierskiej... Boże, co za głowa! Przypomniałem sobie straszną noc, spędzoną w jej salonie... To ona!... ona!... taka, jaką jest w sobie... Nie głowa ale dusza Powierskiej... Dusza kilku uderzeniami pędzla na płótno rzucona... Mglisty szkic...

Tylko oczy jej ogniem się palą, tylko usta boleją... i pragną... Miałem to gdzieś w sobie... od tej nocy piekielnej miałem... lecz dopiero dziś Łosieski swoim szkicem do mózgu mego to wtłoczył. Dzika, szatańska potęga, siła władcza tryska z tych oczu... Te oczy w krew moją się wświecają... Oczy i usta... zbolałe i pragnące.

— Prawie Powierska! zaśmiał się szyderczo Łosieski.

Mnie wypełnia nagle przeczucie jakiegoś nie-

szczęścia, które niezależnie od nas już istnieje i wkrótce zasłonę przedrze i do świadomości się wtłoczy.

W uszach mam piekielne dźwięki pianina, w oczach oczy Powierskiej, zdaje mi się, że ustami wyczuwam jej usta zbolałe i pragnące...

Oczy i usta!...

*15 lipca.*

Weranda w mieszkaniu Tarnobrzeskiego.

Nałyńscy — Tarnobrzeski — Powierska — Łosieski — Ohij — Panowie i Panie z fabryki.

(Na niebie słońce gaśnie, na olbrzymiej werandzie w matowych kloszach lampy pozapalano. Na stole elegancka zastawa herbaciana, dwóch lokai i kozaczek cicho służbę pełnią, miękki, dyskretny dobrobyt otacza gości w łagodnem skojarzeniu światła lamp i zachodzącego słońca, wśród silnego zapachu kwiatów, którym tchną przedpałacowe klomby i gazony. Chwilami słabiej, chwilami silniej dolatuje szmer wodotrysku. W parku mrok i cisza rośnie, na werandzie gwar i blask się wzmaga.

Nałyńska i Powierska...

Smukła, gotycka uroda pani Julii jak gdyby wysubtelnia się jeszcze bardziej wobec żywotnej, szatańskiej i władczej zarazem urody Powierskiej. I tu i tam życie potężne o tętnach silnych i szerokich, lecz tam przemaga strzelistość nieba sięgająca, tu rozlewność zaborcza, szał niszczący granice etycznych podziałów i założeń).

Tarnobrzeski. — Proszę mi wierzyć, że wszystko to przechodzi — burze, bóle rozpaczne, tak zwane cierpienia nad siły... Wszystko... Trzeba umieć tylko czekać.

Łosieski. — Bagatela!

Powierska (z ironią). — Rachunek, w którym trzeźwa cierpliwość, umiejętność przeczekania do debetu się włącza, często zawodzi.

Tarnobrzeski. — Niezawodnych rzeczy, proszę pani, niema. Ja mówię wogóle...

Łosieski. — T. j. pan mówi o uczuciach, które właściwie nie istnieją...

P. Julia. — Więc zdaniem pańskiem prawdziwa miłość hamulca nie zna?...

Powierska. — Nie ma go!... On jej nie obowiązuje... Ona stwarza raj, albo piekło... Żywiołowo działa...

Nałyńska. — I żywiołowo mści się...

Powierska (z pogardą). — Karze!... odstępców i zbrodniarzy, kłamców i oszustów karze... Żywiołowo?... Tak... Wbrew nawet swej woli to czyni... Cierpi... i uderza!... Z bólu żałości karze i gruchocze!... Przedmiot własnego ukochania, który zbrodnię względem niej spełnił, gruchocze... Taką jest, bo taką być musi... Prawdziwa miłość, to moc i potęga życia, to życie samo w sobie. Więc nie zemsta, ale — konieczność... Życie, albo śmierć...

Nałyński (zimno). — Niebo z tobą, albo piekło — tobie!...

Powierska. — Obojgu — piekło!...

Nałyński. — W imię...

P o w i e r s k a — (przerywa). Bóg tak chce... a może szatan... Ale tak jest...

N a ł y ń s k i — (zimno). W szpitalach.

P o w i e r s k a. — A!... pan szydzi.

N a ł y ń s k i. — Nie pani. Szukam konsekwencyi.

P o w i e r s k a. — Więc i pan sądzi, że każdy taki ból przetrwać można?..

N a ł y ń s k i. — Nie mówię o waryatach.

P o w i e r s k a (z uśmiechem gorączkowym). — O waryatach...

N a ł y ń s k i. — Normalny człowiek granicę nogą wyczuje.

P o w i e r s k a (z ironią). — Jakże pan taki garbek wyczuwalny nazwie?

Ł o s i e s k i. — Rzucacie państwo kamyki do otchłani, której dna dostrzedz nie można.

P o w i e r s k a. — Pan Nałyński nawet otchłań przyzwoicie umeblować potrafi. Czekam odpowiedzi.

N a ł y ń s k i. — To jest?...

P o w i e r s k a. — Jaką ten grzbiet graniczny nazwę nosi?...

N a ł y ń s k i (zimno). — Dla tych, którzy miłości własnej nie mają, nazywa się to obowiązkiem.

P o w i e r s k a. — Ach z geografii... Z geografii dla dziatek rodziców przyzwoitych. Cha!... Cha!... Panie Gustawie!... Jak wysoko pan ceni ten towar?...

Ł o s i e s k i. — Czy pani chce urządzić maskaradę? Arlekin potrafi być niekiedy djabelnie smutny.

P o w i e r s k a. — Byle jasny i... szczery.

Ł o s i e s k i. — Są rzeczy, które arlekin i tonem swym kala...

P o w i e r s k a (z ironią). — Więc i dla pana są

rzeczy święte?... Ha!... — jestem akademicko poważna... Stawiam pytanie praktyczne... Tylko jeden warunek... Nie chcę frazesów, nie chcę teoryi, nie chcę w piękne słowa przybranych sofizmatów. Żądam odpowiedzi prostej, nawet banalnie prostej, byle szczerej... Powiedzcie mi państwo, na czem polega prawdziwy, jak pan Nałyński mówi (zaśmiała się szyderczo) święty obowiązek w takim przypadku... Naturalnie on i ona... Ona (głos jej lekko, prawie nieuchwytnie dla ucha zadrżał) po za swojem uczuciem nie ma nic, jest niczem... On ją lubi... zmysłami ku niej lgnie... może pewien czas łudzi się, ale wogóle on jej nie kocha, miłość kłamie, z początku nieświadomie, potem rozmyślnie przez dobroć serca (zaśmiała się nerwowo) ją zwodzi, rozpala piecyk do białości, a potem... Potem przychodzi dla niego chwila prawdziwej, jak śmierć silnej miłości dla innej... Więc rzuca lubioną, a idzie za tamtą, która życiem dlań się stała... Ta pierwsza, opuszczona zamiera... ta druga umrze, jeżeli ją opuści... Na czem, na czem polega obowiązek tego Tantala?.. Och!... pana, panie Łosieski, nie pytam... Teoryę pańską znam... Zresztą pan jesteś wyższy ponad to. Dla pana ból ma znaczenie względne, zależne od ogniska, na którem płonie.

Tarnobrzeski. — Taki pan wpuszcza sobie kulę do mózgu.

Powierska. — I na tem koniec? Konwencyonalna ekspiacya... i już?.. I to się nazywa spełnieniem obowiązku?.. Takie pojęcie, które w danym wypadku wylewa się w formę kuli wsuwanej do

mózgu, powinno być groblą dla miłości, dostatecznym wałem, przez który karząca ręka uczuć pogwałconych, bólów piekielnych przedrzećby się nie była w stanie?!.. Przecież ten wasz obowiązek cierpienia nie zniszczy, on go nawet nie uświęci... Małe nieporozumienie, panie Nałyński. Można elegancko obutą nogą wyczuć kres dodozwolony takiej przyzwoitej miłości, która porządnym kontraktem ślubnym się kończy, ale nie tej, panie Nałyński, którą serce krwią zakontraktowało i nie tej panie Łosieski, która nie zważa na wartość paleniska, lecz w najpopodlejszej nawet duszy czasem świeci i urąga tytanom, mówiąc — mnie to boli tak samo, jak i was!...

(Ostatnie wyrazy wymówiła nienaturalnie podniesionym głosem. Wogóle przez cały czas nie może zapanować nad sobą i odpowiednio modulować dźwięków, które wyrywają się jej z piersi z nierównomierną szybkością, niekiedy ze zbytnio rażącą ucho emfazą. Przykre milczenie... — Po chwili)...

P. Julia. — Pańskie zdanie, panie Łosieski?

Łosieski. — Chce pani dzwonków arlekina?

P. Julia. — Proszę o prawdę.

Łosieski. — Szczerą?

P. Julia. — Taką właśnie.

Łosieski. — O ekspiacyi mowy nawet w danym wypadku być nie może, (chłodno) kula w łeb sensu nie ma tam, gdzie jest właśnie obowiązek życia.

Powierska. — Więc pańskiem zdaniem...

Łosieski (chłodno). — Ta druga jest jego obowiązkiem...

Powierska (również chłodno). — A ta pierwsza?..

Łosieski. — Mimowolna ofiara, która jemu łamać życia nie może...

Powierska. — Ja się z panem zgadzam... Ale ta pierwsza... co ona?..

Łosieski (przerywa). — W razie zemsty, lub walki zgnieść ją powinien!..

Powierska. — Cha! cha! cha!..

(Znowu milczenie. Z czarnego mroku, który park zasnuł, dolatuje cichy szmer wodotrysku, matowy blask lamp łagodnie srebrzy przedpałacowy gazon kwietny. — Oczy Powierskiej piekielnie się palą. Widocznie odbyła ciężką walkę, z kimś się zmogła, kogoś powalić chciała i zgruchotać. Wyraźny niepokój, a nawet nerwowe podrażnienie widać na chłodnej zwykle twarzy Nałyńskiego. Pani Julia zdradza chwilamiześrodkowaną, naprężoną badawczość jakiejś myśli wewnętrznej, która ją trapi. Łosieski uderzająco jest blady, posępny blask ogromnych jego oczu wzmaga się i wgłąb idzie, w sobie się zamyka. — Milczenie trwa... — Mimowoli mrużę oczy i słyszę lekki, prawie senny szmer wodotrysku i widzę szkic głowy na stalugach Łosieskiego... Dusza Powierskiej)...

*22 lipca.*

Cały tydzień zabaw.

Rauty, majówki, bale...

Bal u Czołhańskich.

Obcy, nie znany dla mnie świat. Świat, z którym jeszcze w kolebce zerwałem wszelkie stosunki, tracąc rodziców i majątek.

Tarnobrzeski mnie z sobą wyciągnął i czuję się bajecznie samotnym w tych olbrzymich salonach,

pośród tych ludzi, którzy zapominają, że nazywam się Ohij, którzy widzą we mnie tylko płatnego plenipotenta „tego kochanego hr. Tomasza“.

Sprawia mi to podłą przykrość. Usuwam się od tańca, rozmów i towarzystwa, bo się boję uczuć łaski, bo się nikczemnie boję, aby mnie nie spotkało przesadnie grzeczne uściśnienie ręki. Gdyby nie strata fortuny, stałbym na równi z nimi, przewyższałbym ich urodzeniem... A dziś... pan plenipotent Ohij.

W duszy pana plenipotenta wyrasta głupia zazdrość i jeszcze głupsza pogarda. Zamykam się w sobie i zdaje mi się, że jestem kosztownem naczyniem, w którem jakiś święty, nieznany tym ludziom ogień płonie. Na zewnątrz jestem jako indyk nadęty, w sobie... Cha! cha!.. w sobie jestem straszliwie wdzięczny zamaszystemu szlachcicowi imć. panu Hodowskiemu, który kilku słowami do towarzystwa mnie włącza.

Pytają go, czy nie zna Gołkowskiego z Prutkowa.

— A kogoż bym ja nie znał, śmieje się Hodowski, w naszych lasach, na naszych stepach, wśród pagórków naszych zielonych? Ten mi brat, ten swat, ów familiant, a tam jeszcze znajomy, lub przyjaciel, którego trzeba ogadać, jak nie gębą, to w pamiętnikach po sobie zostawionych. Znam ich... A jakże, łaskawco mój kochany... Papa, mama i panna Zońka... Mama anioł i panna Zońka anioł...

— A papo?

— Papo... nie tego, decyduje Hodowski.

Spojrzałem na szlachcica badawczo i dosyć ostro. Gołkowski żonaty jest z krewną mojej matki. Sam go nie lubię, ale zawsze.

Hodowski wzrok mój pochwycił i nagle w czoło się uderzył.

— W samej rzeczy, w samej rzeczy, łaskawco mój kochany, powiada do mnie i uwagę otaczających zwraca w moją stronę. Onpolski prozapista, zdaje się, głupstwo palnął... Powiadają mi — Ohij — a ja niby nic... Jak gdyby Ohije, łaskawco mój, jako mak w Polsce rośli... Wszak ostatni wojewoda ...awski godnie to nazwisko nosił... Ba! nawet starosta owrucki z tejże familii pochodził, z Pawszanki na świat godnie przyszedł i Owruczowi starostował... Potem zmaleli, ale godności krwi nigdy nie zatracili, bo jakem szlachcic, toć karmazyn jest foremny z waćpana, łaskawco i dobrodzieju mój osobisty. No i patrzciej państwo! — Ohij — a ja niby nic... Nawet prawdopodobnie syn pana Zygmunta?.. Tak?.. Wiem, wiem, jak Boga mego kocham wiem i to z detalami... Córka prezesa, pana Janusza Mężyka, była pańską rodzicielką, a pan Janusz miał rodzonego brata, pana marszałka Bogusława... nie... Leona Mężyka, którego córka za Gołkowskim... Wiem, łaskawco mój, wiem... Matka pańska miała dwie siostry — jedna była za Ginwiłłem, który w Paryżu mieszkał i jakoweś ważne funkcye za cesarstwa sprawował, a druga, zdaje mi się panna Jadwiga, za baronem Walbachem z pod Mitawy. Mówiono mi, że umarły i o ile wiem bezdzietnie, a synowie pana Leona także w ziemi. Tak też i jest. Dziś już Mężyków niema. Byli ongi, świecili obywatelstwu godnością i przykładem, a teraz owym senatorskim Mężykom światłość wiekuista świeci...

Pan szlachcic owrucki wprowadza mnie do „towarzystwa“.

Syn Mężykówny nabiera pewnej wagi i znaczenia pośród tych ludzi przed chwilą jeszcze tak bardzo obcych i dalekich. Zaczynam czuć się „na swoich śmieciach“, rozglądam się dokoła wzrokiem swobodnym i powoli wsiąkam w tę masę barwną, która mnie otacza.

Słucham i patrzę.

— Etes-vous jamais à Jarmolińce?

— J'ai vécu à quelques lieux de Jarmolińce.

— Quand cela donc?

— Il y a quelque temps.

W innym kącie.

— Ma chère Marie vous-aviez l'air souffrant tout á l'heure quand je vous ai vue sur le canapé. Un tour de valce vous ferait du bien.

I znowu.

— Nous negligeons toujours de regarder de l'autre côté du mur... powiada jakaś dama.

— Ou un Dieu, ou pas de principes... twierdzi siwy jegomość, przesiąknięty perfumami Chypre idéal.

I jeszcze.

— C'est plus que dangereux: c'est de mauvais ton·

I tak dalej, i tak dalej.

W sali tańce. Na progu sali chwyta mnie pod rękę p. Karol Żarowski.

— Ja panu powiem, panie Aleksandrze, że ten wasz Grabowicz to histojalny facet. Ja jemu mówię, że u mnie w młynie znowu łajdak robotnik naumyślnie włożył rękę do koła i palce mu urwało... Widzi pan?.. A on powiada, że ja winien... Ot panie!.. Powiadam jemu, że nie prawą, ale lewą, naumyślnie, panie lewą rękę gałgan włożył... Widzi pan?... A on

mi na to, że mój młyn to „kostołomka“!.. Ot panie!.. kostołomka... Widzi pan?... Ja mam kostołomkę?.. Ot panie!.. To komedyalna komedya!.. Mój młyn kostołomka!.. Widzi pan?..

Boże! po co ja tu jestem?

Tracę czas i zniepráwiam... co? Nie serce, i nie mózg, raczej nerwy... Jest mi chwilami dobrze, chwilami rozkosznie, chwilami obco. Jakiś niepokój mię dławi, nieokreślone wyrzuty ból w piersi wzniecają.

Połowa otaczających mnie ludzi zimę spędza w Nicei, w Cannes, w Monte-Carlo. Słyszę o niesłychanych przyjęciach u wice-hrabiny de Trevise, dzwonią mi w uszach tytuły ks. ks. de la Rochefoucault, Pignatelli d'Aragon, Bibesco, de Salamanca; dowiaduję się o „manoir Doliwa“ w okolicach Nicei, gdzie jakiś polski hrabia nadzwyczajne jakieś muzeum urządził.

Co to jest?

Gdzie punkty styczne z mojem życiem?... Ja mam moje Horki, Hapniki, Charczany, moich Jakimów, Rohożów, moich wojowniczych charczan z Borkowskim starym na czele... Ja, urodzony z Mężykówny Ohij, niosę pęta musowe i dobrowolne, które mi nogi plączą... W domu czekają mnie dwa psy i pustka, przedemną jakaś droga nieznana, po której znajdę... dół nie głęboki i cztery deski marnie zbite... Moje psy zakopią wcześniej, a potem ja... Pęta, niepokój, czy pęta one mają sens i cel należyty, w końcu pewność błyskawicznego pogrzebu, aby obcy człowiek światu po śmierci nie zawadzał.

Jak ja tym ludziom chwilami zazdroszczę niezależności, swobody ruchu, którą oni zużytkowują odpowiednio do swych wymogów wewnętrznych... Boże!

Dwa, trzy lata takiej swobodnej egzystencyi z olbrzymimi środkami w ręku. Cały świat mogliby przewrócić, gdyby chcieli...

Złączyć się i chcieć...

Cannes, Monte-Carlo, Soubise'y, Bibescowie, Czarnołuccy..

Horki, Matwiejowce, ojciec Jakim, zamordowany Kraus, dziecko z dziwnemi oczyma, którego ojciec w więzieniu się powiesił, serwituty, chaty w ziemię zapadłe, kradzieże leśne, stary Borkowski, oraz Szmul Igdał w surducie „ukazami" wypchanym.

Oni — i ja...

Potęga żelazna, wały niebotyczne, krzepkie mury ochronne — i kopanie dziecinnych dołków w piasku, i czysty, schludny, jasny szpitalik Grabowicza na dwanaście łóżek wywalczonych przezemnie, dobroczyńcę Ohija!..

Obłudne kłamstwo, płytki egoizm stanowi podścielisko tego spokoju, tej radości wewnętrznej, którą Grabowicz wywalcza ciężką i płonną pracą swoją...

Jest tu Nałyńska.

W oczach mi ta kobieta rośnie i duszę moją coraz bardziej na własność swoją zabiera.

Jest jak wyniosły szczyt alpejski — im bliżej ją oglądam, tem bardziej olbrzymieje, chmury przecina i głowę swoją promieniami niewidzialnego dla ogółu słońca złoci.

Zbliża nas nieśmiałość moja. Chwilami ja to rozumiem, chwilami działam nieświadomie, a wtedy węzły zadzierzgają się silniej, zbliżam się ku niej,

wyczuwam jak gdyby lekkie oparcie jej dłoni na mojem ramieniu.

Zawsze pogodna i zawsze bajecznie smutna.

Wierzy mi — wiem o tem. Ufa mi — czuję to! Ta ufność stumilową przestrzeń kładzie między nami. Kiedy jest nieobecną, ośmielam się ją kochać, wobec niej zmysły cichną, pozostaje uwielbienie.

Zbliżamy się.

Wchodzi do najtajniejszych zakątków duszy mojej i swoją małą rączką tam gospodarzy, usiłuje porządek zrobić w duszy mojej. Z cudowną pionową zmarszczką na czole słucha moich wynurzeń, a potem stara się, abym ja mógł wierzyć, że ona to wszystko odczuwa i rozumie. Jest w niej bezmierna obawa samotności wewnętrznej, połączona z niezwykłem bogactwem treści duszy... Jest wyrozumiałość i słodycz, jest tkliwość i hart potężny, jest możność bezgranicznego oddania się i poświęceń, byle ta dusza wybrana w absolutnem z nią połączeniu jej własną duszą stać się chciała.

Urodzona siostra miłosierdzia w chorobach dusznych — bez praktyki.

Jam dla niej obcy.

Ona daje mi jałmużnę i chwilami cierpi, chwilami gwałtownie się zmienia, oczy jej gasną, głos staje się bezdźwięcznym. Wtedy myśli o Bolesławie, o tej duszy zamkniętej, a tak bardzo ukochanej, do której wstępu znaleźć nie może.

Żebrakiem jestem, który podstępem jałmużnę wyprasza. Kradnę to, co innemu prawnie się należy.

Żebrak!..

*25 lipca.*

Maryniecka puszcza.

Lasy, olbrzymie zielone lasy dokoła.

Maryniecką puszczę kilkadziesiąt mil od głównego dominium Rytwiańskich oddziela. W głębokim zakątku owruckiego Polesia puszcza stoi, przecina ją Żerew, zaludnia zwierz dziki i lud prawie zdziczały, posępny, milczący.

O kilkanaście stajań od wsi Marynek główna leśniczówka w bór się wsunęła, na skalistym brzegu Żerewu zabudowania swoje rozrzuciwszy.

Dokoła olbrzymy stuletnie, spokój, cisza i smutek.

Ciemne wody rzeki bez szelestu wśród zielonych ścian płyną, czasem wicher zielone wierzchy poruszy, trąbka leśna w oddali zagra, jakiś głos niespodziany, a tajemniczy z głębin puszczy nadbiegnie... Zresztą świergot ptasi przyciszony, półsenny, i cisza i smutek.

Zdaje mi się, jak gdybym sam siebie odnalazł, zdaje mi się, jak gdyby cała przeszłość ciężkim snem była. Wobec potężnego rozrostu natury, wśród przesiąkniętej rozgwarem ptasim ciszy leśnej, którą słońce złoci i Żerew ożywia, wśród majestatu dziewiczo czystych i mężko wybujałych form życia, stoję cichy, prosty, dziwnie spokojny, wyczuwający absolutną wspólność z treścią tego, co dokoła mnie wyrasta, śpiewa, błyszczy, rodzi się i ginie, aby w nieskończoność przejść i w niej pozostać.

Melodyjny szmer puszczy, rzeka napoły senna, subtelnie cieniowana gra słońca wśród pogmatwanych splotów zielonych ramion dębowych, przeczucie dalekich ostępów tajemniczych głębin boru łagodny smutek nawiewają mi do duszy. Lecz wyzbyłem się

nieznośnego ciężaru samotności, rozkoszuję się bezbrzeżną ciszą, która we mnie wyrasta.

Gdybym tam zdala od tego zakątka, zaszytego w gąszcz niebotycznych drzew, zbrodnię spełnił — mógłbym przeto czuć się jako dziecko niewinnym, tu na leśnem wybrzeżu rzeki, samotny i dobrowolnie bezbronny wobec bezgranicznie czystych, niczem nie skalanych przejawów życia.

Rzeka łagodnym, braterskim uściskiem najdalsze zakątki puszczy w jedność łączy, zielone szczyty do góry strzelają, rozgwar ptasi do słońca, hen ku wyżynom biegnie, blado-niebieski, w słońcu roztopiony bezmiar, miryadem strzał złotych przecina zielony dach na milowej przestrzeni nad ziemią rozpięty.

Daleko, daleko odbiegł odemnie żywot mój jasnowodzki. Zwątpienia, troski, bóle poszły precz... Jestem przedewszystkiem sobą... Coś, co niby marzenie zaklęte miałem w duszy, wyszło z niej, w rzeczywistość się zmieniło, stoi przedemną, jako cząstka żywa mojej istoty... Tak... Jako jedyna pewność, której wierzę, którą mogę uwielbiać i kochać, która we mnie jest i w której ja jestem...

*28 lipca.*

Sielanka pierzchła.

Nad łóżkiem mojem stoi główny leśniczy Garbowski z zegarkiem w ręku.

— Która godzina, panie Garbowski?

— Piąta. Na 8-ą trzeba być na miejscu, a drogi kawał i to drogi kiepskiej przez las. Świadkowie są.

— Niech jadą naprzód.

— A pan dobrodziej?

— Pojadę z Iwaśkiem.

— A czy ma pan dobrodziej rewolwer?

— Po jakiego djabła mam mieć rewolwer?

— A po takiego djabła, że te łajdaki gotowe zamordować pana.

— Pleciesz pan głupstwa, panie Garbowski.

Garbowski wzrusza ramionami, a po chwili widzę przez okno, jak jednemu z leśników uzbrojonemu w strzelbę wsuwa do kieszeni sześciostrzałowe cacko, którem chciał mnie obdarzyć.

W godzinę potem na małym wózku jadę na wschodnie krańce puszczy, gdzie czeka przybyły z Onpola członek sądu w kwestyi granicznego sporu z gromadą wsi Szulawy, która rozmaitemi czasami zagarnęła z maryneckiego lasu około trzystu dziesięcin, stanowiących uroczysko zwane Mogilnicą.

Las się już zbudził.

Świeży podmuch przebiega nad wązką poprzerzynaną korzeniami droga leśną, która się wije środkiem boru, to biegnąc ponad brzegami Żerewu, to wsuwając się w gąszcz leśną.

Jakiś nieokreślony ciężar, smutek i tęsknotę, jakiś niepokój wiozę z sobą na tym trzęsącym wózku wśród rozśpiewanego lasu.

Jadę bronić mego chlebodawcę od gwałtu, jadę sprawiedliwość czynić, złożyć namacalne na gruncie dowody, że stała się kradzież oczywista, że połowę Mogilnicy szulawiacy nieprawnie zagarnęli wbrew planom i z pogwałceniem znaków granicznych.

Tak jest. Kradzież z pogwałceniem znaków granicznych...

Napróżno. Definicya prawna nie uspakaja mnie bynajmniej.

Mówię sobie dalej.... Gwałt oczywisty spełniony nie przez jednostkę, lecz przez olbrzymią sto chat liczącą wieś. Petro, Semen, nawet słynny złodziej Hryćko powiadają — to nie my, to „hromada“. Hromada. Złodziej o tysiącu głowach.

Rozpowiadam to sobie i niepokój mnie śsie...

Na łączce przeciętej krętą linią Żerewu, spotykam ośmiu naszych leśników, uzbrojonych w strzelby. Wyjechali przed godziną i widocznie z rozkazu Garbowskiego tu na mnie czekają.

Moja straż ochronna.

Naturalnie dzięki sprawności Garbowskiego wszystko jest w porządku.

Jadę sprawiedliwość wywalczać. Osiem strzelb mojej głowy broni... Na wszelki wypadek szesnaście kul w stalowych, błyszczących w słońcu łożnicach, rozkazu czeka.

— Żyć z nimi nie sposób, mówi do mnie starszy leśnik Workiewicz. Złodzieje, proszę wielmożnego pana... Całe Szulawy, het jak jest, gniazdo rozbójników... Wieś do starostwa kiedyś należała, niby kazienna była... Nadziały to oni duże dostali, ale w piasku, a teraz kradną. Nasi maryniecey także, proszę wielmożnego pana, nie lepsi... Upilnować nie można... Dalibóg, codziennie człowiek pacierz mówi, żeby pan Bóg miłosierny chrześcijańską śmiercią umrzeć pozwolił... A to tego i patrz, co zamordują... Pańskiego doglądasz, a oni zamordują... Och !.. cho! cho !.. Przecież to szelmostwo po całym lesie się rozlazło, jak to z przeproszeniem, robactwo paskudne. Zaraz wielmożny pan zobaczy, co oni z Mogilnicy zrobili...

Z gąszczy wjeżdżamy w obręb lasu, który właściwie już nie istnieje. Miejscami błyszczą żółte

ścierniska, pogradzane płotami z chrustu, miejscami leżą olbrzymie dęby i sosny siekierą powalone, sągi drzew niedbale poukładanych, kupy drzazg, oraz czernieją wypaleniska weglowe. Droga prawie nie do przebycia: gałęzie i całe wierzchołki drzew ściętych przejazd tamują.

— Ot, proszę wielmożnego pana, powiada Workiewicz, jak to psubraty w Mogilnicy panują. Pola orne porobili, drzewo wywożą, het wszystko rąbią, het wszystko niszczą, całe uroczysko powoli zagrabią.

W oddali pokazała się gromada ludzi.

— Cho! cho!... woła Workiewicz. Niech też wielmożny pan patrzy... Caluśka wieś wyszła, ino bachory z babami w domu zostały... Arsen!..

— A szczo?

— Bahaćko ich tam?

— A budze sztuk piatdesiat.

— Szoby im hołowy pokrutyło!

. . . . . . . . . . .

Długi dzień badania miejscowości z sędzią, geometrą i świadkami w otoczeniu kilkudziesięciu włościan wsi Szulawy, chłopów przeważnie drobnych, szczupłych, od słońca i z brudu czarnych, obdartych i milczących.

Złożyłem sędziemu plany i akty władania i milczę. Geometra Ohrymowicz mierzy, sędzia konfrontuje plany i bada świadków.

Szulawiacy także milczą. Chwilami dostrzegam na ich twarzy wyraz dziecinnego niemal zdziwienia, szybko zmieniającego się w ironiczny pół-uśmiech; chwilami groźne błyski z oczu im biegną, lub cichy gwar wśród nich rozbrzmiewa — niby rój pszczół zabrzęczy i scichnie.

Geometra Ohrymowicz bierze mnie na stronę i pyta:

— Jak też pan mecenas sądzi?...

...Pan mecenas sądzi, że wątpić o grabieży nie można. Mogilnica oczywiście do marynieckiej puszczy należy.

— Uhm...u, mruczy Ohrymowicz.

— Pan wątpi?

— Niech pan Bóg broni,.. Ja słuszność panu mecenasowi przyznaję... A jakże!.. I Boże broń, abym wątpił. Ale nie wiem, czy pan dobrodziej pozwoli?...

— Bardzo proszę, niech pan mówi...

— Otóż, powiada Ohrymowicz, ja proszę pana jestem tylko geometra, to prawie, jak aptekarz... Znaczy dureń... Uważa pan? Ale ja, proszę pana, już dwadzieścia lat po całuśkiej, jak jest guberni, z sądem jeżdżę i, uważa pan, patrzę, słucham, wącham... Niby mierzę, ale nosem wącham... I powiem panu, to nie tak łatwo rozstrzygnąć, gdzie prawda...

U głodnego jedna prawda, a syty ma drugą prawdę... Panowie swoje, a oni swoje i wychodzi kasza... Ja ich proszę pana, nie bronię... niechaj Bóg zachowa! Kradzież, gwałt, nieuszanowanie cudzego... A pfe!.. ja tego nie pochwalam.,. Ale czy też pan dobrodziej był kiedy w Szulawach? Cha! cha! pan dobrodziej tam nie był... Ja jestem geometrą, więc ja tam byłem... Tam, uważa pan, jest nędza... Tysiąc dusz na piasku siedzi i... Mogilnicą się karmi... Czysta rzecz!... Sąd, a nawet trybunał najwyższy, senat niby, hrabiemu to przysądzi, bo to hrabskie... Szulawiacy złodzieje, całe uroczysko wykradli, to pewne, jak pan Bóg na niebie... Ale jak pan dobro-

dziej im ten kawał lasu odbierze, palce szelmy gryźć będą... Niech pan mecenas pomyśli... Niby jeżeli rzecz idzie o moralność, ano to za pozwoleniem, to rzecz inna... Moralność to widzi pan tak... Dzieci głodne, a szafa z przysmaczkami otwarta; papa i mama nie patrzy, a tu jeść chce się... Czy pan dobrodziej myśli, że kradzieży w onej szafce nie będzie?.. Cho! cho!.. kradzież brzydka rzecz, ale widzi pan, do Szulaw nikt ani moralności, ani rozumu nie przynosił, a Rytwiańscy nigdy o maryniecką puszczę nie dbali. Po trzy grosze fura drzewa u nas tu była, więc nikt o tym lesie nie myślał. W Marynkach siedział leśniczy, który polował i fajkę palił; i palił i polował, a Szulawy już czterdzieści lat Mogilnicę kradną... Starzy o tej kradzieży zapomnieli, a młodzi mówią, to nasze, bo za naszej pamięci gromada chleb stąd brała.. Uważa pan?.. Pan im o prawie nie mów, bo oni o Onpolu nie wiedzą, o Owruczu ledwie słyszeli... W domu piachy, a Mogilnica pod bokiem, i ta Mogilnica czterdzieści lat już ich ratuje. Ja jestem geometra, więc niby tak, jak aptekarz, ale pan dobrodziej niech o tem pomyśli.

Przerwano naszą rozmowę. Sędzia żądał od włościan planu ich nadziałów.

Odmówili.

Po zbadaniu naszych świadków, szulawiacy swoich świadków usunęli.

Perswazye, prośby, nawoływania sędziego nie pomogły.

— Na szczo? Wy wże tutki wse zrobyły.

— Oho!.. akuratnie, rozlega się wśród gromady.

— Lis nasz pomirały.

— Taj wżeż.

— I świdki pański posłuch majut'...

— Proszę zamilczeć! — woła sędzia.

— Taj szo tutki mołczaty. Lis nasz. Świdki pański breszut'...

— Więc planu nie dacie?

— Na co on wam? Sprawa nie nasza, a pańska.

— I świadków waszych nie chcecie, żebym zbadał?...

— I ce ne potribno. Lis nasz.

Sędzia zapisuje ich odmowę i zakończa protokół, wzywając trzech oficyalnych przedstawicieli szulawskiej gromady do podpisania aktu.

— Nie podpiszemy, powiadają.

Sędzia i tę odmowę do aktu wnosi.

Nie bacząc na spokojne, pełne surowej godności zachowanie się sędziego, jesteśmy w położeniu niebezpiecznem. Z lasu wysunęło się jeszcze kilkudziesięciu ludzi. Ze wszystkich stron otacza nas gromada szulawskich włościan.

Twarze pojedyńcze są niby spokojne — gromada stanowczo jest wzburzona i groźna...

Naciskają na nas coraz bardziej. Jesteśmy w kole, które coraz więcej się zacieśnia. Czujemy oddech otaczających nas ludzi. Bezpośrednio wpatrujemy się w ostre błyski, które z ich oczu tryskają.

Spostrzegam za sobą Workiewicza i uzbrojonych leśników, oraz kilkunastu naszych świadków również uzbrojonych.

— Niech wielmożny pan będzie spokojny, szepcze mi do ucha Workiewicz, szesnaście dubeltówek mamy. Psa łajdaki zjedzą, a krzywdy nam nie zrobią.

— Ani z miejsca! Niech Workiewicz o dubeltówkach zapomni. Zabraniam tego stanowczo — rozumiesz?

— Rozumiem — mruczy Workiewicz — bynajmniej nie przekonany.

Sędzia dopiero teraz zauważył, że jesteśmy otoczeni.

— No!.. pora jechać. Proszę rozstąpić się, — zadyrygował surowym głosem.

— Więc jakże będzie? — zastąpił mu drogę rudy chłop z dużą kwadratową głową.

— To, wielmożny panie, Borowyza, prowodyr największy między nimi rozbójnik. To głowa tego łajdactwa — szepcze Workiewicz.

— W sądzie będziemy się tłumaczyć, jeżeli tu nie chcecie, a teraz z drogi!

— Także ono nie może być. Pomyraty, abo szczo, powiada rudy, nie ustępując z drogi.

— Gdzie starosta? — pyta sędzia.

— Tu jestem.

— Oczyścić przejście. Za porządek ty odpowiadasz.

Pomruk przemknął przez gromadę, kilka groźnych głosów rozległo się koło nas...

— Nie puszczać...

— Papiery odebrać...

— Dokumenty znaczy.

— Taj wżeż.

— To młody powierennyj biedy narobił — woła ktoś z głębi gromady.

— Od wieku las był nasz, a teraz powiadają— oddawajcie...

— Ce powierennyj.

— Oddawajcie, — powiada.

— Bardzo jeszcze młody. Hołodu ne znaje. Jemu co?!

— Bydło powybijać, a samym pozdychać... Jemu co?!

— Tak.... jemu co?!...

— Cho! cho! duże szcze mołodeńkij... Bez ciebie my tu serdeńko długo żyli, a i z tobą umierać nie chcemy.

— Bery Tychon bumahy!

— Ne puskaty...

Tłum drgnął i kilkoro rąk wyciągnęło się do teki, którą sędzia trzymał.

— Z drogi! — rozległ się surowy głos sędziego.

— Rozstąpcie się ludzie — prosił starosta. — Zduriły abo szczo?

— Spisać nazwiska tych, którzy tutaj oprócz delegatów byli. Pod sąd pójdziecie — z drogi!

W tej chwili ujrzałem przed sobą siwą głowę Workiewicza i zauważyłem, że krąg najbliższy stanowią nasi leśnicy i świadkowie.

Słońce konało. Ponad głowami tłumu widziałem wierzchołki dębów, które zachód złocił. Wyżej blady błękit usiewał się gwiazdami.

— Jemu co?!... — huczy mi w uszach.

A nad nami cisza...

...Milczący błękit zawisa nad uroczyskiem leśnem, które tysiąc ludzi karmi nieprawnie... Głód, nędza i... prawo, akty, tranzakcye...

...Taka cisza tam w górze... Taki spokój tam w gęstwinach leśnych poza kręgiem wzburzonych

twarzy ludzkich, na których kolejno rozbłyska nienawiść, rozpacz i strach.

— Jemu co?!... — huczy mi w uszach.

...I wciąż widzę blady błękit, zamieranie blasków złotych na wierzchach dębowych, oraz kilkadziesiąt par oczu, z których płonąca zawzięta nienawiść tryska i w twarz mnie bije.

Drgnąłem.

— Z drogi!... — woła po raz nie wiem już który sędzia.

— Pożałujcie siebie ludzie — prosi starosta.

A Ohrymowicz wysunął się naprzód, obok Workiewicza stoi i coś najbliższym szulawiakom tłumaczy.

Znają go. Posłuch ma w gromadzie, bo po chwili tłum milknie, uspakaja się i rozchodzi na dwie strony.

W końcu ruszamy.

Akty, nadania, tranzakcye i plany ocalały i będą nadal prawdę światu ogłaszać. Skóra nasza również ocalała...

Pod ochroną kilkunastu strzelb wysuwamy się wązkim przesmykiem, wywalczonym zgodnemi usiłowaniami próśb Ohrymowicza i rewolweru, który Workiewicz w ręku ściska, w zwartej masie włościan szulawskich.

Sędzia z Ohrymowiczem pojechali przez Szulawy ku głównemu traktowi, ja na wózku w otoczeniu maryneckiej straży leśnej, zagłębiłem się wązką leśną drożyną w ciemną, na pozór milczącą, a właściwie poczynającą żyć puszczę.

. . . . . . . . . . . . .

Zmrok już zapadał.

Sylwetki konnych leśników niewyraźnie zarysowują się przedemną, wózek wolno się toczy, czasami zawieszony na szyi lewego karosza dzwonek cicho brzęczy.

Czuję piekielne zmęczenie.

W głowie pusto, tylko nieznośny ciężar skronie mi tłoczy. Serce chwilami gwałtownie bić zaczyna i znowu jest ciche.

Droga równiejsza. Słyszę miarowy głos dzwonka i jeszcze coś... Las szumi... Jest coraz ciemniej, mrok z nieba nadpływa i w puszczę wsiąka.

Nietylko w puszczę.

Do głębin duszy mojej mrok się wcisnął. Mam w sobie mrok ten gęsty, ani jedną nie rozświecony gwiazdą, jest we mnie i echo tych szumów leśnych, które z nieznanych, tajemniczych ostępów puszczy nadpływają.

— Jemu co?!... wyraźnie słyszę szyderczy i smutny zarazem pomruk tłumu, który odszedł i w ciemnościach nocy zginął...

I znowu szept lasu, a w górze cisza... Przez zwarte korony wierzchów dębowych, chwilami złoty blask gwiazdy dalekiej migoce...

...Jemu co?!...

*29 lipca.*

Głód...

Sprawdzałem rzecz na miejscu.

Morze piasków sypkich, nieużytków niepłodnych i smutnych.

Ohrymowicz ma racyę. Mogilnica, jedyne źródło życia dla szulawskiej gromady.

Poza tem piaski.
Poza tem nędza...
Głód...

*31 lipca.*

Wracając z Marynek, cały dzień spędziłem w Onpolu, aby poprzeć sprawę urządzenia głodu w Szulawach w imię nienaruszalności granic, opartych na aktach starodawnych, na planach sprawiedliwych i słusznych.

Jasielski popierania szulawskiej sprawy przed sądem odmówił, inny adwokat sprawę przyjął.

Ten inny adwokat ogromnie jest trzeźwy i ogromnie dobrze dowodzi. Cały traktat społeczno-ekonomiczny na podścielisku etyki niezmiernie surowej. Zdaniem pana mecenasa robotnika brak. Ci właściwie bezrolni właściciele sypkich piasków, to z Bożej woli urodzeni robotnicy fabryczni, lub robotnicy na gruntach włości większych. Tymczasem jest ferment, jest duży ferment... Złodziei głaskać po głowie nie można, kradzieży tolerować nie godzi się... Dziś cierpi posiadacz własności większej, jutro wszystkie podstawy etyczne ludu dyabli wziąć mogą.

Pan adwokat doskonałe cygaro pali i bardzo mile językiem i miękkiemi ustami mlaska, co dowodzi przyjemnych wspomnień po obficie spożytem śniadaniu.

Złożyłem proces w niezawodne ręce.

. . . . . . . . . . . .

— Wijesz się Olek? — mówi do mnie w godzinę po tem Jasielski.

— Wij się chłopcze! Nam... innym, widzisz,

malutki paraliż sumienia pewne odruchy unicestwił. Chodź, Olek, ze mną, dawnych kolegów ci pokażę, stare czasy przypomnisz sobie.

Idziemy...

W mieszkaniu, do którego Jasielski mnie wprowadza, jest dużo światła, dużo dymu i dużo ludzi. W pierwszym pokoju grają przy dwóch stolikach, w drugim przy jednym.

W drugim pokoju przy zielonym stole siedzi blondyn z rudawym odcieniem, elegancko ubrany, wschodniego nieco typu łysawy szatyn i dwóch brunetów, jeden z zapadłą piersią, z suchotniczym wyrazem w ciemnych, wiecznie palących się oczach i drugi, któremu również palą się oczy z namiętności i zniecierpliwienia. Starzy uniwersyteccy koledzy z obozu skrajnych idealistów o zabarwieniu nieco czerwonem, doktor Niżycki, prawnik Adurowicz, również prawnik Virhof i matematyk Dziunio Śleski.

Po hucznem i serdecznem przywitaniu Niżycki podnosi rękę opatrzoną kartami do góry i mówi do nas...

— Przychodzicie w uroczystej chwili, kiedy Dziunio, zakupiwszy się do dużego szlema, urządza nam *teatrum*. Powiadam wam, że niech mnie ciocia wybije starym kaloszem, jeżeli nie bawimy się dzięki Dziuniowi, arcy! Dziunio nie ma grosza przy duszy, ale chce grać. Zaproponuj mu w tej chwili gruby weksel Rotszylda, albo winta, a wybierze wint i to właśnie tę grę, którą obecnie rozegrywa, kolosalny chłop!

— Przestań, — prosi Śleski. Przewróciliście mi wszystko w głowie.

— Jak gdyby tam był kiedykolwiek porządek, — śmieje się Adurowicz.

— Nie śmiejcie się z Dziunia, bo wam wszystkie kości połamię, odzywa się Virhof, wyciągając swoje chude, prawie przeświecające ręce, z uśmiechem żartobliwym, a jednocześnie po twarzy jego rozlał się wyraz niezmiernej dobroci, chociaż oczy niby surowo i poważnie patrzyły na Śleskiego.

— On mój przyjaciel... — dodał. No przyjaciel... skończysz ty medytować? Po co ci to, i tak jesteś bez trzech.

— Co ja teraz będę robił? — wyrzeka Śleski.

— No Dziuniu, — kończ! — prosi Adurowicz.

— Jakże ja skończę?

— Mówiłem ci, nie siadaj, bo wszystko co masz przegrasz, — poważnie moralizuje Virhof, mrugając na obecnych.

— Dokażesz, podły lisie, że przegram, lecz nie dokażesz, — abym miał zapłacić, — powiada doktór, zapisując przegraną Śleskiego.

— Pikenein sztuk czworo.

— Karowe granie, sztuk pięć.

— W truflach szlemka! — dobija targu Śleski.

— Pasów sto. Znowu się zlejesz, Dziuniu.

— Co u was? — pytam doktora.

— A cóż, nieźle. Ponieważ jak twierdzi stary Illicz, szlachcic polski wszystko, co zechce, może, więc i ja straciwszy Janopol, mam zamiar wyzyskać medycynę i jadę do Mandżuryi. Adurowicz już od roku jest sędzią śledczym w Ufie, Dziunio dostał pyszne miejsce w Krymie w zarządzie akcyzy...

— A ja umieram, — dokończył Virhof.

— Nie pleć głupstw, Michale.

Virhof wzruszył ramionami. Na brzydkiej, lecz dziwnie słodkiej i ujmującej jego twarzy przemknął lekki cień smutku, cichej, świadomej siebie męczarni.

— Do koszykarstwa, odparł, pociąg ma Dziunio, a ja nie. Został ja śledczym w Czarnopolu, a teraz przyjechał ja tu leczyć się.

— Pięknie się leczysz!

— To nic. Dziś wyjątek dla Dziunia.

Śleski zgrał właśnie dużą grę i przy ostatecznym rozrachunku okazało się, że jest wygrany. Złożyli stolik i zaczęła się gawęda.

— Jak widzisz Olku, — mówi do mnie Jasielski, emigracya kompletna i to emigracya „de plein gré“, bo ostatecznie. Ale co o tem mówić. Najsilniejsze osobniki ruszają na kraj świata, a zostają takie cherlaki jak naprzykład Niż. Smutno.

— Zupełnie nie smutno, lecz naturalnie — odparł doktór.

— Zupełnie nie naturalnie. Po co jedziesz?

— Po co zostanę?

Jasielski uśmiechnął się ironicznie.

— Możesz ożenić się dobrze.

— Co to jest ożenić się dobrze? Dwadzieścia tysięcy to nie posag; sto tysięcy to posag, ale nie dla mnie. Sto tysięcy to posag dla człowieka, który potrafi zrobić z tego milion. A zresztą czem jest właściwie milion, jako przedmiot do robienia, jako cel?...

— Więc po jakiego licha jedziesz do Mandżuryi?

— Bo mnie tam coś ciągnie. Bo tam, gdzieś, w tej chociażby Mandżuryi jest — „kto to wie?!...“ Rozumiesz?... Kto to wie — z powodzeniem. To imponuje!

— A tu u nas?

— A tu u nas jest pewność, że mnie mama Orłowiecka będzie bić starym kaloszem, że ciocia Waszymińska będzie mnie bić starym kaloszem, że onpolski magistrat wypisze sobie doktora bodaj z Kocibrodu, a mnie sanitaryuszem nie mianuje, bo ja jestem Niżycki i wszyscy widzieli, jak w tym Onpolu dłubałem sobie palcem w nosie, mając lat dziesięć... Że w końcu... No i tak dalej. Ja do starych kaloszy predylekcyi nie mam, a ty wierzysz w nudne kazania Orzeszkowej — więc spór między nami jest niemożliwy.

Jasielski wzruszył ramionami.

— Nie wzruszaj ramionami — odezwał się Adurowicz, bo obadwaj macie racyę.

— A zwłaszcza — zaśmiał się Niżycki — ma ją Bolek. Ten pierwszej myśli z głowy nie puści; czeka na drugą, trzecią, wysłucha, co inni mówią, a wówczas — ex cathedra!... Niczem go nie zbijesz. Mówi i tak mówi, że mógłbyś przysiądz, że on słowom własnym ufa. Można naprzykład uwierzyć w celowość poszukiwań prokuratorskich szlif nad Wołgą. Imponujące wyrobienie. No śpiewaj Bolku!

— Skończyłeś?...

— Skończyłem.

— Więc ja teraz zaczynam — mówi zimno Adurowicz. — Widzisz, wybrałeś złe porównanie z Niżem, którego okoliczności przywiązały do Onpola. Być właśnie może, że obawa tego, co Niża do Onpola przygważdża, mnie popędziła do Ufy, Dziunia goni do Krymu. Niża trzymają tu długi, on jest „glebae adscriptus“.

— Co dalej?

— Mówię, że każdy z nas ma swoje słuszne racye, wskutek których postępuje tak, a nie inaczej. Ideał — to piękna rzecz. On jest, on musi być i oddziaływać na życie. Ale, bójcie się Boga, nie pragnijcie zlania się obu tych czynników, bo wyjdzie głupstwo. Wyobraź sobie niektóre sytuacye z niemożliwych, zdaniem Niżyckiego, powieści Orzeszkowej przeniesionemi do życia i pomimo woli sam śmiać się będziesz.

— A to znowu dla czego?

— Bo stworzysz karykaturę. Bo tam jest ta piękna, powiem nawet pożyteczna, pedagogicznie pożyteczna bajka, a tu jest życie, mające swoje wymogi, z którymi bądź co bądź, godzić się musimy. Są tacy, którzy się nie godzą, ale tacy karki łamią. Spojrz na szybko krążące koło — z daleka wygląda jak lekko zamglona, idealna przestrzeń pusta, szprychów nie dojrzysz. Ale one są, te szprychy! Włóż rękę, rękę ci złamie; wpakuj głowę, łeb ci z karku zdejmie ta pustka idealna!...

— I na to jest ostatecznie środek, który z twego punktu widzenia także jest karykaturą, — wycedza Jasielski. Jedną rękę i jedną głowę szprychy pogruchoczą, ale tysiące rąk i głów...

— Gruchocząc siebie i szprychy połamią... Kto to wie?!... — zjadliwie uśmiecha się Adurowicz. Zresztą wtedy i koło dyabli wezmą...

Jeszcze chwila rozmowy i wychodzimy. Wieczorem Jasielski ciągnie mnie do klubu.

— Użyj kąpieli do końca, zanurz się w naszem bagienku po uszy. Nie tłumaczę, nie opowiadam, pokazuję tylko i mówię — patrz!...

Całe pierwsze piętro murowanego domu przy głównej ulicy Onpola zajmuje szereg sal klubowych rzęsiście teraz oświetlonych. Bufet i sala jadalna pusta, w czytelni siedzi jakiś jegomość z olbrzymim nosem. Inne sale wypełniają grający w karty i tak zwana „galerya“. Typy najrozmaitsze; wszystkie warstwy społeczne mniej więcej przyzwoite mają tu swoich przedstawicieli. Powietrze przesyca dym tytuniowy, który kłębami unosi się nad grającymi i przyćmiewa rzęsiste oświetlenie sal. Najciemniej jest w czytelni, a oddychać tam lżej i swobodniej.

W oddzielnym pokoju, przy dużym stole zebrała się arystokracya graczy. Kwitnie lancknecht. Drzwi do innych sal są przymknięte. Służba w osobie dwóch specyalnych lokai porusza się zręcznie i bez hałasu. Słychać szelest biletów bankowych i brzęk złota.

— I pan tu? — pyta Jasielski szczupłego bruneta, mogącego mieć lat około czterdziestu. — Co pan tu robisz?

— Gram — krótko odpowiada pytany.

Po bladej jego twarzy przebiega nerwowe drgnięcie, brew marszczy się lekko.

— Druga już noc, a właściwie druga doba z rzędu — rzuca, odchodząc. — Spróbujcie kolego. Aby tylko zacząć... idzie!...

— W gimnazyum uważaliśmy go za wielkość, jeszcze przed laty dziesięciu byłem pewien, że człowiek ten przerośnie wielu! — smutnie mówi Jasielski. — Czy pamiętacie „Wiosenne brzaski“?

— Jakto, więc to X.?

— X... Gra drugą noc z rzędu, powiada, że

aby tylko zacząć... Niech to wszyscy dyabli wezmą!

— Sługa pana mecenasa!

— Dobry wieczór, konsyliarzu! Jakże tam?...

— Spłukali mnie haniebnie — twierdzi siwobrody konsyliarz. — Na dużego szlema byłem bez pięciu... Bagatela! Dwieście przeszło tysięcy... Jeden bet z górą dwadzieścia rubli...

— Doktorze!... Czekamy, — nadbiega od pobliskiego stołu.

— Poczekajcie jeszcze chwilę.. Muszę wpaść do Gorskich, ktoś tam zasłabł nagle.

— Nie umrze. Skończmy robra.

— Kiedy-bo nie mogę — waha się konsyliarz.

— Siadaj marudo, za pół godzinki pójdziesz.

I konsyliarz siada.

W czytelni właściciel olbrzymiego nosa wciąż w zupełnej samotności czyta.

— Doktor Oderberg — powiada półgłosem Jasielski. — Ciekawy żyd, wyjątkowy egzemplarz. Codziennie godzinę wieczorem poświęca na przeglądanie dzienników; w domu czytuje klasyków rzymskich w oryginałach i ślęczy nad wyższą matematyką, niezapominając swojej specyalności. Huncwot semita żyje! Takiej długonosej bestyi i Onpol nie zatłucze. To ciekawe. Gdybyś zaszedł do tutejszej biblioteki publicznej, to zastałbyś tam przeważnie żydów i to w ilości zastraszająco olbrzymiej.

— A nasi... Trzy czwarte miejscowej inteligencyi spędza noce przy zielonym stole. Pozostali... Jasielski machnął ręką i brzydko zaklął.

. . . . . . . . . . . .

Wracam do Jasnych Wód koleją.

Ogarnia mnie uczucie niesłychanej samotności. Staram się o tem nie myśleć, wolałbym tylko, aby w wagonie było mniej ludzi a więcej światła. Jest mroczno, a tam na zewnątrz ciemnia piekielna. Wybiegliśmy ze stacyi w pole szczere, przed nami wśród tych ciemności nieprzebranych Jasne Wody... Tam, gdzieś, daleko...

Gramolę się na górną ławkę, zapalam papierosa i mimowoli wysłuchuję gawędy trzech moich sąsiadów z dolnych siedzeń.

Nadbiega ku mnie stamtąd wyrzekanie, połączone z ciężkiem westchnieniem. Wyrzekanie odbywa się przy kieliszku.

Jakiś staruszek płaczliwie zawodzi...

— Rodziła... Matka moja rodzona, sama, osobiście mnie rodziła... I oto na co mi on macierzyński dar posłużył... Do ciebie, panie Pietrze i do ciebie, panie Sewerynie!

— Więc mówisz, rybko, że matka cię biedaka rodziła? — pyta pan Piotr.

— Jak innych!... jak innych!... rodzoniusieńka. Pamiętam, jak dziś pamiętam, zimą w srogi mróz to było. Powiada — naści Jędrek życie i dała... Powiada... naści! — i dała... matka moja rodzona i ojciec dobrodziej dali, oboje dali!... A teraz... teraz zimno mi, jak w dzień urodzin, bo mróz siarczysty był w onczas, w październiku jeszcze chwycił i na Andrzeja wciąż trzymał. Zimno mi i, uważasz Piotrasiu, pusto... Pusto!... Czy pamiętasz, jak to bywało w Dreźnie? Za dnia w kantorze poczciwego Wedlicha, a wieczorami na salony królewskie nas zapraszali.

— Zapraszali! — potwierdza pan Piotr — wszędzie zapraszali.

— A my...

Pan Jędrzej zaśmiał się z cicha.

— My, Jędrek z Pietrkiem, Jan z Michałem, Kuba z Pawłem zatęsknili...

— Zatęsknili! potwierdza pan Piotr.

— I wrócili...

— I wrócili! — potakuje pan Piotr.

— Do swoich... kończy pan Jędrzej.

— Che! che!... do swoich, kiwa głową pan Piotr.

— A oni nas na egzamin wzięli... smutnym głosem wyrzeka pan Jędrzej. Rachunek, powiadają, zdajcie, rachunek... z uderzeń serca. Durnie, powiadają, jesteście... Zaczęliście mazura, a wyszed nokturn pohany... Powiadają, w mazurze był jeden takt fałszywy i jedna struna niepewna, więc wyszedł nokturn... Gadajcie, powiadają, ile to będzie garncy i funtów z tego waszego interesu, bo u nas teraz wszystko na arszyny, na garnce i na funty się mierzy... Brrr... zimno mi!... Do ciebie, panie Pietrze.

— A ja to pies?

— I do ciebie, panie Sewerynie!...

W pomroce wagonowej, wśród miarowego turkotu kół, głosy brzmią jak gdyby zdławione, a tembr mają smutny i żałośliwy. Nie zasypiam, lecz wpadam w nużące zapomnienie. Mózg mój to drętwieje, to wstrząsają nim niewyraźne ułamki wspomnień, wytwarzając niesłychane dziwolągi z niespodziewanych połączeń najsprzeczniejszych pierwiastków myślowych.

Z sąsiedniego damskiego przedziału dochodzą

mnie chwilami głosy kobiece. Jakaś niewiasta prawi...

— Na łonie rodziny, gdzie życzliwi, gdzie kochają... koniecznie trzeba tam pobywać, odetchnąć, otrząść się, smutku zapomnieć, spokoju zażyć...

Inna jakaś białogłowa wyrzeka...

— Un zachorował, egzaminów nie trzymał. A choćby i nie zachorował, to zaużdy robota z tym chłopakiem bardzo chłopotliwa. Tołkniesz go, to un i polazie, a nie to nie, choć już nie dziecko i na wierówce trzymać go nie przychodzi się. Bóg jego wi, kto un taki w samej rzeczy... Dla kużdej matki to straszny kamfuz. Jak by nie tak!...

Po tem głosy te gdzieś się gubią.

Zdaje mi się, że wpadam do olbrzymiego cylindra, który ku podstawie rozszerza się i zionie coraz bardziej wzmagającą się ciemnością, a początek jego przedstawia mi się w postaci okrągłej płaszczyzny świetlanej, która przeraźliwie szybko się zmniejsza, staje się błyszczącym punktem, który ma zniknąć na chwilę...

I znika...

A potem już tylko ciemność... uczucie niemocy i bezradności... głucha, zabijająca oczy, ogłuszająca swą bezbrzeżną ciszą ciemność...

*3 sierpnia.*

Twarz ma spokojną, oczy prawie martwe...

Wyciągnął ku mnie chłodną rękę i uścisnął dłoń moją z lekka.

— Wszystko w porządku, Olku.

Uśmiechnął się bezbarwnie.

— To jest, co w porządku?...

— Czynszowników charczańskich wysiedliłem przy współudziale siły zbrojnej i jestem spokojny... Wiesz?... Jak po operacyi ciężkiej i skutecznej... Otwierasz po raz pierwszy oczy i widzisz... światło — jest, ściany sali szpitalnej — są, a potem twarze ludzkie, a potem poczucie własnego ciała... Myślałeś, będzie koniec... Okazuje się, że to nie koniec, a banalnie oklepany, do szczegółów znany ci początek czegoś, co ma nadejść z tajemniczych wrót przyszłości. Banalna teraźniejszość jest ci obojętna, tajemnicza przyszłość także obojętna... Wiesz, że to coś nadejść musi i czujesz, że bandaże cię ściskają... C'est tout...

— A teraz prośba. Jadę na tydzień do Krakowa, a ponieważ boję się pożaru, więc proszę cię schowaj moje bazgroty w kasie... Gdybym wypadkiem kark skręcił — spal to...

Wsunął mi w rękę czarną tekę i wyszedł.

*4 sierpnia.*

Z dnia na dzień...

Kółeczko wązkie a taczka ciężka... Pcha się to, aż do zawrotu głowy,..

Rezultaty bajecznie śmieszne, a widnokrąg deskami zabity i powietrza braknie.

Z dnia na dzień!...

Teraz absorbuje mnie separat horecki. Ciężka praca, wysiłku multum, a rezultat niewiadomy. Mam zgodę gromady, mam zgodę zarządu i muszę walczyć i z gromadą i z zarządem. Apetyt horczan z każ-

dym dniem wzrasta, zarząd danych obietnic żałuje i radby je w ten lub inny sposób zmniejszyć. Stoję pośrodku i walczę.

A przytem sprawa z Szulawami...

Proces o uroczysko Mogilnicę naturalnie wygramy. Siła aktów nas podtrzyma, prawda na martwych artykułach kodeksu oparta z nami do boju stanie i przeciw grabieżcom świadczyć będzie.

Co potem?...

Potem, tam... u nich ostateczna nędza.

Może głód?!...

Grabowicz twierdzi, że porządnego sumienia kodeksem uspokoić nie można. To też porządne sumienie krzyczy — gwałtu! — i nerwy mi batoży, zwłaszcza w nocy spokoju nie mam. Śni mi się olbrzymia księga praw ogromnie dobrze obmyślanych, którą szkielety ludzkie z żarłocznością zębami rwą i jedzą... Ogromnie zabawne szkielety, które tłuszcz własny już zjadły, a teraz kodeksem nadzwyczaj dobrze obmyślanym się żywią.

Tak, tak!...

Na drodze mi to stanęło i obejść tego nie mogę i nie chcę. Po wygraniu procesu — co uczynić jakoby musimy dla zasady i przykładu — zarząd musi sprzedać Mogilnicę szulawiakom za cenę najniższą z ulgami wypłaty, rozłożonej na lat możliwie najwięcej. Jeżeli zarząd odmówi, ja z zajmowanego w Jasnych Wodach stanowiska ustąpię.

Kwestyę w sumieniu własnem załatwiłem.

Sprawia mi to ulgę, dodaje sił w walce o separat horecki.

*20 września.*

Horki, Horki, Horki!...

A potem...

Sprawy leśne... Sprawy o worywanie się w grunta dworskie... Perswazye, prośby, narady z ojcem Porfirym, wyciąganie z biedy ciemnych nędzarzy, walka z zarządem, walka z tłumem niewinnych w gruncie głupców...

I dalej...

Troski, kłopoty takie małostkowe, takie szare, takie drobne...

Grabowicz cichy, spokojny, pracuje równo i pogodę ma na czole. Powiada, że taką samą pogodę ma w sobie... A ja zmęczonym się czuję, do głębi duszy zwątpienia się zakradły i zwalczyć ich nie mogę, chociaż własne serce umiałem wziąć w łapę i trzymam i nie puszczam...

Pani Maryi już od miesiąca w Jasnych Wodach niema — wyjechała niewiadomo dokąd. Powierski jeździł zdaje się na wywiady i wrócił. Milczy.

Od powrotu z Marynek raz ją tylko widziałem. Była niezwykle cicha, twarz miała bardzo łagodną i oczy smutne.

— Pan się dziwi, że ja taką jestem?... I ja sama się dziwię, że taką jeszcze być potrafię... Doświadczam uczucia odpływu nienawiści, która dotąd krew moją burzyła... Żyćbym chciała, szkoda mi lat straconych... Ja sama z niedowierzaniem na siebie spoglądam i samej siebie się boję... Mogę jakieś głupstwo zrobić i mogę inne temu głupstwu wręcz przeciwne głupstwo urządzić... Ja nie wiem, ja za siebie nie ręczę... Teraz w chwilach równowagi ja, myśląc o tem, co stać się może, boję się. Pan wie...

Ja pomimo woli oglądam się za taką ręką, która w chwili uderzenia fali powrotnej utrzymać by mnie mogła...

Całem ciałem zadrżała...

— I ręki takiej nie widzę...

— Pani Maryo...

— I ręki takiej niema... powtórzyła smutno. Sama jestem... Gdyby nawet chęć życia nad nienawiścią górę wzięła... Co dalej?... Przecież jam niewolnica, wstrętnym brudnym sznurem spętana... Co dalej?... Cha! cha!... chyba powiedzieć jemu — idź i powieś się... I on pójdzie i powiesi się... Pies wierny... Zakochany arlekin z duszą jak piekło silną... I on także kocha... I on także ma prawo żądać szczęścia... Ja to wiem i jest mi straszno...

Znowu zadrżała i zbladła bardzo.

Po chwili rzekła.

— Dość tego. Nie mówmy więcej o tem, bo mogłabym zmysły postradać. Jeżeli pan chcesz, popłyńmy łodzią.

Popłynęliśmy łodzią. Cudownym kontraltem śpiewała mi:

„Zażuryłaś diwczynońka
Ruczki załamała
Siła hołowku schyłyła
Taj płakaty stała“.

Ostatnią strofkę piosnki śpiewała głosem, w którym łzy drżały.

„I ty stanesz na toj zemli
De moja mohyła
Todi sobi nahadajesz
Kohom ja lubyła“...

Potem zaśmiała się, mówiąc...

— Nie bierz pan tego do siebie.

Potem skuliła się na końcu łodzi i zmilkła. Milcząc, wróciliśmy do domu, a w tydzień potem bez pożegnania wyjechała.

Wyjazd Powierskiej samotność moją jak gdyby wzmógł jeszcze, bo i w Szuwarowie od paru tygodni nie byłem. Chwilami tęsknotą poprostu się dławię. lecz w postanowieniu trwam, staram się całego siebie rzucić na pastwę tej pracy ciężkiej, w której rezultaty coraz mniej wierzę...

Tarnobrzeski zimnych okładów nie żałuje mi zgoła. Pyta — czy ja jestem człowiekiem złej woli... Powiada — chciałbym, ale odpowiesz mi człowieku, czy ja mogę, czy sam Rytwiański mógłby, gdyby zechciał?... I pokazuje mi obraz, przed którym cała dusza moja się wzdryga. I tłumaczy z takim piekielnym chłodem, z taką bajeczną logiką śmieszne podrygi dobrej woli jednostki w żelaznym uścisku systemu, który tysiące lat ziemię w żelaznych pierścieniach ściska.

Boże! Gdyby moja ofiara, moja praca ciężka, moje zaparcie się samego siebie życiodawczą siłę mieć mogły... Precz myśl o szczęściu, precz myśl o nagrodzie, lecz... cele, rezultaty, owoce?!... Wybrać sobie kawał miejsca na ziemi, powoli własne ciało w głąb mogilną wkopywać, czuć, że za chwilę słońce w oczach zagaśnie i nie wiedzieć, czy tam nad głową moją kwiat barwny wykwitnie, czy też martwa płaszczyzna się utworzy, na której nowy waryat własne ciało zagrzebywać będzie.

Wątpię, coraz bardziej wątpię...

Fałszywa droga, płonne wysiłki!... Nie tędy!... Boże, ja wiem, że nie tędy... Wiem i brnę dalej... Wiem i nie mam siły z ubitego Grabowiczami gościńca na bok zwrócić!...

*21 października.*

Mieszkam prawie nad Horyniem w dworku leśnym, zwanym Wygnanką. Ulokowałem się w Wygnance trochę dla wypoczynku, trochę dla spokoju w pracy, bo mieszkając obok biura, miałem wiele niepotrzebnych wizyt, które mi czas zabierały.

Miewam teraz dnie absolutnej samotności. O ile praca obowiązkowa nie każe mi trząść się na wózku, chodzę po lesie. Ja i Osman, a dokoła las barwnem listowiem jesiennem okryty. Chwilami zapominam o wszystkiem, nie myślę o niczem, poprostu noszę w sobie radość niezmierną z tego, że żyję. Wtedy zdaje mi się, że ten las dla mnie wyrósł, że liście barwią się cudnie, aby wzrok mój cieszyć, że spokojne zachody słońca dla mnie purpurę na blady błękit rzucają... A potem przychodzą gwiazdy, księżyc wypływa, wśród ciszy nocnej ciemne gęstwiny i zarośla wypełniają się szmerami życia, którego nie znam, które jednakże fantazyę zapładnia, marzenia budzi, radość tych chwil samotnych potęguje.

Wracam do domu i z nienawiścią spoglądam na pliki zapisanego papieru, pod któremi stół mój się ugina. Zabieram się do pracy i nagle zwątpienia, jak kruki czarne, mózg mój napastują. Cała ta moja robota sprawia na mnie wrażenie mo-

zołnego cerowania materyi zmurszałej, która coraz to w nowem miejscu pęka i dziurami świeci.

Stosunek z zarządem z każdym dniem silniej się napręża. Jeszcze chwila i wiążąca mnie z Jasnemi Wodami nić pęknąć może. Czuję, że stać się to musi — nie dziś to jutro, to w dniu likwidacyi procesu o Mogilnicę.

Grabowicz prosi — wytrwaj, a przyjaciele radzą — pluń pan na to, szkoda stanowiska, nie narażaj się hrabiemu, panie Ohij...

Tarnobrzeski przybiera ton coraz wyraźniej oficyalny.

Powiada — pan nas, panie Ohij, zanadto kosztujesz, pańska filantropia staje się dla kasy hrabiego zbyt uciążliwą. Pan znieprawiasz nam włościan, psujesz służbę, rozluźniasz węzeł koniecznej surowości w stosunkach pracodawcy do tłumu, który sprawiedliwą, lecz silną rękę władzy czuć powinien.

Grabowicz krytykuje moje zwątpienia, a Tarnobrzeski w chwilach nieoficyalnych stara się poprawić moje zasady.

— Licz się pan z życiem!... Do stu dyabłów (zapalił się i mówi — do stu dyabłów) trzeźwość na naszem stanowisku jest konieczną. Jeżeli nas wyrzucą, przyjdą prawdopodobnie gorsi, a wtedy...

Doktor zgadza się z Tarnobrzeskim i doradza rozumny zdaniem jego kompromis. W stosunkach rolnych istnieje jakoby utarta i niepodlegająca w danej chwili dyskusyi zasada, której ignorować nie można i ulegać bodaj pozornie trzeba.

Zasada głosi...

...W chwili uwłaszczenia włościan dobrowolnie lub nie — to do rzeczy nie należy — zrobiliśmy

więcej, aniżeli powinność kazała, daliśmy nie tylko to, czego słuszność wymagać mogła, lecz i to, co granice owej słuszności o wiele przerastało. Dziś więc materyalnych zobowiązań nie przyznajemy żadnych. Mamy dzieci i mamy obowiązki (tak zwane „obowiązki szersze“ — mój przypisek)...

A względem włościan naszych stoimy w położeniu zamożniejszych sąsiadów. Względem nich zatem pozostaje dobrowolna łaska, dobrodziejstwo z sumienia płynące i filantropia w zakresie ściśle oznaczonym, bo bez butów chodzić nie chcemy.

Pozostaje tedy filantropia z przymiotnikiem „rozsądna“ i praca z uszanowaniem porządku i karności.

Należy dobrze robić w zakresie możliwym a potem oczy zamknąć i spać spokojnie z uczuciem spełnionego obowiązku.

A ja sypiam źle.

A ja widzę wciąż zachudzoną szulawską gromadę i słyszę złowrogi, szyderczy głos najbardziej wynędzniałych i zagłodzonych — żyć chcemy... jemu co?...

Potem zjawia się Tarnobrzeski i mówi: — nie możemy!

Na dobitkę Tarnobrzeski szydzi, z piekielną logiką wyprowadza ostateczne konsekwencye mojej pracy, pokazuje finał i śmieje się...

— Hr. Rytwiański naturalnie powinien osiąść w mieście na czwartem piętrze, lub na jednym z folwarków i utrzymywać się z pracy rąk własnych... Mała tylko przeszkoda, kochany panie Aleksandrze! Oto przedtem znajdzie się on w lecznicy... Rodzina i prawo, rozumiesz pan, i prawo ubezwłasnowolnią go

za rozrzutność i mogą nawet wpakować do szpitala, jako człowieka na umyśle chorego.

Tarnobrzeski śmieje się, a Grabowicz przyznaje mu racyę.

Grabowicz radzi pracę w ścisłym zakresie możności, i ja chwilami Grabowicza nienawidzę.

W nocy sypiać nie mogę, a w dzień biję się jak ryba o piekielnie grubą warstwę lodu z fabryki, prowadzonej przez Grabowiczów i Tarnobrzeskich pod godłem „rozsądek"...

Wieczorami odwiedzają mnie czasem — Łosieski, Powierski i Grabowicz. Powierski od powrotu z tajemniczej wycieczki schudł haniebnie, obrzydliwie kaszle i pije... Stał się zjadliwym, szyderstwami wprost pluje, zwłaszcza Grabowicza nie oszczędza.

— Ty jesteś djabelnie szczęśliwym człowiekiem, Grabie, mówi ze złym uśmiechem, i prawie z nienawiścią spogląda na doktora. Taki masz spokój wszędzie i na każdem miejscu... I w duszy, i w sercu, i w nogach... Nie miewasz — co? — takiego darcia niżej kolan, takiego łechtania w okolicach serca, takiego palenia w mózgu?... Równy, jednakowy...

Duży haust koniaku i dalej...

— Ty sobie zrobiłeś szpitalik, Grabie... Jasny, czysty, schluduy szpitalik... Na białych łóżkach chorzy leżą i ty ich chorobę na korzyść własnego szczęścia wyzyskujesz... Che! che!... chytrze obmyślana fabryczka do wyrabiania spokoju ad usum pana konsyliarza Grabowicza. Ty w gruncie rzeczy na cały świat uwagi nie zwracasz, bo cały świat mógłby we

czworo z bólu się skręcić, byle twoim chorym było dobrze... I konsyliarz spokojny... Obowiązek, znaczy, swój spełnił i ma prawo do krzepkiego snu i do prawidłowego trawienia, poprzedzonego wybornym apetytem... Ja wiem, Grabie, że ty często do omdlenia pracujesz, ja wiem, że ty zdrowie narażasz, w smrodliwych chatach noce spędzasz, ale na dnie całej tej twojej roboty egoizm leży... Masz talent w odpowiedniej chwili mrużyć oczy i niepotrzebnych rzeczy do duszy nie wpuszczać... Masz talent lichwiarza, bo na tem nibyto poświęceniu się sto na sto zarabiasz... Milczysz?... Jam jest zdaniem twojem nędzny robak?... Ale ja lepszy jestem od ciebie, Grabie... Wiesz?... Lepszy! Według tabliczki tak zwanych zdrowych cnót i normalnych wartości, lepszy jestem... Gdyby świat można było własną moją męczarnią zbawić, możebym ja ten podły świat i zbawił... A ty Grabie, musiałbyś przedtem pomyśleć teoryę stworzyć, obowiązek zbudować, inaczej mówiąc, obliczyć zyski i wtedy... Che! che!... możebyś wtedy i stchórzył. A ja nie... Ja pluję na wasz świat, pluję na wasz obowiązek, pluję na wasze nikczemne szczęście... I ot, bez namysłu dałbym siebie na umęczenie.

Zakaszlał mocno i sięgnął po koniak.

— Nie pij więcej, Józefie, prosi Grabowicz. Głos mu drży zlekka, po czole chmura przebiega.

Powierski pije.

— Nie pij...

Powierski roześmiał się gorączkowo. Oczy mu błyszczą, na twarzy ma wypieki.

— Likwiduję... likwiduję, Grabie, a potem...

Zadrżał, nogi podkurczył i w sobie się skupił.

— Potem?... Dyabli wiedzą, co potem... A teraz piję, bo muszę... rozumiesz przybytku równowagi — muszę!... Ty, Grab, nie wiesz i oni nie wiedzą, że moja żona przed ślubem kochanka miała... Tak!... kochanka miała i truła się... Ja ją uratowałem i nigdy, rozumiecie? — nigdy jej mężem nie byłem... Sześć lat, siedmdziesiąt dwa miesiące, miliony minut, ja te ich dawne pieszczoty wyobrażam sobie, odtwarzam w bolącym moim mózgu chwile ich szałów do drobiazgów, do szczegółów, do wściekłości i szaleństwa!... Nakoniec przyszła taka chwila... myślę, nie wytrzymam... myślę, zabić muszę... I o włos, że nie spełniłem pospolitego morderstwa w nocy koło parkowej altany... Nie za to, co jest dziś... Ona jego nienawidzi, a on jej nie kocha... I nie jego ja zamordować chciałem, o nie!... Ja te ich dawne pieszczoty, ja te ich dawne rozkosze, ja męczarnie mojej wyobraźni unicestwić pragnąłem... I byłbym to uczynił, tylko cyngiel piekielnie był chłodny... Czy wy mnie rozumiecie?...

Mówił powoli zimnym, przytłumionym głosem, skulił się i patrzył nie na nas, lecz gdzieś w głąb samego siebie.

Zaśmiał się głucho i znowu z nienawiścią spojrzał na Grabowicza.

— Naturalnie, mości doktorze, ran fizycznych zadawać nie należy, zabijać nie wolno, leczyć, ratować obowiązek każe... Che! che! a ja żałuję... Boże!... jak ja żałuję, że ten cyngiel był taki śmiertelnie zimny... Jedna chwila i byłoby inne jutro... Bo to jutro, które nadeszło... ja to jutro przeklinam!... Dyabeł mnie spętał, chucie rozwiązał, ja, maszkara wstrętna, praw moich mężowskich dochodzić chcia-

łem i... zginąłem. Ty mądry doktorze puls mój śledzisz i twierdzisz, że ja, Powierski, żyję... A ja tobie powiadam, łżesz!... zginąłem! W twarz mi dała, w oczy plunęła i odeszła... Rozumiecie?...

Łosieski, skrzyżowawszy ramiona, cały czas cicho po pokoju chodził. Teraz stanął przed Powierskim i głowę jego rękami objął...

— Józef!... wyszeptał miękko.

Powierskiemu łza z oka spłynęła.

— Józef!... powtórzył i nachyliwszy się w oczy Powierskiemu spojrzał. Nie ty, nie ty Józefie jeden! Tysiące nas, a z tymi, którzy są już w ziemi, krocie niezliczone... Nie wiem, czy nas sądzić będą, a jeżeli będą, to dziwnie smutne trupy przed trybunałem staną w milczeniu, bez skargi. Wydarci mogiłom zdziwienie przyniosą na twarzy, a w rękach dusze zmęczone, z których krew w oczy sędziom tryskać będzie.

Powierski podniósł głowę i dziwnie, chociaż zupełnie przytomnie, w oczy Łosieskiego spojrzał.

— Dla czego to, Gutku?... spytał miękko.

— Nie wiem...

— A jednak tak jest...

— Tak jest, potwierdza Łosieski.

Powierski zadrżał.

— I ty Gutku z głową Apolla, i ja z głową arlekina, i ona piekielnie cudna, i on... on także! Czuję jeszcze chłód cyngla i widzę jego oczy, a przez oczy duszę podartą, skrwawioną... nieszczęśliwą duszę męczennika!... Mieć prawo chcieć i nie módz... Nie mieć prawa, chcieć i ślinę czuć między oczyma... A tamci... tamtych dwoje... Stanęli przed sobą na

wązkiej ścieżce i życie sobie wzajem zasłaniają... Piekło!

— Szatan was opętał! zerwał się nagle Grabowicz.

— Szatan, doktorze!... szatan!... zaśmiał się Powierski i z nienawiścią, rozgorączkowanym wzrokiem wpił się w twarz Grabowicza... Ty masz swój szpital... Co tobie?!... Na biurku twojem leży doskonały słownik określników dla tak zwanych patologicznych wybryków duszy... Che! che!... Taki to wybryk i taki to wyraz... W porządku!... A dla waryatów i kawalerów jest prawem normowana płatna rozpusta... A w wolnych chwilach w postaci morału można sobie „poczytać“ o tryumfalnym wozie Astarty i podruzgotanych cielskach obłąkańców, których zabiła choroba, znana już w starożytności „sub titulo“ ekstazy cielesnej...

Zaśmiał się powtórnie i wypił jeszcze jeden kieliszek koniaku.

Wychodząc, zwrócił się do Łosieskiego.

— Daj mi, Gutku, ten obraz, który u ciebie na stalugach wisi.

Łosieski brew namarszczył.

— Ty się mylisz, Józefie.

— Ja wiem... wiem, nerwowo przerywa mu Powierski. Ja wiem, że kto inny, że oczy tylko... Ale ty te oczy z sobą przywiozłeś, bo mogłeś je na płótno rzucić... Ty masz je w sobie... A u mnie...

Głos mu się załamał.

— Ja ich w sobie nie mam... Wybiegły z duszy i pojmać ich nie mogę... Szukam, szukam, szukam i nic... Zginęły!... Niema ich we mnie. ... A ja potrzebuję je widzieć, bo potrzebuję ciągle, bez koń-

ca wyobrażać sobie, jak ona z nim szczęśliwą była... Che! che!.. waryat Grabie?.. Waryat!.. Piję sobie koniak i batożę sobie nerwy... Potem znowu piję sobie koniak i jestem sobie wesół... Potem prawdopodobnie umrę... Che! che! chodźmy, Gutek... jazda!

Zatoczył się i wyszedł. Za nim wyszedł Łosieski i wybiegł Grabowicz.

Z ganku mojej chaty patrzę za nimi, aż znikli. W górze rozjaśniony migotliwym blaskiem gwiazd błękit zda się oddycha, dokoła cisza... Dokoła las w milczeniu stoi i szumi...

*1 listopada.*

Była godzina szósta. Wśród drzew parkowych mrok już zgęstniał, a po niebie pełzały olbrzymie, szare chmury jesienne.

Graliśmy w bilard, a właściwie mieliśmy grę rozpocząć w bilardowej sali pałacu. Lokaj światła zapalał, Tarnobrzeski z kijem w ręku siedział na fotelu i nucił, a Gutek podszedł do olbrzymiego o jednej szybie okna, ktore na park wychodziło.

I nagle z gęstwiny drzew pod oknem rosnących zagrzmiał wystrzał. Łosieski zachwiał się i upadł. W samo serce...

Nie wyrzekł ani słowa...

Podbiegliśmy... Nie żył.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— Co to jest?.. — pyta mnie Tarnobrzeski.

— Co to jest, panie Ohij?.. — powtarza i badawczo w oczy moje patrzy.

— Zabójstwo, panie pełnomocniku.

— Morderstwo... cedzi przez zęby i oczy ma jak

stal zimne. Cały park skrzętnie zlustrowano i — nic. Ani śladu. Ludzie jutro i pojutrze szukać będą, władze śledcze mózg swój wysuszą i mogą również nic nie znaleźć... Ale my z panem, panie Obij, wiemy... My z panem, panie Obij, prawie pewni jesteśmy... My nawet potrosze na ten dzień dzisiejszy pracowaliśmy nieświadomie... zasyczał przyciszonym głosem i słaba iskra tryumfu zabłysła w chłodnych jego źrenicach.

Zadrżałem.

Przyszła mi na myśl słyszana kiedyś odeń uwaga — „parujący wulkan tylko waryat prochem zapładniać będzie“...

— Tak... my prawie wiemy...

*2. listopada.*

Więc nie żyje...

Leży przedemną teka z jego papierami.

Luźne kartki, szkice ołówkiem, oderwane części, których początku i końca odnaleźć nie mogę.

Ani jednej całości skończonej, ani jednej myśli powszedniej. Olbrzymia zbolała dusza z każdego słowa wyziera. Ołówkowe szkice zdradzają myśl potężną i rękę mistrzowską.

Ile ten człowiek w sobie przeżywać musiał, co za piekielne łamanie się z mocą, którą przeczuwał a pojmać i owładnąć nią nie mógł... Jaka duma bezbrzeżna, ile pogardy dla bólu, ile tęsknoty d oświatła!..

Na kilka dni przed śmiercią pisał:

„Gdy wśród zagajów brzozowych nad rozlewiskiem i trzęsawami, nad przeciętym rzeką samotną ugorem pustynnym księżyc rozbłyska i z mgieł wie-

czornych wysnutą tęsknotą ziemię zalewa — ku mlecznym szlakom gwiazd wszechpromiennych biegnie modlitwa dusz smutnych, rwących się hen ponad błękit blady, ponad gwiazdy i słońca"...

„O panie!..

W księżycową tę noc oparów i mgieł tajemniczych, gdy ziemia odmarza, gdy z leśnych podłoży poczyna bić surowa woń igliwia i próchna... W srebrzystą tę noc potężnej Tajemnicy wiekuistego tryumfu Miłości, gdy tęsknota nadludzka piersi nam rwie i serca smutkiem zasnuwa... W tę pierwszą noc poczynającej się wiosny wysłuchuj nas, którzy jesteśmy kwiatem więdnącym potęgi Twojej"...

„Uderz Panie w marmurową skamieniałość dusz naszych i roztrąć ją piorunami potęgi Swej niezbadanej i strasznej"...

„Uderz Panie!..

„Oddaj nam moc, która jest pogardą dla tego co zmienne... Oddaj nam moc, rodzicielkę naszą i kres nasz ostateczny. Daj nam szczęście tajemnicze i dreszcz rozkoszy niepojętej, z bólu świadomości pełnej zrodzony".

O Wiekuisty!"...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

„Oswobodzona z mgieł i oparów, wysrebrzona blaskami księżyca modlitwa skrzydlatem westchnieniem w gwiaździsty bezmiar uderza, a na ziemi zostaje cisza oczekiwań tajemniczych, cisza tęsknot uroczystych, cisza strachu, który tłumem dusz zimnych owładnął".

I nagle huk przeraźliwy rozdarł powietrzne fale... Lody pękły... Nadbrzeżne krzewy i wątłe drzewiny wtórzą mu jękiem posępnym, a od śnie-

żnych pól biegną lękliwe westchnienia, płynąc ze skargą ku słońcu"...

„I odepchnęło je słońce i zamieniło je w ciszę, aby nie mąciły szczerego błękitu, aby nie bluźniły sile Miłości, spływającej za rozkazem Pana na promiennych falach blasku Jego chwały ku ziemi.

„I oto Pan przemówił... I oto Pan Wiosnę przed oczy dusz spragnionych rzucił"...

„Spieniona rzeka dziewiczą swą piersią czarną zastygłą glebę ku odrodzeniu wzywa, pieszczotami ją zalewa, w głębinach jej mrocznych dreszcz, z miłości ku Słońcu poczęty, rozniecą".

„Roztajały lodów kryształy, świat zielenią się okrył, zaziemski strumień promiennego światła w głębiny serca ludzkiego się wświecił".

„Znowu nadeszła wiecznie świetlana, dziewiczoczysta i dziewiczo-ponętna"...

„Wiosna!..

*

„Słychać okrzyki — ave!"...

„Słychać śpiew — hosanna!"...

„I nagle okrzyk bólu"...

„I nagle głuchy grom przekleństwa"...

*

„Nie wszystkie lody spłynęły!"...

„Wyniosłe szczyty i martwe rozpadliny lodowym oddechem zioną"...

„Przekleństwo w górę wybiegło, wśród szczytów alpejskich kruki je rozniosły echem szatańskiem, a hen wysoko klątwę zgruchotał bezbrzeżny spokój błękitu, w którym światłość się rodzi, gdzie promienne słońca królują"...

„A potem cisza“...

„Wiosenna fala ze wstydem do koryta spływa, a drzew proroczych szkielety, niby śmiertelne memento, sterczą na pustej, zniszczonej przestrzeni brzegu..

„Rzeka umilkła...

„Od zielonej błoni płyną smętne westchnienia, z uschłych drzewin wyciosane krzyże zbolałe ramiona wyciągają ku niebu“.

„I znowu płynie jęk głuchy ku słońcu“...

„Zwal Panie koronę lodów lśniących z wyniosłego czoła szczytów ziemi... Uderz Panie i roztrąć ją piorunami potęgi Swej niezbadanej i strasznej!..

„Uderz Panie!“..

„Słońce przygasa“...

„Uderz Panie!“...

„Miedziane zwały chmur ciągną z północy...

„I jeszcze jeden cichy jęk“...

— O Panie!!..

„To pieśń skowrończa skonała pod stropem zamglonym, na którym blaski pogasły...

„Smutek... milczenie... śmierć...

„Jeno krzyże stoją“...

„Ponure, czarne, jesienną pleśnią okryte, smutne krzyże z drzewin, wiosennym wylewem zabitych, ciosane.“

„Jeno krzyże“...

. . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . .

„A nad rzeką zwarły się potworne zwały chmur szarych, głęboki mrok i światło wysysa i gasi, w dzikim poświecie rozszalałych wichrów jesiennych słychać płacz rozgłośny bezpamiętnego bólu, słychać

skowyt serc umęczonych mrokiem, słychać modlitewną skargę dusz smutnych...

„O Wiekuisty!“...

Na kilku innych kartkach znalazłem rysunek oczu, znanych mi z portretu pseudo-Powierskiej z podpisem — „Junka“... Na innej rysunek ręki kobiecej i znowu podpis — „Junka“...

To imię powtarza się w rękopisach często, otoczone aureolą rozpacznego bólu, tęsknot bezbrzeżnych i wyrzutów tajemniczych.

Junka! — zawołał piersią stęsknioną i w ślad za tem nadpływał zgrzyt duszy, torturowanej własnemi rękoma, z piekielnym śmiechem szyderstwa i pogardy dla zjawisk, które go na dno rozpaczy rzuciły.

Na arkusiku wpół-przedartego papieru czytam...

„Jam cię do życia powołał, jam duszę twoją na wieki zabił, ja ciało Twoje do błota cuchnącego wgniotłem i niewinny jestem, Junko moja biedna! Na dno sumienia mego schodzę i mówię ci — niewinny jestem. Świadom następstw drugi raz bym to uczynił i drugi raz ciebie bym zabił i drugi raz wieczne piekło sobie bym stworzył!..

U nóg twoich, tonących w rozpuście, leżę i płaczę — że nic nie wiesz... Ręce twoje pierścieniami kochanków zdobne całuje i płaczę — że nic nie wiesz... Była jedna, jedna chwila, kiedy ze świadomością przekleństwo w oczy moje rzuciłaś i chwila ta dla ciebie na wieki już przeszła i jam temu winien i niewinny przeto jestem, Junko moja biedna!

Ja głowę twoją w obie dłonie biorę i w oczy twoje cudne patrzę i płaczę — dla czego nieświadoma nędzy swojej jesteś?!.. Zgruchotałabyś kamieniem pierś moją smutkiem trawioną, a ja konając mówił-

bym do ciebie — jam jest, którym potęgą moją do życia ciebie zbudził, jam ci rozkoszne nieba i katusze piekła do duszy wrzucił, potęgą szlaków świetlistych i nędzą cuchnących mroków ziemi obdarzył... Przeklinaj, lecz nie zapomnijże mnie... Junko!...

Zgruchotała go kula...

Smutna dusza szła przez życie i krwią spływała.

I krwią spłynęła.

Los!...

. . . . . . . . . . . .

Goście zaduszkowi, widma blade, nikłe zjawiska ludzi i zdarzeń z mogił wstają i są przy mnie. Byli, przeszli... dokąd? Tyle łez, tyle smutku, tyle bólu w szatańskim wirze ziemię tratuje, z błękitu szydzi, słońcu urąga... A tam pod pleśnią płyt mogilnych, pod próchniejącemi stopy krzyżów cmentarnych, w ciemnych wnętrzach kurhanów stepowych— zagadka... tajemnicza cisza... głuche, zabójcze milczenie.

Stoją przedemną widma blade i milczą...

Tłum barwny i mnogi... Twarze znane, twarze drogie, twarze stygmatem bolu znaczone.

Dzwony słyszę, jęki słyszę i płacz.

Widma milczą...

W rozpaczy wzrok mój wewnętrzny napręźam i w głąb duszy własnej zaglądam.

I ciemne dno jej widzę i nic nie wiem...

Przez chwilę łudzę się, że z poza ciemnych krańców niby echo świetliste zórz nieznanych majaczy...

I kona...

Gdzieś na krańcach świadomości przeczucia się rodzą, ręce znów ku widmom się podnoszą, na

usta biegną słowa i giną w przeklętem milczeniu nocy zadusznej...

Widma milczą...

*5 listopada.*

Zabrano Gutka na cmentarz onpolski...

Powierski wziął dymisyę i wyjechał.

Samotny i bezsilny jestem. Wróciłem do starego mieszkania obok biura i usiłuję obowiązkową pracą zabić niepokój, który od śmierci Łosieskiego do serca mego wżarł się i wygnać się nie daje.

Na dworze smutna jesień.

Deszcze wciąż padają, nocami wichry szaleją

*12 listopada.*

Wciąż deszcze i wichry.

Dławiąca tęsknota i obrzydliwe zniechęcenie.

Pytanie — po co to?... wciąż mózg napastuje.

Wciąż widzę długą postać Gutka na białem atłasowem tle wnętrza trumny...

Czasem wpada do mnie Grabowicz mokry, zziębnięty, fizycznie wyczerpany... Pyta o radę, przywozi transporty faktów, które należy opracować, lub zmienić, rzuca projekty i znowu odchodzi do pracy swojej.

Po co to?

Ściany jego szpitala pod uderzeniami deszczu zżółkły, dokoła kałuże błotniste, dokoła mokre warkocze brzóz płaczących wicher rozwiewa i plącze...

Dlaczego miliony jestestw cierpiących mają prawo na krew serdeczną duszy mojej?.. Na mocy ja-

kiego prawa ja mam rzucić siebie na pastwę bólów i cierpień nie moich?.. Dlaczego muszą być — miliony i Ohij?!

Nie wiem..

Nie wiem i stoję wśród deszczu i wichury...

A tam, gdzieś, na jasnym brzegu jest słońce i jest szczęście. Może chwilowe, może zwodnicze, ale jest...

*14 listopada.*

Wykryto zabójcę Gutka.

Przypuszczenie, które jako piorun w chwili katastrofy przez głowę moją przemknęło, okazało się prawdą.

Borkowski...

Stary Borkowski z Charczan...

*17 listopada.*

Jestem chory.

Mózg mam chory...

Mózg mój nie wszystko pojmuje, rzeczywisty sens faktów jak gdyby doń nie dochodzi. Wyczuwam w sobie jakiś bezwład duchowy i chwilami jestem obrzydliwie spokojny.

*20 listopada.*

Bezwład trwa.

Wczoraj Grabowicz rzucił mi nazwisko ex-kochanka Powierskiej... Nie zdziwiłem się... Przeciwnie zdało mi się, że ja to wiedziałem dawno... że inaczej być nie mogło.

Naturalnie Nałyński...

I uwięzienie Borkowskiego nie wywołało we mnie prawie żadnej reakcyi. Zabił — więc więzienie śledcze, potem sąd i tak dalej. Zwykła kolej rzeczy.

*23 listopada.*

Wobec pani Julii jestem zupełnie obojętny. Czuję, że mi jest nad wszystko drogą, a jednak w danej chwili jestem zupełnie chłodny. Bywam w Szuwarowie prawie codziennie i nie wnikam bynajmniej w treść ich stosunku domowego.

Dopiero dziś...

Sama mi to powiedziała... Sama!

Od kilku już dni zauważyłem, że jest... kamienna. Równa, spokojna na pozór i kamienna. Posąg miałem przed sobą, a w źrenicach posągu tlała zwalczona potężną wolą iskierka bólu.

Był wieczór, siedzieliśmy we dwoje w jej buduarze, dzieci już spały, Bolesław od tygodnia bawi w Onpolu.

Trochę grała, potem usiadła przy mnie i mówiła przyciszonym nieco głosem...

— Miałam list od Powierskiej...

Drgnąłem i pomimo woli wzrok ku ziemi spuściłem... Więc miała list... Dramat się rozwija.

— Pani miała wiadomość od pani Maryi? — zapytałem bezmyślnie.

Wiem, że patrzy na mnie, a sam oczu podnieść się boję... Takie ciężkie... a w mózgu krew młotem wali...

— Panie Aleksandrze... słyszę znowu głos jej cichy.

— Co pani?...

— Pan wie wszystko?...

Głos jej cichy i zimny, a mój uwiązł mi w gardle i na serce naciska... Taki ciężar mam w piersi.

— Wiem... tak, ja wiem wszystko, wykrztusiłem z trudnością.

Była chwila milczenia, poczem usłyszałem znowu jej głos taki dziwnie równy i spokojny, że mimowoli podniosłem głowę.

Blask przysłoniętej abażurem lampy rzucał refleks różowy na twarz jej bardzo bladą i nieprzyjemnie chłodną. Takiego wyrazu w jej oczach nie widziałem nigdy, nie przypuszczałem nawet, aby te oczy tak patrzeć umiały... Szary blask lodu w pochmurny dzień zimy...

Siedziała wyprostowana, nie opierając się o ramię fotelu, splecione ręce sztywno leżały na kolanach.

— Co dalej?

Ja milczę...

— Ja w pańską przyjaźń bardzo wierzę i w pana jako człowieka także wierzę... Więc powiedz pan, co ja zdaniem pańskiem czynić powinnam?... — pytała znowu głosem przytłumionym i zimnym.

...Co ona, zdaniem mojem, czynić powinna?...

Ja... ja odpowiedzieć mam na to pytanie...

Na chwilę zwierz się we mnie budzi i ona wie o tem, bo zarumieniła się zlekka i odsunęła nieznacznie... Tak, dziki zwierz niepomny na boleść cudzą. Porwałbym ją i uniósł, podeptałbym nogami ludzkie głowy, które mnie od niej odgradzają i po-

całunkami starłbym kamienną powłokę, pod którą żywe jej serce bije.

Zmogłem się, a ona po chwili znowu pyta...

— Pan milczy?...

Powinienem jej powiedzieć, że Bolesław Powierskiej nie kocha, że są winy mimowolne, za które karać, znaczy spełnić zbrodnię stokroć wstrętniejszą, że drogą absolutnego zapomnienia należy wyjść z zaczarowanego koła wzajemnej nieufności. Że... zapomnieć powinna.

Tak, ja mam obowiązek, powiedzieć to, i po ohydnem wahaniu się — mówię.

...Zapomnieć... Tak jest... Nie przebaczyć, ale zapomnieć.... To jedyna droga wyjścia. Bolesław kocha ją i tak strasznie się męczy. Uczciwy jest... Dla tego właśnie, że kocha i że uczciwy jest, więc się męczy... I ona także... Powinni wzajemnie sobie dopomódz... Widma precz z drogi i iść razem...

Mówię jako o rzeczy, która mnie wcale nie dotyczy, rozwijam temat powieściowy, rozwiązuję zagadnienie społeczno-etyczne, rzucam masę rozumowań chłodnych i na pozór logicznie obmyślanych i na razie nie odczuwam wewnętrznego fałszu mojej dyalektyki, wstrętnej niezgody między tem, co mówię i tem, co mi duszę rozpiera.

Mówię i własną głowę gładzę; mówię i własną szlachetnością się duszę!... A głos mam taki szczery i wzrok taki banalnie poczciwy...

...Tak. Zapomnieć powinna.

Podeszła do pianina, położyła ręce na klawiszach i stała tak chwilę w milczeniu. Potem nawpół zwróciła się do mnie i chłodnym, a jednak prawie szorstkim głosem odrzekła.

— Nie mogę...

*25 listopada.*

Bezwład minął.

List Powierskiej mnie ocucił, a wizyta u sędziego śledczego ostatecznie otrzeźwiła. Fakty ubiegłe tak jasno teraz uwypuklają się w mózgu moim, taki palący refleks pada od nich na serce moje, które znów gorączkowo żyje...

Łosieski zostawił u proboszcza z Szuwarowa testament prywatny w formie listu. Złożył go jeszcze w wrześniu przed wyjazdem swoim do Krakowa.

Rozporządzenie krótkie. Trzecią część przeznaczył dla Powierskiego, trzecią dla Hanki, i pozostałą dla wnuków swego zabójcy Borkowskiego.

Spotkałem się ze starym w przedsionku biura śledczego w Złotogródce. Siedział na ławie drewnianej z kilku innymi więźniami w szarej grubej odzieży i w szarej, okrągłej czapce więziennej na głowie. Schudł nieco, ale twarz miał spokojną. Zobaczywszy mnie, uśmiechnął się z miejsca.

Zatrzymałem się i powiedziałem mu treść testamentu, który wnuków jego obdarzał.

Stary ani drgnął...

Milczał, tylko mu oczy dziko rozbłysły, a usta skrzywiły się dziwnie, rzucając na twarz wyraz namiętnej, nieubłaganej surowości. Wyprostował się. Jak z jednej bryły ulany posąg, od którego biła surowa potęga i ból jakiś ogromny i szyderstwo piekielne, szarzał przedemną na jasnem tle ściany.

Obok niego siedziała czterdziestoletnia kobieta z piętnem rozpusty i rozuzdania na dużej, znaczonej grubemi rysami twarzy, bardzo blady wyrostek i siwy, nie tyle stary, ile chorobą sterany więzień. Jedyny strażnik z obnażoną szablą siedział opodal na

drewnianym zydlu obok stołu, na którym złożył dwie grube księgi w szare, poplamione atramentem płótno oprawne.

Drgnąłem.

Ponury blask duszę moją nagle rozświetlił. Nie zbrodniarz zda się siedział przedemną, lecz sędzia nieubłaganie surowy i nieubłaganie szczery... Nie człowiek, lecz tajemnica straszna w posągowe formy zaklęta szarzała przedemną na białem tle ściany.

Spuściłem oczy i wyszedłem jak tchórz, bojąc się, aby tajemnica słowa wyjaśnień rzucić mi nie chciała.

Wyszedłem przybity, niosąc w uszach jakiś śmiech szyderczy nad złudą pracy mojej, nad nędzą usiłowań karlich, którą wzrok tego starca osądził.

Za mną rozległ się suchy kaszel chorego więźnia i grube przekleństwo kobiety.

*8 grudnia.*

Zanurzyłem się w pracy po uszy.

Usiłuję za przykładem Grabowicza nie mędrkować, lecz czynić to, co do mnie należy, w miarę sił moich dobrze. Ciągnę pług mój ciężki i z każdym dniem przekonywam się coraz bardziej, że albo lemiesz w pługu moim osadzony jest fałszywie, albo orka przedwczesna.

Tak... Gleba nie umierzwiona, warunki zewnętrze najlepsze chęci paraliżują, najusilniejszą pracę niszczą i wykoszlawiają...

*10 grudnia.*

Pokątna adwokatura miasta Złotogródki do walki ze mną stanęła. Interesy im psuję, zarobki ich zmniejszam... Więc walczę.

Włościanom z Hołowina pomogłem zawrzeć bardzo dla nich wygodną umowę dzierżawną z dziedzicem. Przedtem jednakże należało umorzyć proces, istniejący od lat paru. Na odpowiedniem podaniu podpisałem włościan na mocy ich umocowania ustnego i jestem pod sądem.

Za namową niejakiego Szai Wileńskiego włościanie hołowińscy wnieśli skargę, że podpisałem ich nazwiska bez upoważnienia, stąd oskarżony jestem o fałszerstwo.

— Winszuję panu! powiada z zimnym uśmiechem Tarnobrzeski.

Grabowicz doradza więcej ostrożności i taktu w mieszaniu się w sprawy, jak on je nazywa „cudze".

Sędzia śledczy śmieje się i powiada:

— Kpij z tego, Aleksandrze Zygmuntowiczu.

Zawsze jednak jestem „pod sądem"...

*31 grudnia.*

W dwupiętrowej sali balowej tany.

W sąsiednim gabinecie, którego oddrzwia zdobne są herbami książąt Czołhańskich, toczą się tak zwane szlachetne rozmowy...

Pan pierwszy. — Widzi książę, życie na wsi nie jest synekurą, to nawet nie jest posada korzystna, ale służba, służba mozolna i ciężka. Kto z takiem przekonaniem za pług się chwyta, kto wie, że nie rola jemu, ale on roli wysługiwać się powinien,

i kto, panie, ma dosyć hartu i miłości, tak jest, i miłości, żeby w przekonaniu takiem wytrwać, ten nie zginie... Ziemię trzeba kochać i ziemi trzeba służyć, a rachunki prowadzą się wiekami i wyrażają nietylko rublem...

Książę. — Tak, panie Sewerynie... Ale sto milionów pruskich...

Pan drugi. Z tem się liczyć chcesz, czy nie chcesz, a trzeba.... Dyabeł w duszy tych Teutonów zamieszkał. Poprostu krew cierpnie, kiedy człowiek pomyśli o takiej barbaryi na początku XX. stulecia.

Młody książe. — Zupełnie tej połajanki nie rozumiem. Hańba jest, ale komu się ona należy?! Otwarcie mówię, że we mnie wszystko się burzy na widok piorunów, ciskanych w stronę Berlina... Co tu ma Berlin?!.. Niemiec przenosi Poznańskie nad Kamerun — ja to rozumiem: Prusak pragnący w swojem państwie o kilka godzin od stolicy nie słyszeć obcej mowy — i to zrozumiałe; Germanin, pełniący odwieczną swą robotę płodzenia się i rozrastania na obcoplemiennej mogile... Są to stare dzieje, znane z przeszłości i spodziewane w latach przyszłych. Mnie te gromy, które nasi ciskają, inaczej bolą. Ja słyszę w nich strach nie przed niemiecką nawałą, lecz przed samymi sobą. Nas ogarnia obawa potęgi milionów, obawa, że jest na świecie takie złoto, które nas kupić może.

Pan drugi. — Są jednak panie Olgierdzie okoliczności, kiedy...

Pan pierwszy (przerywa). — Żadnych okoliczności być nie powinno!

Młody książę. — Nie powinno, ale są. Zgnilizna nas toczy, każdy z nas nosi w sobie robaka, który

mu sumienie dziurawi. Złych instynktów mamy w sobie do dyabła, a hamulec publiczny u nas nie istnieje. Niema go. Dla wielkich, dla rzeczywistych zbrodni zawsze znajdziemy tłumaczenie i wymówkę.

Pan trzeci. — W każdym razie psa zjedzą bestye niemiaszki. Wszystkiej ziemi u nas nie wykupią, a Polak to dziwnie mocne stworzenie. Patrzcie na Śląsk...

Książe (z gorzkim uśmiechem). Tak! Zjeść nas nie zjedzą, ale urządzą nam z Wielkopolski drugie Czechy, tj. dziwoląga, który nosząc w ciele dwa rodzaje krwi, wstrząsa się, jak epileptyk od nieustannych harców dwu wręcz sobie przeciwnych pierwiastków. Niechże dyabli wezmą taką pociechę, panie Joachimie!

Pan drugi. — Tak!.. niech to dyabli wezmą...

Pan pierwszy. — Smutno!.. smutno, moi panowie...

. . . . . . . . . . . . .

Nad ranem, chcąc już wyjeżdżać, spotykam w tymże gabinecie młodego Czołhańskiego.

— Ile pan przywiózł z sobą akcyj Poznańskiego banku?... pyta młody książę, zapalając cygaro.

— Cztery... Ale proponowałem wogóle lokatę kapitałów w tych papierach.

— I nie sprzedał pan ani jednej?.. — uśmiecha się Czołhański.

— I nie sprzedałem ani jednej.

— To bardzo naturalne... odzywa się od progu Hodowski, który niepostrzeżenie wsunął się do gabinetu.

— A to dla czego?..

— Widzi pan... — mówi Czołhański — pan sobie wyrobił opinię...

— Jaką, ciekawy jestem, ja sobie wyrobiłem opinię?..

— Demagogia... uśmiecha się Czołhański.

— Eeh! mości książę... To nie tyle demagogia, ile tak zwana warszawska blaga, której my ogromnie nie lubimy zwłaszcza, gdy ta blaga na kieszeń naszą napaść czyni... ironicznie wtrąca Hodowski.

— Patryotą miejscowym jestem, ale chyba na całym świecie takiej blagi niema, jak u nas w onpolskiem, twierdzi książę.

— Na inny sposób, na inny łaskawco mój sposób, tłumaczy poważnie Hodowski.

W tej chwili do gabinetu z sali balowej wchodzi dawne towarzystwo.

Książe. — O czem to pan Zenon rozpowiada?

Hodowski. — Tłumaczę różnicę między blagą warszawską i blagą onpolską.

Pan pierwszy (z uśmiechem). — To ciekawe..

Hodowski (z dobrodusznym uśmiechem). — U nas rzeczywiście są, uważa łaskawca, koloryści.. koloryści, ale nie blagierzy. Wiatry stepowe fantazyę nam dyabelnie rozhuśały. Ot jak, łaskawy i kochający mój panie! Sam miałem ciotecznego dziadka który nadzwyczajnemi wypadkami żywot swój pospolity koloryzował.

Młody książę (do mnie, na stronie). — Jako żywo takiego dziadka nie było.

Hodowski. — Był deputatem ten mój dziadek cioteczny i na zebraniach szlachty musiał asystować. Otóż przyjeżdża raz do Onpola na takie oto zebranie, a tu deszcz... Uważa, łaskawca dobrodziej?

Deszcz, a on szkapy odesłał, płaszcza nie ma i parasola także nie ma... Niema... Nic, tylko mundur szlachecki. Warszawiak zblagowałby chorobę i na stancyi został, a on nie... On, dziadek mój cioteczny, ubrał się w paradę i hajda! Między deszczem, między deszczem, między deszczem, aż dobiegł do kasyna... Sam mi mówił, że dobiegł suchutki, jak hubka, tylko zaziębił się haniebnie, bo spotniał i wiatry go w tych korytarzach międzydeszczowych naprzestrzał pokłóły. Odchorował ten wypadek ogromnie. Jak dziś pamiętam, przyjeżdżam ja do niego łaskawco, tak jakoś w miesiąc potem i widzę, że w sypialni na podłodze mnóstwo zagłębień czarnych od wypalenia, niby, uważacie, od węgielków fajczanych.

— Nieostrożnie dziadek dobrodziej fajkę pali, mówię do niego.

A on mi no to:

— Głupiś!.. głupiś — powiada — bo to nie fajka, a gorączka tak mi podłogę spaliła. Już w Opolu czułem się niedobrze, dla emocyi tedy wracałem konno, a dla równowagi trzymałem pejcz wyciągnięty poprzek drogi. I, co ty powiesz.... takem, panie dzieju, pędził, że przez całą drogę słyszałem... tratatata... tratatata... tratatata! tj. pejcz w tę harmonię o słupy telegraficzne uderzał. Dyabełby takiej pędzanki nie wytrzymał, a myśmy ze strzałką wytrzymali... Bieda tylko, że bestya gorączka także wytrzymała. Com tej szelmy nie wytrząsł i do domu to bestyjstwo przywiozłem. Co, uważasz, splunę, dziurę w podłodze wypalam... taki żar w sobie dźwigałem... I oto czemu owe wypaleniska mój wnuku oglądasz. Myślę sobie — źle!... Rada w radę przyszło doktorów zaprosić. Zwołuję tedy doktorów i mówię

im — tak i tak, to i to... Powiadam — ratujcie!... Zaczęli tedy medytować, radzić, nalewali mnie rozmaitemi miksturami... Nie!.. Gorączka wciąż jest, ja wciąż ślinę łykać muszę, żeby pożaru w chałupie nie wzniecić... Głupia, panie dzieju, zaczynała być awantura. Jeszcze dni parę, a sam spalić się mogłem, lub, jako wiór wyschnąć i zamrzeć... Gdy w tem przyjeżdża poczciwy pan Szymon Niekraszewicz i od progu pyta.... Co tobie?... Jak widzisz, mówię, rodzinne gniazdo palę i sam płonę, aż skonam... Gdzież doktorowie?... powiada. Wypędziłem psubratów, bo mi kieszeń wysuszają, a gorączki zdławić nie mogą... Słuchaj, mówi pan Szymon — „zabraw czort Iwaśka, nechaj bere i kołysku". Nie żałowałeś setek, rzuć jeszcze dziesiątkę — zawołaj, serce, znachora Michałka, to mądry człowiek. I posłuchałem ja, panie dzieju, poczciwego pana Szymona. Wygnałem podłych pigularzy, zawołałem z Sitkowiec Michałka i ten mi zadał takiego z ziół kordyału, żem ozdrowiał. Zrobił mnie uważasz, panie dzieju, jakiegoś paskudztwa, i gdym one paskudztwo pić zaczął, odrazu poczułem miłą we wnętrzach ochłodę. Po wypiciu półgarncówki spróbowałem splunąć... I co ty na to powiesz? Ja pluję, a tu na podłodze — stuk... jeszcze pluję — jeszcze stuk... znowu pluję — znowu stuk!... A przytem język od mrozu mi marznie i ząb trzonowy od chłodu ćmić zaczyna. Co u dyaska?!... myślę sobie... aż tu, kiedy ja się schylam, a na podłodze kawałki lodu błyszczą... Czy ty widzisz?.. Bestya Michałko lodownię mi w brzuchu urządził. I tak, kończył dziadek, nie węgielki, błaźnie jeden, lecz gorączka tak mi podłogę spaliła. Ocalił zaś mnie Michałko, którego Pan Bóg natchnął i który dziwy w tej oto

naszej okolicy swojego czasu czynił. Boży był człowiek, ani słowa, panie dzieju, tylko gorzałkę zbytnio miłował i ona go też zgubiła... (Śmiech ogólny).

Hodowski: Wiatry, wiatry, panie dzieju, stepowe, dobre trawienie, no i tak dalej w ten sens fantazyę nam wyedukowały... Księgi, panie, serce i łaskawco mój kochany, w szopach i bibliotekach trzymamy, a w głowie swoboda i wolność święta przez ojców nam przekazana. Otjak! I powiem panu łaskawemu, że jest dobrze. Fantazya bryka, ale sumienie spokojne i honor niemarkotliwy i blagi ani za grosz... Naprzykład te jakieś akcye poznańskie...

Pierwszy pan: Dlaczego „te jakieś?...“

Hodowski (ironicznie): Gdzie Rzym, gdzie Krym...

Pierwszy pan (przerywa): Obowiązki, panie Zenonie.

Hodowski (przerywa): Mamy miejscowe, o czem (mruga jednem okiem) pan Ohij łaskawie zapomina. Przedewszystkiem obowiązki lokalne, których systematycznie nie spełniamy, ale które są... Więc to zwalnia nas od tej jakiejś tam, pan Ohij łaskawie wybaczy, warszawskiej blagi...

Książe: Pana Zenona zawsze trzymają się żarty.

Hodowski: W pewnych razach żart to jak umbrelka... dla sumienia.

Wnoszą szampan. Zaczynamy pić zdrowie Hodowskiego, zdrowie jego ciotecznego dziadka, zdrowie pana Szymona Niekraszewicza, zdrowie obecnych i nieobecnych, bliskich i dalekich, żywych i umarłych. Humory wyśmienite, ochota trwa do dnia białego.

Młody Czołhański odprowadza mnie do sanek i mówi:

— Te cztery akcye ja biorę... Ojciec, jestem pewny, także weźmie akcyj kilkanaście... Ale... ale mnie się zdaje, panie Aleksandrze, że to nie jest to...

— Ja myślę, że to nie jest to...

— Namowy... presya... mus... Ha! zobaczymy — marszczy brwi Czołhański.

— Dla mnie to już jest jasne, mości książe... — odpowiadam, zdejmując czapkę, a ostatnie moje słowa głuszy dźwięk dzwonków, bo czwórka jasnowodzkich karoszy cwałem z miejsca ruszyła...

*25 stycznia 1902 r.*

Karnawał.

Ludziska się bawią, a ja jestem tak samotny, jak nigdy. Cały zarząd odsunął się odemnie. Zakończyłem separat w Horkach ze zbyt jakoby wielką stratą dla obszaru dworskiego. Niezadowoleni są ze mnie. Każda moja czynność kontrolowaną jest obecnie bardzo surowo, pełnomocnictwa moje usiłują zmniejszyć, na każdym kroku spotykam opór i protest nawet w sprawach zasadniczych, o które walczę na podstawie wymogów sumienia mego.

W okolicy słynę jako demagog.

Włościanie nazywają mnie „pańskij prychwosteń“...

Tak i włościanie także...

Niezadowoleni są zwłaszcza mieszkańcy Horek, również za separat. Przy spotkaniu ostentacyjnie dają mi poznać, że wskutek moich chytrych jakoby

podkopów, zrobili szkodliwą dla swoich interesów zamianę.

— Wam wse riwno — mówi ze złym uśmiechem stary Jakim — a nam tesno... My tak i wiedzieli, że wy pańskiego pilnować będziecie, bo za to graf hroszy wam płatyt i ot zduriły, taj na waszą wędkę, paniczu, wziąć się dali. Stary Borkowski za swoją krzywdę, jak rozbójnik zapłacił, a nas, taki syn sprzedał... I teraz na... masz, ugryź, kiedy ci zębów starczy!...

Zaciskam tedy i ja zęby i brnę dalej z coraz większym wysiłkiem, z coraz mniejszą wiarą. Wszystko naokół mnie się rozprzęga. Albo zamrużyć oczy i robić, jak Grabowicz radzi — co można... albo...

Otrzymałem przed paru dniami list, w którym mi piszą: „rzuć Olek płonną robotę Twoją. Chyba przekonałeś się dostatecznie, że głowa nawet taka jak Twoja muru nie przebije... Nie z tego końca, nie w ten sposób. Olku! Przyjeżdżaj, bo potrzebujemy Ciebie gwałtownie. Trzeźwiejszy jesteś od wielu z nas, a przytem my Tobie wierzymy... Samotny jesteś, a to ogromnie dużo znaczy, bo wyklucza olbrzymią masę niepotrzebnego mazgajstwa... Przyjeżdżaj, Olek, przestań nalewać źródlaną wodę do pękniętego naczynia — wszak wiesz, że wycieknie i z błotem się zmiesza“.

Mają racyę.

Naczynie dawno już pękło, należy odeń odejść...

A przytem oni mi wierzą...

Cha! cha! Jak to ogromnie ułatwia skręcenie karku osobistym zachciankom...

A przytem ja jestem jako palec samotny...

Wspaniała zaleta!...

Jeżeli schody pękną, wpadnę sobie do lochu i już...

Tak... tylko tyle...

O jedno ciało będzie mniej, a płaczu stąd na świecie nie przybędzie...

Wszyscy minus Ohij... C'est tout!

Ostatecznie mają racyę... Poszedłbym dziś jeszcze, gdyby nie Mogilnica. Proces wygraliśmy i żal mi tych biedaków z Szulaw. Nędza im grozi, a ja radbym ich od nędzy obronić. Jeszcze więc na tak zwanem stanowisku trwam i robię, co mogę, z narażeniem nawet miłości własnej, aby nakłonić zarząd do sprzedania Mogilnicy szulawiakom za cenę możebnie najniższą.

Tymczasem samotny siedzę w swojem mieszkaniu, patrzę na park w śnieżnej topieli tonący, codziennie podziwiam bezbrzeżny spokój, z jakim słońce zimowe za bór nadhoryński zapada...

Nikt mnie nie odwiedza i ja nikogo nie śpieszę się zobaczyć. W Szuwarowie bywam rzadko. Panuje tam atmosfera dziwnie naprężona i chłodna, zwłaszcza od chwili, kiedy z Warszawy nadeszła wiadomość, że Powierska wskutek bardzo podejrzanego wypadku umarła.

Bolesława prawie nie widuję. Nałyńska odpowiedniej rozmowy nie wszczyna już nigdy.

Nałyńska...

Tak... Pani Nałyńska... Obca... daleka... Jeszcze bardziej obca i bardziej daleka, niż dawniej.

Kiedyś sam wszcząłem rozmowę o Powierskiej... Zmarszczyła brew i spojrzeniem dumnem i bardzo

chłodnem odrzuciła mnie na dystans stomilowy. Po chwili wzrok zmiękł nieco i odparła krótko...

— Zapóźno...

Odważyłem się spytać — dlaczego zapóźno?

Zmarszczyła brew i sucho odrzekła...

— Niech pan grobów nie rusza... Chłodno tam w nich i tak bezgranicznie smutno. Wolę już ciszę i smutek moich trzech samotnych klatek.

*6 lutego.*

Zima...

Skuty lodami Horyń stanął. Okoliczne lasy, pola i drogi zasypał śnieg obfity, dziewiczo biały, puszysty... Dnie mroźne i jasne, a nocami przychodzą gwiazdy i cisza... Nocami nad białą pustynią śniegów zawisa gwiaździsty błękit, oddychający tajemniczym blaskiem świateł, które z bezkresów biegną i na ciemno błękitnem niebie zostają, rzucając na śniegi cudowne refleksy, pełne tęsknoty, przeczuć i tajemnicy.

Wciąż jestem samotny, tak samotny, jak nigdy...

Ja i sumienie moje... Sumienie, które nagle wymownem się stało i coraz to rzuca mózgowi i sercu wyrzuty i napomnienia niejasne, zagadkowe i bolące, bo pewności nie mam i w myślach własnych błądzę.

Szarpanina jasnowodzka kończy się. Sprawę sprzedaży Mogilnicy postawiłem jako ultimatum, wiedząc naprzód, że z walki zwycięzcą nie wyjdę. Z jednej strony system ochrzczony mianem konieczności,

z drugiej strony, tak zwane mrzonki i niebezpieczne eksperymenty...

Wynik jasny...

Zdaje mi się, że ustawicznie słyszę głos zatabaczonego mentora...

— Proszę nie ruszać!

— A potem...

— Baw się, smyku, w piasku, ale do stu dyabłów, parkanów nie podkopuj i murów nam nie psuj, bo to jeszcze pradziadowska pamiątka... Duszno w nich... wilgoć... malarya, ale stare są, więc ostać się winne...

Wynik jasny.

. . . . . . . . . . .

W wilię ostatecznej rozmowy z Tarnobrzeskim ciężki miałem dzień do przebycia. Pani Julia, wysłuchawszy moich uzasadnień á conto rzucenia miejsca w Jasnych Wodach, przestaje być kamienną, ożywia się i dawnym dobrym głosem proponuje mi zarząd Szuwarowa.

— My z rozmaitych względów zamieszkamy w mieście, a Szuwarów potrzebuje silnej i dobrej ręki... Zostań pan z nami, panie Aleksandrze... I panu będzie cieplej i dla szuwarowskich dóbr lepiej i dla mnie...

Powiedziała... „i dla mnie!..“

— Odwiedziny Szuwarowa nie będą także chłodne i smutne...

Powiedziała... „nie będą także chłodne i smutne....“

A przytem spojrzała dawnym, dawnym wzrokiem. Głos jej był bardzo smutny i zdaje mi się, że zlekka drżący...

W tej chwili zabrzęczały dzwonki sanek przed domem. Przyjechał Bolesław. I znowu twarz jej miała wyraz odpychająco zimny... Znowu posąg miałem przed sobą, a na twarzy posągu ryła się twarda zawziętość, a w oczach posągu błyskały próżno hamowane wysiłkiem woli iskierki pogardy.

Ciężki dzień...

Wciąż w uszach mi brzmiało — zostań z nami! Wciąż widziałem jej oczy dawne, które mi serce rwały... Wciąż poiłem się nutą bezbrzeżnego smutku, który brzmiał w jej ustach lekko drżących i z głosami wnętrznego buntu w piersi mojej walczył.

Przemogłem się jednakże.

Zdecydowałem podle uciec, nie widząc jej więcej, bo jeszcze jeden seans takiej namowy i kto wie... Nikczemnie słaby jestem... Tak... Bajecznie olbrzymi i bajecznie podły egoizm tam gdzieś na samem dnie mojej istoty leży...

*7 luty.*

Decydująca rozmowa z Tarnobrzeskim.

— Nie przeciągaj, Olku, struny! prosił Grabowicz. Nawet w tak trudnych warunkach, jak nasze, można dużo dobrego robić... Zostaw to... Może później uda się sprzedaż Mogilnicy przeprowadzić.

Tak... Ale głód nie czeka.

Zresztą fałszem się duszę... Te ustawiczne kompromisy do snu kołyszą... Jeszcze krok i wygodna drzemka na miękkich puchach... konieczności.

Dość!... Stanowczo dość mam tego...

Jestem po raz ostatni w poważnym i zarazem kobieco-miękkim gabinecie władzy naczelnej.

Tarnobrzeski wypieszczone swoje dłonie delikatnie opiera na moich ramionach, spokojnie patrzy mi prosto w oczy, a potem mówi...

— Pan, panie Aleksandrze, wymagasz od nas rzeczy niemożebnych.

Ja również patrzę mu prosto w oczy i z równym spokojem odpowiadam...

— Wiem o tem.

— Pan wiesz o tem?... dziwi się Tarnobrzeski.

Skinąłem głową.

— Pan wiesz o tem? — powtórzył.

— Owoce smutnego, panie pełnomocniku, doświadczenia... Tak, ja wiem o tem i dla tego obojętnie traktowałem paromiesięczne znęcanie się zarządu nad moją pracą... Niestety ja dziś o tej niemożebności wiem dokładnie i dla tego pozwalam sobie zupełnie szczerze ściskać dłoń pańską... Pan nie jesteś człowiekiem złej woli, ja uważam pana za człowieka uczciwego.

Zaśmiał się nerwowo i powtórzył...

— Względnie uczciwego!...

— Tak... Pan jesteś człowiekiem, który losowi „bolące kawałki“ wykrada. Pan z Grabowiczem uważacie, że zadanie uczciwego człowieka polega właśnie na kradzieży „bolących kawałków“ i na lokowaniu ich w szpitalikach.

— A pan radbyś do całości wbrew rozsądkowi i logice się dostać?!... szydzi Tarnobrzeski.

— A ja wbrew rozsądkowi i logice pragnę do całości się dostać... odpowiadam sucho.

— Karłem pan jesteś.

— I karły potrafią...

— Co?

Spojrzałem mu prosto w oczy i oczy spuścił ku ziemi.

— W swoim czasie, panie Tadeuszu, razem z ojcem moim i wyście tego wyrazu za przechwałkę nie uważali. Fortuny wasze od tego pękły... A dziś...

— Zamilcz pan... wycedził przez zęby.

Blady był, usta mu drżały, wyraz zmęczenia i zgrzybiałości przemknął po starannie podtrzymywanej kosmetykami twarzy.

— I cóż stąd? — wyszeptał bardzo cicho. Więc dlatego, że myśmy na jednej drodze łby sobie porozbijali, wy powinniście na innych manowcach guzów szukać?... Znowu... jeszcze...

— Mylisz się pan!... Powiedz — zawsze! i powiesz pan prawdę.

— Żal mi pana.

— Ja sam siebie żałuję.

Spojrzał na mnie badawczo.

— Pan szydzisz?...

— Nie panie, mówię prawdę. Bydlę we mnie siedzi i na myśl o miękkim fotelu ślinę do ust posyła. Fotel mnie nęci... Nie doszedłem jeszcze do rozumnego uzasadnienia moich praw na fotel, ale wiem, że jest miękki i wiem, że ja to lubię...

— A jednak pan idziesz...

— A jednak ja pójdę...

Ruchem starczym pokiwał głową.

— Napróżno przytaczałbym słowa Ben-Akiby...

— Napróżno. Bo jabym panu dodał, że nie tylko wszystko to już było, ale wszystko to jeszcze będzie... w nieskończoność nieprzerwanym łańcuchem pociągnie.

— A jednak pan idziesz!... — uśmiechnął się blado.

— Pójdę.

— Bez wiary?...

— Z potrzeby. Czuję w sobie potrzebę, której uzasadnienie gdzieś po za świadomością leży. Mózg mój uzasadnień uchwycić nie jest w stanie, ale potrzeba... imperatyw od woli mojej silniejszy serce mi ssie, więc idę!

W kwadrans potem wychodzę z gabinetu z dymisyą w kieszeni.

. . . . . . . . . . . .

Na dworze noc. Księżyc i cisza.

Pod nogami śnieg... Drzewa szronem okryte...

Jasna promienna noc zimy głębokiej...

Tęsknota wraz z blaskami księżyca wpływa do duszy mojej. Czuję, że jestem zupełnie samotny na ziemi i jak gdyby połączony z bezgranicznym światem gwiazd i słońc promiennych, które mam nad sobą w otoczeniu oddychającej zda się przyćmionem światłem ciszy. Nieskończoność migotliwym blaskiem gwiazd wypełniona, cisza, którą mam dokoła i tęsknota, którą wyczuwam w sobie, zlewają się w duszy w jedną całość nierozerwalną, której składowych części chwilami nie rozróżniam.

Na niebo od zachodu wybiegł tłum obłoczków drobnych i przelatując przez tarczę księżyca, symuluje bieg jego szybki w dal niewiadomą. Mnie się zdaje, że umykający księżyc zabiera mi z duszy jakąś cząstkę własności mojej wewnętrznej i że ta cząstka nigdy już do mnie nie wróci... Myślę, że dzieje się zbrodnia, gwałt straszny nad mojem „ja“ bezecnie umęczonem, a potem...

(*) Gdy gwiazda kręgi nieskończone
Zataczając uniesie mnie w nieznaną stronę,
Gdy nie wiem dokąd idę, ani skąd przychodzę,
Gdy umieram samotny, kiedy cierpię srodze,
Rzeknąć mogę, że nie chciał mego nikt cierpienia,
Że są bóle, lecz niema katów wśród stworzenia.
Rozgrzeszam was przestrzenie, słońca, was lazury
I gwiazdy, co blaskami mrzycie się u góry!
Te wielkie, nieme bryły nie wiedzą, co czynią...

Tak, rozgrzeszam i czuję dziwne odrętwienie, które całego mnie opanowuje. W głowie nie mam ani jednej określonej myśli, a jeżeli chwilami błąka się po mózgu jakiś urywek o treści świadomej — wypędzam go...

*3 marca. Onpol.*

W zajeździe Rejzi Hochszpil oczekuję końca śledztwa w sprawie hołowińskich włościan. Natychmiast potem wyjadę.

Mam duży, o bielonych wapnem ścianach, pokój, którego dwa okna wychodzą na rozległe, bardzo brudne podwórze, otoczone szeregiem niskich żydowskich domostw. Meble prymitywne, chwiejąca się podłoga, duży staroświecki komin, nad którym czarny Otello pod niesłychanie czerwoną kotarą dusi potężnemi dłońmi Desdemonę.

Po całych dniach siedzę w domu i rzucam się jak chory zwierz między czterema ścianami brudnej mojej chałupy. Na dworze deszcz i wichry — słotny marzec w małem gubernialnem mieście.

---

*) Gujan.

Wieczorami ogień obficie na kominie płonie, a ja leżę na łóżku i myślę. Cała przeszłość do mózgu się pakuje i — boli...

Jasne Wody...

Duży szmat życia. Olbrzymi wydatek sił, energii i serca...

Ta karta ostatecznie już zamknięta — pozostaje pytanie: Po co? Dlaczego?... Co mi potem zostało?...

Nauka?... Tak.

Doświadczenia?... O tak!

I ból...

Ból zawodu, wstręt do wysiłków płonnych, niepewność szermierza, który siły na nędznem podwórzu zużywszy na arenę iść musi.. Musi iść, i musi walczyć...

Chwilami jest mi bajecznie smutno, zwłaszcza kiedy dzień kona i pokój szary mrok wypełnia.

Wtedy leżąc na wązkiem łóżku onpolskiego zajazdu, wśród zmroku konającego dnia słotnych przedświtów wiosny, czuję, że mi jest źle, smutno, bardzo obco i bardzo pusto... Zdaje mi się, że jestem odcięty od właściwego świata, a Onpol, zalewany teraz potokami deszczu, robi na mnie wrażenie olbrzymiej kałuży błotnistej, cuchnącej specyficznym zapachem żydowskim, który wypełnia cały zajazd, unosząc się nad oślizgłą od błota podłogą korytarza i wypełniając wszystkie kąty brudnych mieszkań.

Zbliża się szósta.

Do pokoju z zapaloną świecą wchodzi myszures Wolko, siwiejący, małego wzrostu, niezmiernie ruchliwy żydek.

Potrzebuję głos ludzki słyszeć, więc rozmawiam z Wolkiem.

Zresztą Wolko to stary znajomy. Mojemu ojcu — „samemu panu Zygmuntowi“ — który, zdaniem Wolka, był strasznie wielki elegant, stryj Wolka, krawiec Apcio z Górnopola, frak na ślub robił.

To zadzierzga między nami pewne węzły. Wolko czuje nawet z tego powodu pewne powinowactwo ze mną, bo bez fraka panowie się nie żenią, w Apciowym fraku pan Zygmunt ślub brał, a potem panicz Olcio się narodził. Bez fraka nie byłoby ślubu, a tak pan Olcio na świat przyszedł... Frak zaś szył Apcio, rodzony stryjaszek Wolka... I co to za frak był?!... To był taki frak, jaki pan Zygmunt był człowiek — nadzwyczajny!...

— Och! cho! cho! wzdycha Wolko. W Górnopolu to teraz już nikogo z naszych starych panów niema. I państwa Daszowskich niema, i papuńcio pański umarł, i państwo Witaszewscy także... O jej!... Mnie się zdawało, co bez państwa Witaszewskich to Górnopola całkiem być nie może, a oni wzięli taj oboje poumierali... Nawet w aptyke cudzy siedział, tylko dopiero teraz mnie mówili, co pan Bolcio... Panicz pamięta?... Syn starego pana Draczyńskiego, to un się wrócił i aptyke swoją nazad trzyma.

— A Mendesa panicz pamięta?...

Ja Mendesa naturalnie pamiętam.

— Tak... Panicz to chce pamiętać, bo panicz z naszych starych, starych panów... Teraz takich panów już niema... Może to jest źle, co takich panów niema, a może to i dobrze, co takich panów niema.. Ja młody żydek był, ale ja pamiętam, co wtedy bardzo straszno było... Hudia, stara Hudia — ona by-

wało herbatę po dworach roznosiła, a w te czasy to ona i co innego woziła — powiada, co jak papuńcia paniczowego zabrali, to jasna pani nie płakała... Przy oknie ona sobie ze starszym bratem panicza na ręku stanęła i patrzyła... Ona nie płakała i ona patrzyła, ale ona taką straszną twarz miała, że jak mówił najstarszy nasz rabin górnopolski Abramko, te myszli, co u niej wtedy po głowie chodzili, to oni do czwartego pokolenia przejdą... A potem pani za jasnym panem pojechała, a potem to już tylko sam pan z paniczem Olciem wrócili... O... wa!... inne czasy i panowie teraz nie takie!

— Mnie się zdaje, mój Wolku, że i żydkowie teraz nie tacy, jak dawniej.

Wolko lekceważąco macha ręką.

— Ja panu co powiem. Na naszych żydków to gadają teraz bardzo paskudne rzeczy, ale ja panu powiem, co to nie prawda... Uważa pan?... Niech się pan tylko mnie spyta, czy to jest prawda i ja panu zaraz powiem, co to nie jest prawda. Że jest między nami łajdaki... Nu!... czemu między nami nie mają być łajdaki?... One wszędzie są, te łajdaki! Ale ja panu tylko tak powiem, jak jeden bardzo mądry żydek — un był rabin — samemu grafowi Dranickiemu powiedział. Widzi pan... Jak Anglik oszuka Turka, to powiadają, co to polityka; jak pan okpił pana, to powiadają, co dobry interes zrobił; jak obiwatel okpi żydka, to powiadają, co on jest sprytny; a jak żydek chce sobie zarobić... To zaraz krzyczą — złodziej, szachraj, łajdak!... Oni tak, z przeproszeniem, krzyczą.

— Ale ja panu powiadam, co to nie prawda. Naszym żydkom teraz życia niema... I tego im nie

można, i tego im nie można, a jak im co jest można, to zaraz teraźniejsze panowie oszukają.

— Jakto, panowie żydków?...

— Panowie żydków! potwierdza Wolko. To jest takie rzetelne, jak pan Bóg na niebie, a pan gubernator na ziemi. O... wa! Teraz takie czasy nastali, co nam życia niema. U nas teraz wszędzie — Sadóm i Gamór!... Oni, te nasze teraźniejsze panowie, to oni na bańkach z midła siedzą. Pan może miszli, co to jest majątek, a to bańka z midła.. Tam jest bank, tam jest jeden kontrakt na las, tam jest drugi kontrakt na las, tam jest kontrakt na zboże na dwa lata naprzód i drugi kontrakt na zboże na dwa lata na tył; tam o ten drugi kontrakt to jest proces, a o ten pierwszy kontrakt to tam będzie proces; tam jest weksle i kwity, i kwitki, i nieustojki i zakładne prawdziwe i zakładne fiktiwne... Abo ja wiem, co tam jest?... Ja tylko wiem, co tam majątku niema, co majątek to jest bańka z midła.

— Pan mówi, co teraźniejsze żydki szachraje?... O... wa! A oni, te nasze panowie, to co oni z przeproszeniem jest?... Taki pan co nic nie ma, to jeszcze pożycza; takie zboże, co już raz sprzedane, to un drugi raz sprzedaje... A potem co?... Ja pana pitam, potem co?... Pan nie wie?... Nu to ja panu powiem... Potem żydka z przeproszeniem, w pysk... a potem un bankrut... a potem żydkowi piętnaście kopiejek za rubla... O... wa! Co to jest?... Pierwej żydka w pysk, potem krzyczą, co żydek jest szachraj, a potem piętnaście za sto... To się nazywa dobry interes!... A gite geszeft!...

— Interes!... interes!... kiwa głową Wolko. Dobry, uczciwy interes, to un z naszymi ojcami w grobie się położył... Un szpi, a biedne żydki to samą krwią płaczą! Pan miszli, co z teraźniejszymi panami można mieć uczciwy interes?... Nie... Ja panu powiem, co nie... Bo jak un dureń, to jego można oszukać, a jak un wipadkiem rozumny, to z nim zupełnie nie można mieć żadnego interesu... Un wtedy ma dziesięć „jutrów“, u niego sto „zapomniałem“, un ma tysiąc „poczekaj serce“...

Wolko mówi, a ja słów jego prawie nie słyszę. Przeszłość moją widzę, matkę moją umierającą w smutnym kraju śniegów widzę, dzieciństwo moje przed oczy mi staje. Ciężki smutek zalewa mi duszę i tak samotnym czuję się na świecie, że tego siwego żydka, który pamięta starą Hudię, rozwożącą w one czasy rozmaite rzeczy i starego Abramka, który twierdził, że myśli mojej matki do czwartego pokolenia przejdą, gotówbym do piersi przycisnąć i smucić się z nimi razem, że czasy przyszły inne, że jest źle, pusto i zimno...

Piekielnie zimno!

*4 marca.*

Powierski przyjechał.

Ruszający się szkielet z twarzą trupa i dwoma palącemi się żużlami zamiast oczu.

Pić przestał, właściwie żyć przestał — dogorywa.

Kazałem mu postawić łóżko w rogu pokoju niedaleko komina. Wsparty na dwóch poduszkach siedzi całemi godzinami przeważnie ubrany, milcząc,

lub kaszle. Wieczorami zwleka się na fotel przed kominem i w ogień patrzy.

Powierski...

Nie, to nie on... To potworne chwile bolów i rozterek jasnowodzkich przyszły za mną.

To cała przeszłość moja jasnowodzka wpełzła w drżące, wyniszczone, suchotnicze formy zelektryzowanego trupa.

Zelektryzowane trupie zwłoki leżą przedemną, a w oczodołach trupich migoce złuda życia — błyskotliwy, gorączkowy blask... próchna.

Milczymy.

Nie pytam go o nic i on też nic mi nie mówi.

Chwilami tylko badawczo w oczy moje patrzy i wtedy widzę dwoje głęboko zapadłych źrenic, które formalnie się palą, a tam gdzieś w głębi trwogę...

. . . . . . . . . . . .

Dzisiaj spotkałem na ulicy partyę aresztantów, brzęczących kajdanami. Był między nimi Borkowski. Czy także w kajdanach, nie wiem. Zdawało mi się tylko, że widzę olbrzymią postać, pełną surowej, dziwnej jakiejś potęgi i siły, którą żelazny łańcuch spętał... A dokoła niej — zbrodnię, nędzę, ból niezasłużony i rozpacz mściwą... A ponad nią zwały chmur smutnych, które od drżącej w chłodzie i mroku ziemi promienne słońce odgrodziły...

. . . . . . . . . . . .

W domu moim Powierski umiera.

W domu moim przygniatający smutek i cisza cmentarna.

Chwilami słyszę kaszel, który zabija płuca Powierskiego.

Chwilami w uszach moich rozlega się sypki dźwięk łańcuchów żelaznych.

*8 marca.*

Długie samotne wieczory i noce bezsenne.

Czasem zdaje mi się, że mózg mój nie wytrzyma, taki nawał myśli formalnie go rozpiera i męczy... do bólu męczy!

Rzeczywistość mnie zabija, zabija mnie widok śmierci, która przez wszystkie szczeliny pokoju coraz bezczelniej wyziera.

Jeszcze tydzień lub dwa i Józef zagadkę rozwiąże.

Będzie wiedział, albo nic nie będzie wiedział.

Kaszle, a potem z dziecinnym smutkiem i dziecinną trwogą w oczy moje się wpija. Jak gdyby pomocy wzywał... Jak gdyby pomocy do walki ze śmiercią żądał.

Rezultat walki widoczny.

Tylko to, co poza tym progiem, poza który go śmierć przerzuci... to jest niewiadome.

Boję się myśleć o pracy, która mnie czeka, bo ta praca przyszłości zależy od śmierci tego biedaka. Przedtem muszę go do ziemi włożyć, wszelki ślad po nim zniszczyć, a potem w drogę...

W drogę na inny cmentarz...

*10 marca.*

Dalszy ciąg.

Wynik coraz pewniejszy i coraz bliższy.

Tylko od kilku dni podniecony jest niesłycha-

nie. Ciągle z łóżka na fotel, z fotelu na łóżko przechodzi. Miejsca sobie znaleźć nie może i piekielnie się męczy dusznością i bólem, który mu piersi torturuje.

Ja przestałem myśleć o wszystkiem z wyjątkiem tego, co mam przed sobą. A przedemną jest śmierć, przedemną jest trup, któremu oczy coraz głębiej zapadają, a twarz coraz bardziej nabiera koloru ziemi. Z bólem i gorączkową ciekawością patrzę na to, jak wygląda koniec i nie mogę pojąć, dlaczego ten koniec taka męczarnia poprzedza.

*11 marca.*

— Umarł?...

— Umiera...

Suche, spalone gorączką usta Nałyńskiego powtarzają, jak echo....

— Umiera...

— Męczy się strasznie... powiadam bezmyślnie.

Płomień przemknął mu po czole. Gorzki uśmiech usta mu skrzywił.

— Mógłbym męczarnie te skrócić. Spojrzałbym tylko na niego — skona... I u mnie śmierć... Dokoła mnie śmierć... Dyfteryt syna mi zabił.

— Jurek?!...

— Umarł... I żona...

— Co?! Pani Julia?...

— Uspokój się pan. Żyje... w Bogu. Tylko przestała być żoną, a stała się sumieniem — karze...

— Nie umiem panu powiedzieć, co się ze mną dzieje. Zdaje mi się, że noszę w sobie piekło. Nic nie rozumiem... Jestem zdaniem mojej żony tak po-

dły, że nie mogę zrozumieć mojej zbrodni... Jestem, zdaniem mojej żony tak nikczemny, że nie potrafię całować rąk, które zasłużone plagi wymierzają mojej zbrodniczej duszy.

— Zadajesz pan sobie pytanie, po co ja tu przyszedłem i dlaczego ja panu to wszystko mówię?... Bo jestem, mój panie, pijany... Wypiłem dziesięć koniaków i chciałbym zobaczyć uformowaną przez siebie, dymiącą się oparami świeżego mięsa jatkę... Chciałbym widzieć, jak Powierski umiera... Chciałbym wiedzieć, jak tamta umierała... Pragnąłbym wyliczyć, ile cnota moją żonę kosztuje i zobaczyć, jak moja córka będzie swego zbrodniczego ojca w przyszłości nienawidzieć.

— Cha! cha! cha!...

— Moja Stacha dziś już swego tatusia boi się, a potem, ponieważ zło, zbrodnię i występek należy nienawidzieć, więc i ona, moje dziecko, powinna wstręt, pogardę i nienawiść względem mnie w sobie wyhodować.

— I wyhoduje...

— Przy pomocy matki wyhoduje.

Zamilkł, a po chwili podniósł głowę i znowu mówił. Mówił ciszej, znacznie spokojniej; głęboka, chwytająca za serce nuta dźwięczała w jego głosie.

— Jeżeli nawet mimowolna zbrodnia wymaga ekspiacyi... Jeżeli męczarnie zbrodniarzy sprawiają radość i dają szczęście ludziom cnotliwym — to powiedz pan Powierskiemu, niech umiera spokojnie. Najnieszczęśliwszy człowiek na świecie nazywa się — Nałyński...

*12 marca.*

W wolnych chwilach, poprzedzających uroczysty pogrzeb Józefa, urządzam, buduję i wykańczam nowy grób...

Pani Julia...

Moja, moja pani Julia!...

Boże mój! Ona!... Nałyńska...

Jak lód zimna zawziętość ściąga jej usta bezkrwiste... Głos przepoił się ironią i fałszem. A jednak ona nie kłamie... A jednak dziś właśnie, dopiero dziś, teraz jest sobą...

Piekielny egoizm z dna jej duszy powstał, rozpętał się i stworzył czarną dziedziczkę cnót inkwizycyi wierzącej...

— Wyjeżdżam... mówi do mnie.

— ?...

— Nie mogę mojej Stasi w ustawicznem kłamstwie kąpać.

— A on... Bolesław?...

— Bolesław złamał wszystko... wszystko, co można było złamać.

Próbuję rzucić myśl o zapomnieniu, aby otrzymać suchą odpowiedź...

— Są rzeczy, których się nie zapomina... Są czyny, których konsekwencye wymagają utrwalenia.

— Nie rozumiem zbrodni...

— Powinien był uciec... Zabrać rodzinę i z Szuwarowa wyjechać... Ale on został i kłamał i dziś kłamie, mówiąc, że powodowała nim litość... kłamie!...

Oczy jej rozgorzały, ironia rozchyliła usta i białe jej zęby jak kły wilcze zabłysły.

— Nie litość, a rozpusta...

— To kłamstwo! — wołam.

— Chęci, myśl, pożądanie — to wystarczy! Tamtą zabił i mnie zabił. Dziecka w fałszu udusić nie dam.

— Więc tu o dziecko idzie?!...

— Panie Ohij!...

— Wybacz pani... Ale Bolesław cierpi... piekielnie cierpi!...

Znowu w oczach miała chłodną zawziętość.

— I ja cierpię...

— Zostaw mu pani dziecko...

Zaśmiała się, a w głosie jej brzmiała ironia i złość szatańska.

— Och!... ja wiem, że on tego tylko pragnie...

— Pomyśl pani, ile ten człowiek cierpi...

— I ja cierpię!...

...Tak.

...I ona cierpi!...

A ja tę kobietę kochać mogłem!...

Boże!..

*13 marca.*

Zasypują mnie listami. Żądają, abym co najrychlej przyjeżdżał, ja, wolny człowiek, który samoofiarę czyniąc, niczyjej duszy nie zranię.

— A własną...

To kwestya osobista.

Oni nawet się dziwią. Pytają — czemu nie przyjeżdżasz?... co u licha ciebie zatrzymywać może.

Mnie?...

Nic...

Noszę w sobie świeżą mogiłę, a na mogile ciężar kamienny.

Stanął tam sarkofag smutny, zdobny zwaliskami złamanego krzyża, z napisem: — Bez zmartwychwstania.

Pochowam jeno Powierskiego i pójdę...

Pójdę z nikczemnym żalem w duszy... z podłą łzą w sercu...

Tak ogromnie smutny...

Tak nieskończenie samotny...

„Dzisiaj w nocy śmierć w mojej nocowała chacie...

„Trup siny leży na dnie mojej chłodnej studni“...*)

*14 marca.*

Dzisiaj w czasie mojej nieobecności służba złapała Józefa na korytarzu zajazdu. Stał obok dziewczyny, która z jednego z numerów wyszła i całował ją w głowę i po rękach.

— Un, proszę panicza, płakał i po rękach taką paskudną z przeproszeniem dziewczynę całował! oburza się Wolko.

A Powierski po moim przyjściu siedzi chwilę skurczony na łóżku, a potem mówi...

— Za Grabowiczów ją przepraszałem... Podłe plemię!... Dla ocalenia tak zwanej cnoty rodzinnej w pewnych wypadkach zadowolenie potrzeb fizycznych za pieniądze — uwzględnia się... Che! che!... to słuszne. A potem ten sam Grabowicz nad ofiarami nierządu płacze... Podły!... Całą treść życia do góry nogami wywrócili, a potem płaczą... Szpital Łazarza i zakład Magdalenek pod wspólnym płaszczem spo-

*) Staff.

łecznego „aprobatur“ spoczywa, a jeżeli gdzie prawdziwa miłość wbrew ślubom wykwitnie, płaszcz się kurczy i z pod onej świątobliwej płachty ślina leci... Podli...

. . . . . . . . . . . .

Przed wieczorem spotkałem olbrzymi kondukt pogrzebowy.

Żyd Oderberg umarł.

Doktor Oderberg, który w wolnych chwilach nad wyższą matematyką pracował i klasyków łacińskich w oryginale czytywał.

Całą ulicę wypełnia tłum obdartych nędzarzy o charakterystycznych twarzach mieszkańców starożytnego Ghetto...

Wśród nich Jasielski.

Zatrzymał mnie i pociągnął na kirkut.

— Miał niesłychanie głupie serce ten doktor — mówi Jasielski — pękło... Uważa pan?... W literalnem tego słowa znaczeniu... pękło... Zakrawa to na bajkę, a jednak ten człowiek czuł za miliony i ból milionów go zabił... Takie serca bywają czasem, naturalnie muszą przedwcześnie pękać, a na miejsce wiecznego spoczynku odprowadza ich niekiedy tłum łachmaniarzy bez jutra.

— I ja z panem — dodał z uśmiechem.

— Zewnętrznie był to przeciętny filantrop, leczył darmo, doradzał, pomagał, praktycznie nie umiał wznieść się ponad szablon, brakło mu zmysłu, który życie w nowe formy przyodziewa.,. Umiał tylko cierpieć... Wielki ból nosił w sobie i ten ból wyrzeźbił mu duszę na miarę niezwykłą. Genialne serce... Niesłychana wrażliwość na łzy bratnie... Całe życie tego człowieka składało się z olbrzymich czynów we-

wnętrznych, a największy z nich to śmierć... Mord żydów w K. go zabił... Tak wysubtelnił wrażliwość własnego serca, że potrafił z bolu cudzego umrzeć...

Wracamy z pogrzebu, milcząc. Na pożegnanie Jasielski mocno mi rękę ściska i mówi:

— Kiedy pan staniesz do roboty, nie zapominaj o Oderbergu... Kiedy nienawiść za gardło cię zdusi, pamiętaj pan o jego samotnym grobie na żydowskim kirkucie w Onpolu...

*17 marca.*

W pokoju naszym zrąbane w lesie świerki stoją i pachną. Na kominie wesoły ogień bucha, rozpięte na dwóch świerkach mokre prześcieradło zwilgatnia powietrze. Oddychać lżej...

Zmian dokonał Jasielski.

On świerkami pokój nam ubrał i Nałyńskiego sprowadził.

Podali sobie ręce — Powierski i Bolesław.

Powierskiemu lekko twarz drgnęła, Nałyński był bardzo blady. Uścisnąwszy dłoń chorego, troskliwie kołdrę na jego łóżku poprawił, zsunął roletę w oknie, skąd zbyt obficie słońce padało, podniósł drugą i cicho obok łóżka usiadł. Powierski uśmiechnął się łagodnie, spojrzeli sobie w oczy i jeszcze uścisnęli wzajemnie dłonie.

Jak gdyby do bezdennie głębokiej, rozpaczliwie ciemnej rozpadliny skalnej wesoły promień się zabłąkał.

Pogodził ich ból.

Powierski na chwilę zapomniał o śmierci, Nałyński zapomniał o tem, że żyć musi.

Milczą i myślą o niej...

Wieczory spędzamy we czworo.

Przy tajemniczym, drgającym blasku płonącego na kominie ogniska, Jasielski łagodnym swoim głosem przeszłość porusza, o dawnych czasach, o wspólnie spędzonych młodocianych latach mówi.

Stare, stare wspomnienia. Drogie, zmarłe postacie... Drogie, dawno przebrzmiałe myśli, uczucia, wrażenia...

Dawne nastroje wracają wśród ciszy, wypełnionej łagodną muzyką głosu Jasielskiego.

*20 marca.*

Ciche dni trwają.

Powierski o cieple majowem marzy.

Wiosna... łagodny szelest młodego listowia... dziewicza zieleń nadrzecznych łęgów... świeże zapachy kwiatów i ziemi... subtelny przepych nieba... szmery, poszumy, westchnienia...

Wiosna ma przyjść...

Słońce jęk nocy marcowych zabije i śmierć zabije.

Życie wróci...

. . . . . . . . . . .

Wieczory spędzamy wciąż razem.

Wśród ciszy...

Słuchając opowieści Jasielskiego

I marząc...

Rzeczywistość z pod nóg mi się wymknęła, od kilku dni żyję jak zaczadzony, wyczekując wieczorów i gawęd naszych, i wspomnień.

Za oknami marcowy huragan szydzi z nas, urąga nam, wściekle rwąc okiennice, wzywa tam w ciemność rozpaczną, gdzie skowyt jęków, płaczów i bólu rozpętał się w chłodzie i mroku wichrem z piekła granego.

A w pokoju cisza...

Tylko na kominie kłody sosnowe syczą...

I Jasielski mówi...

— Czy pamiętacie?...

Zaranie rozkwitu dusz naszych... Promienne chwile narodzin niepokalanie białych myśli i uczuć. ...Młodość... Siła... Upragnienie ofiar i poświęceń...

Tak...

Kolosy wiary!... Olbrzymy nadziei!...

— Czy pamiętacie?...

Pamiętamy...

...Pamiętamy gorące chwile ofiarnych pragnień, olbrzymich spodziewań się i niepodzielnej wiary, że one spodziewania się ciałem się staną.

— To było... — szepcze Powierski.

— Było... — powtarza Bolesław.

— To jest, to trwać musi! — zrywa się Jasielski.

I mówi...

Bezspornie potężne, palące słowa.

Oczy Powierskiego zaczynają się jarzyć, pierś wolniej oddycha.

Zapomniał o śmierci i wierzy...

W życie wierzy...

Ostatniemi drganiami zamierającego serca śmierci urąga...

Wśród śmiertelnych jęków nocy marcowej, słonecznych hymnów czeka.

Złuda nocy skona...
I słońce będzie...
Kiedyś... Wiosną...

. . . . . . . . . . . .

— Czy pamiętacie?...
— ...Pamiętamy.
— ...Pamiętam mały ubogi pokoik redakcyi „Ruchu“... Czwartek... Sesya redakcyjna... Są wszyscy — redaktor Wierusz, Janek Pacławski, Mleczko, Brzozowski, Zahorski i inni, a pośród nich ja, laik po raz pierwszy dopuszczony do tego grona, któremu Janek przewodzi, które Wierusz kryształową swoją duszą uświęca, potężnym swoim mózgiem krzepi.

...Pamiętam.

Zahorski mówił ogromnie mądrze, potem Brzoza ogromnie gorąco.

Potem Wierusz...

Duszę moją porwał, serce moje w ręku swoim trzymał i cuda z nim czynił. Przekształcał go, urabiał, miłością poił, wzmacniał, upotężniał... Lata przeszły, a serce to samo zostało. Zgnilizna życia krew zaraziła, a serca zohydzić nie mogła... Na samem dnie duszy wciąż leżą te pierwsze Wieruszowe iskry.

...Pamiętam.

Wcisnąłem się w ciemny kąt kanapy i bałem się, aby mnie nie dojrzano... Łokcie oparłem na kolanach, twarz schowałem w dłoniach i straciłem na chwilę świadomość miejsca i czasu... Zdawało mi się, że jestem w kościele, w którym ongi modliłem się z ojcem moim, będąc dzieckiem... Letni wieczór... Nieszpory... Przez okrągły zamknięty szkłem niebieskiem otwór ponad krzyżem głównego ołtarza ostatnie

promienie słońca mieszają się z żółtym blaskiem świec, z dymem kadzideł, z westchnieniami piersi ludzkich.

Nawę kościelną wypełniają szare kapoty i nędzne ubrania ludzi bardzo ubogich, nad ławkami i nad kamienną podłogą chylą się blade, wynędzniałe, zbruździone grubemi zmarszczkami twarze, miejscami wznoszą się do stojącej na ołtarzu monstrancyi złocistej przepojone ciężkim znojem, bólem i straszliwem umęczeniem ręce...

Chwila ciszy... Dzwonki zagrały, dym kadzideł zgęstniał, wśród dymu zabłysła wzniesiona w górę monstrancya złota... A potem niby westchnienie mrokiem dławione... A potem pieśń... Wśród dźwięków organu z setek piersi zerwała się i biegła ku niebieskiemu otworowi, w którym słońce gasło, śpiewna, przepojona cichym jękiem i lamentem serdecznym prośba.

... P o d T w o j ą o b r o n ę...

...I pieśń rosła, rozsnuwały się pajęcze zwoje dymu kadzideł, cały ołtarz stał w ogniach, z mrocznej nawy ku światłu, w którem krzyż błyszczał, wznosiły się przepojone ciężkim znojem i straszliwem umęczeniem ręce nędzarzy...

...O r ę d o w n i c z k o n a s z a,

...P o c i e s z y c i e l k o n a s z a,

... Coraz donośniej łkał tłum, a dreszcz śmiertelny wstrząsnął dźwiękami pieśni z mroków płynącej, a łzy gorące paliły lodowe ciało płyt kamiennych.

...Pieśń rosła i mrok gęstniał... Coraz bardziej wydłużała się szyja świątyni, wypełniana czarnemi widmami rąk śmiertelnie znużonych... Coraz dalej, coraz głębiej błyszczały ognie ołtarza, nad którym

słońce już zgasło... Daleko... daleko stał krzyż nieruchomy i milczący...

— Czy pamiętacie?..

...O tak!..

...Pamiętam łzy, które miałem w oczach.

...Te łzy czuję teraz w sercu.

...To zostało, to trwać musi!... Musi w czyn urosnąć i z bólem własnego istnienia umęczone tęsknotą serce pogodzić.

*23 marca.*

Przeglądam moje notatki. Chciałbym systematycznie spowiedź moją zapisać i nie mogę.

Krew szalonem tempem bije...

Myśli wichrzą się...

A jednak pewniejszy jestem siebie.

Przeszłość przemówiła i krzepi.

Każdy musi mieć swoją świątynię, z której siły czerpie. Moja stoi daleko, lecz promienieje potężnie

Groby...

Mam poza sobą kilka grobów, przed którymi głowę chylę i wstydem płonę... A najwyższy z nich stoi samotny i nieznany... Słońce całą potęgą swą nań spływa, ziemia wieńce zielone mu wije, nocami ból ludzki skarży się nad nim i płacze...

Cicha, potężna mogiła...

*24 marca.*

Miał krwiotok.

Teraz cicho leży i chrypliwie oddycha, a ja siedzę obok niego i zlekka trzymam dłoń na jego czole, które się pali.

Godzina siódma popołudniu. Za oknami rzęsisty deszcz pada.

— Po co to Olku?... dlaczego Olku to wszystko było?!.. — pyta urywanym półszeptem.

Zadrżał i odsunął się do ściany.

— Umarła... — wyszeptał cicho. — Przyszła dla niej taka chwila, kiedy cała jej istota przeciw życiu bunt podniosła. Pożądanie śmierci przyszło... Nienawiść piekielna do ciała żądnego czynu, jak piorun w nią uderzyła i zgniotła...

Obłęd, zapamiętanie się... A może ze szczytów świadomości, z poza tego rąbka, który tak jasno niektórym duszom świeci, maleńka iskierka do mózgu jej wpadła... Może właśnie ta mała iskierka ku śmierci ją zawezwała.... A potem trzy dni męczarni... A potem noc ostatnia...

— Boże!... ja całe życie moje na służbę tej duszy biednej oddałem... Ja dla siebie zostawiłem piekielną rozkosz wiecznie trwającego głodu... piekielną rozkosz tortur wyobraźni... piekielną rozkosz niewypowiedzianych męczarni, które dla mnie szczęściem były...

— I przyszedł koniec...

— Wołała — powietrza! A ja nie miałem siły w ramionach ją moich utrzymać... Wołała — powietrza! A ja nikczemnie słaby razem z nią na poduszki spadłem...

Zatrzymał się, twarz mu się boleśnie skrzywiła.

— Wtedy przyszła śmierć...

Zadrżał całem ciałem.

— Śmierć...

— Dwa straszne drgnięcia, ruch jakiś wężowy,

który ciało jej skręcił i cisza... Na piersi mojej ostatni raz biedne jej serce uderzylo i zastygło.

Przycichł.

I znowu szeptał.

— Zabili ją... A winnych niema... niema! Taka wina, taka zbrodnia to konwencyonalny fałsz, Olku... Bo wina jest, ale winnych niema; zbrodnia jest, ale są tylko pomordowane ofiary, a zbrodniarze nie istnieją... Można ich nienawidzieć, kiedy opar krwi zranionego serca mózg unieprzytomni, ale karać, na zimno zemsty nad nimi czynić nie wolno... To nie kara, a piekielny jad zaschłego w egoizmie serca.

— Na dwa dni przed śmiercią zastałem ją raz przy oknie... siedząc na fotelu, trzymała na kolanach fotografię Bolesława i patrzyła na skrawek błękitu, wiszącego nad dachem sąsiedniej kamienicy... Zrozumiałem... Własne serce miażdżąc, przebaczała. A potem umarła...

Po wynędzniałej, czarnej jak ziemia jego twarzy dwie łzy biegły.

— Idziesz, Olek — szeptał — własne swoje „ja“ zabijać, duszę własną łamać, krew z serca własnego toczyć... Ja ciebie, Olek, odczuwam...

— I rozlejesz tę krew rodzoną, jako mierzwę na niwie, która dla ciebie będzie grobem, a dla tych innych, nieznanych ci, obcych, ma być polem, złote kłosy rodzącem. Ja was rozumiem, ja to odczuwam...

— Olek! — pytał po chwili drżącym, zaledwie dosłyszalnym szeptem. — ...Czy ty, czy oni mają siłę uczynić to, aby t a k i ból serc ludzkich nie łamał, aby t a k i c h śmierci nie było?!...

— Olek!...

Widzę olbrzymie zbolałe oczy Powierskiej, wi-

dzę tę jakąś zadeptaną w błoto Junkę i śmiertelnie smutną twarz Nałyńskiego...

— Powiedz Olku!... — pyta Powierski.

A ja nie wiem.

Nie wiem i pójdę czynić to, co w chwili zgonu będzie nosiło dla mnie bolesną nazwę — „było"...

*25 marca.*

Na dworze noc, płonący ogień migotliwie pokój rozświeca.

Okryty mokrem prześcieradłem świerk, jak blade widmo stoi, a dokoła ruchliwe cienie błądzą.

— Chodź tu Olku!... — słyszę z kąta wołanie Powierskiego. — Ja się nie boję, ale samotności, widzisz, nie chcę. Rozumiesz — samotności... Ja i — nikt!... Ja i — nic!...

— Zapalę światło.

— Nie trzeba. Chodź tu ostatni człowieku, którego mogę jeszcze oglądać...

Drży. Czoło ma zlane potem.

— Więc tak, Olku, wygląda zbliżający się koniec... Biorę nogi moje i czuję w nich śmierć... dotykam ramion moich szkieletowych i czuję w nich śmierć.... A jednak tkwi we mnie jakiś mózg inny, nie czaszki, mózg duszy, dla którego koniec jest niezrozumiały i niemożebny... który z tych dwóch mózgów kłamie?... który Olku?!...

Kościstemi swemi rękami schwycił mnie za ramię i gorączkowo błyszczącym wzrokiem wpił się w twarz moją.

Potem zaśmiał się nagle.

— Seneka, podobno, nie bał się śmierci. Twierdził, że miliardy lat przed urodzeniem nie wiedział

nię o życiu i nie cierpiał; że miliardy lat po śmierci również nie będzie wiedział nic o życiu i również będzie mu dobrze... Che! che! Jak takie frazesy układać łatwo...

— A w rzeczywistości...

— Czy ty możesz zrozumieć to Olku, że dla mnie w tym pokoju — wszystko... Cały mój świat tu między bielonemi ścianami się skupił... Wyjdę stąd w czterech mocno zbitych deskach i pójdę do ziemi... Przecież tak?... Przecież inaczej być nie może ...I to niedługo... może dziś jeszcze, zanim słońce zabłyśnie... Wy jutro będziecie mieć słońce, a ja mam tylko ten płomień na żydowskim kominie...

— Jutro...

Zadrżał całem ciałem.

— I ja miałem kiedyś „jutro". A potem ona umarła... A potem...

Powtórnie zadrżał i skulił się w końcu łóżka na samym wierzchołku poduszek.

— Jak ja jasno widzę tę drogę, która musiała mnie przywieść przed ten żydowski komin, na którym po raz ostatni już może oglądam ogień płonący...

— I nie przeklinam... — wyszeptał cicho.

— Nie chciałbym innego życia, jak to, które miałem. Zabierz mi pewność piekła, które w duszy nosiłem, a ja na życie splunę i nicość wybiorę. Ze strachu zęby w ustach połamię a splunę...

— Bo ty Olku tego nie możesz jeszcze zrozumieć... Dopiero, jak i dla ciebie przyjdzie taka ostatnia godzina, wtedy dopiero zrozumiesz i powiesz sobie — na marne!... Ja parłem w jedną stronę, ty łamiesz siebie i gwałt nad samym sobą czyniąc, cią-

gniesz w stronę przeciwną, a tylko, on, Gutek wszystko to rozumiał.

— W głosie tego człowieka świtały boskie promyki zbawczej syntezy i przyszła śmierć... Światło zgasiła głupia kula Borkowskiego...

— Che! che!...

— Ile to takich boskich promyków głupie kule w nicość zmieniły... Grabowiczowskie szpitale dla Patagończyków i samotne mogiły dla Łosieskich... W porządku... naturalnie w porządku!...

Uśmiechnął się złośliwie.

— A wśród rozpasanych harców ciemnoty, fałszu i obłudy, czasem szczery samobójca się znajdzie... A na imię mu Ohij... Jeżeli wypadkiem umrzesz Olku z jakiej porządnej choroby, to nic nie znaczy... Na twoim grobie napewno taki kwiat wyrośnie, który w ciche noce smutnem światłem błyszczeć będzie... I na poświęconych cmentarzach zdarzają się mogiłki nieznanych ortodoksyjnej policyi samobójców.

Zamilkł i ucichł.

— Gutek!... Gutek... — szeptał znowu. — Taki człowiek powinien był naturalnie ożenić się, zapalić porządne domowe ognisko... powinien był fabrykę zbudować, dziesięć fabryk... urządzić jakiś nadzwyczajny folwark, dziesięć, sto folwarków... kapitał zebrać... dzieci porządnie poedukować... Powinien był... A on tego nie zrobił... I głupio umarł, do śmierci został sobą... Gutek...

— Che! che!...

— Głupi Łosieski... marny Łosieski... spróchniały Łosieski!...

— Che! che!...

— Berent pisze — „Próchno!“ i pisząc

czapkę z głowy zdejmuje, a pióro musiał trzymać jak kapłan ciało Pańskie w blasku ogni ołtarza, wśród westchnień tysięcy serc zbolałych, schylonych kornie przed świętem wcieleniem Najwyższego Bólu...

— Próchno...

— Z próchna życia nie skrzeszesz. ...Chyba mierzwą być mają... Przedtem cmentarze a potem na tej ziemi mogilnej życie wykwitnie z ich krwi, z ich bólów, tęsknot i myśli niebosiężnych, zakopanych głęboko, przywalonych złomami kamieni, splugawionych śliną i szyderstwem opatentowanych mędrców i gawiedzi.

— Czy ty myślisz Olku, że po Łosieskim nic nie zostało?... A ty?... Czy ty byłbyś tu, czy mógłbyś pójść tam, dokąd dążysz, gdyby konający Gutek krwią swoją duszy ci nie obryzgał... Obryzgane krwią jego serce spokoju ci nie daje... Coś się w duszy twojej zapadło, a w głębinach tych przepaści palące iskry tleją... To krew... To krew Gutka ciebie pali... to konieczność głupiej tej jego śmierci ciebie przeraża i pcha na złamanie karku.

— Nietylko chlebem... nietylko chlebem Olku!... Przeraziła cię śmiertelna walka ducha i brzuchów ludzkich... zrozumiałeś nędzny fałsz Grabowiczowskich szpitali... olbrzymia tęsknota duszę ci zatopiła, tworząc żądzę pełniejszego czynu... I pójdziesz...

Zamilkł, tylko oddech chrypliwie grał w piersi.

Zwlekłem się na własne łóżko i wdusiwszy głowę do poduszki rozpętane myśli udusić chciałem.

Napróżno.

Piję truciznę, którą z ust prawie trupich czerpię i którą widok śmierci w mózgu moim wytwarza.

W głowie mam jakiś taniec piekielny, chaos, w którym busola zginęła, zimne tępe zwątpienie wyrosło i strach...

Wszystko kołem poszło.

Chwila zapomnienia, a potem budzi mnie szelest. Z trudnością otwieram oczy i widzę, że Powierski przy kominie stoi. Jedną ręką wsparł się o wystający gzems, w drugiej trzyma jakiś zwitek papieru i w ogień patrzy.

— Co ty robisz, Józefie?

Zatrzymał mnie ruchem ręki.

— Nic, Olku... Ostatni czyn... Widzisz — mówił powoli chrypliwym półszeptem — Gutek zostawił jedną jedyną pracę całkowitą w moim ręku... Majaczenie genialnego, jak wy nazywacie, waryata... słowo, w którem cały się wypowiedział... wiązankę proroczych myśli, z których piekielny blask tryska. Che! che... to niebezpieczne... Miliony naszych szpitalnych patagończyków djabelnie słaby wzrok mają... Więc ostatni mój czyn dobro patagońskie ma na celu... Ochraniam od zapalenia miliardy wątłych oczu... miliardy oczu, wiesz takich... z chroniczną na krańcach powiek czerwoną obwódką...

Rzucił zwitek do komina, mówiąc...

— Ogień do ognia, a dla nich popioły...

Chwilę stał zapatrzony w jaskrawe płomienie gorejącego zwitka, a potem ciężko na fotelu usiadł.

Zapanowało głuche milczenie. Tylko kłody sosnowe syczały na kominie, a płomień to się podnosił, to przygasał i pokój wypełnił się tłumem cieni ruchliwych.

Czułem jakiś bezwład, który mnie do łóżka przygważdżał i z natężeniem wsłuchiwałem się w mu-

zykę komina i w bajeczną ciszę, wśród której błądziły cienie...

Nagle...

— Zmów Muniu pacierz... — dobiega mnie z sąsiedniego numeru głos basowy i szorstki. — Tylko nie tak, huncwocie!.. klękaj porządnie i powtarzaj za papą.

— Ojcze Nasz... — mówi papo.

— Ojcze Nasz... — powtarza Munio.

— Któryś-jest... — mówi papo.

— W Niebiesiech... — wyprzedza Munio.

— Nie wyprzedzaj huncwocie, a powtarzaj za papą!...

— Któryś jest... mówi papo.

— Któryś jest... — powtarza Munio.

— W Niebiesiech... — mówi papo.

— Święć się Imię Twoje... — wyprzedza Munio.

— Ach, ty taki niegrzeczny! — spostrzega się ojciec.

Po pokoju wciąż cienie błądzą. Ciało Powierskiego w czasie modlitwy dziecka jak gdyby usunęło się w fotelu i głowa na piersi opadła.

W sąsiednim numerze po skończonym pacierzu przyjezdny jegomość rozbiera się i rozmawia z furmanem Chwed'kiem.

— Cóż Chwed'ku, dojechaliśmy...

— A pewno, co dojechali...

— Ja myślałem, że już nie dojedziemy... Szczególnie koło Rudej karczmy kiepsko było... Bestya baron drzewem het drogę zepsuł... A ty jakeś myślał?...

— Co tu gadać... I ja myślał, co nie dojedziemy.

— Ot, widzisz, a dojechaliśmy.

— Dojechali — potwierdza Chwed'ko. — Nawiżena pomogła.

— Dobry to koń, ta Nawiżena.

— Pewno, co nie ladaszczy.

— Pilnuj no Chwed'ku, żeby nie pokradli. A rano pójdziesz do ojca Sebastyana... rozumiesz?...

— Co nie mam rozumieć?!

— Powiesz ojcu Sebastyanowi, że pan Hadkowski się kłania i pani Hadkowska także się kłania, ale nie przyjechała... Rozumiesz?... Powiesz, że pani Hadkowska nie przyjechała, ale kłania się i jaj trzy kopy taj masła faskę przysyła... Rozumiesz?...

— O... wa!...

— A pocałuj go durniu w rękę...

— Ja tam z księdzami potrafię... — chwali się Chwed'ko.

Cały w słuch się zmieniłem.

Usiłuję zapomnieć o tem, co mnie otacza i tam za progiem tego dojazdu czeka... Życie... szare, codzienne życie Hadkowskich, życie pracy bezmyślnej, zabiegów drobnych i banalnych chciałbym czuć dokoła... Chciałbym dźwiękami jego własne myśli zagłuszyć, zbolały i zwichrzony mózg mój spętać i uśpić...

Napróżno.

Wszystko znów kołem poszło... djabelski taniec myśli znowu głowę rozsadza.

W spokojnem gnieździe Hadkowskich widzę potworną obecność opętanej szałem pani Maryi... mały Munio z zeszytu Łosieskiego liter się uczy i ślepnie.. Nawiżena w szalonym pędzie na jakiś

dziki, pusty cmentarz trumnę Powierskiego wlecze... jakiś niesłychany ogień wybucha, a potem piekielna ciemność ogień gasi i słychać jęk żałośny takich bolów i takich konań...

Siadam na łóżku i słucham...

Iskierki życia z otaczającej mnie ciszy wyłowić się staram...

Milczenie...

Tylko Hadkowski czas jakiś stęka i sapie...

— Uf!.. twardo... syny sobacze! Boże miłosierny, zlituj się nad grzeszną duszą moją... Djabeł, a nie poduszka!... Boże bądź miłościw... A to śmierdzi!... Fu!... strasznie śmierdzi... bestye żydy wszędzie swoją odekolonię podpuszczają... Ach! cha! cha!... Muniek... Muniek!... Znowu na wznak huncwocie!... A mówił tobie papo, że to niezdrowo... Smykaj na bok i śpij... Cha! cha! cha!... Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... Boże ratuj...

I znowu milczenie...

Cisza...

Martwa, głucha cisza nocy głębokiej...

Zdaje mi się, że ciało Powierskiego jeszcze głębiej opuściło się na fotelu. Okryła go czerwień przygasających na kominie węgli...

*28 marca.*

Nikogo już niema.

Odeszli...

Wicher tylko został, szum drzew bezlistnych, górzysty cmentarz porastających, cichy szmer deszczu i rwane wichrem chmury na niebie.

Został i smutek do omszałych grobów przyrosły.

I świeże z łez jeszcze nie obeschłe mogiły...

I drzewce krzyży zmurszałych nad starym dawno przebrzmiałym bólem pochylone...

Wicher, szary smutek i krzyże...

A w górze zwichrzone chmury nad skrawkiem mogilnej ziemi płaczące...

. . . . . . . . . . .

Już odeszli.

Już sam zostałem.

Wolny...

. . . . . . . . . . .

Tam na szczycie cmentarnego wzgórza stoi kaplica mocną blachą okryta blada, zamknięta, zimna...

Spadzistą drożyną kilka zgarbionych postaci ludzkich ku bramie cmentarnej się wlecze. W ręku trzymają chorągwie czarne, które deszcz smaga i wicher rwie.

Dławiący smutek pustkowia wyrasta...

Zmrok idzie...

Dzwonek przy bramie o pacierz za dusze tego cmentarzyska prosi.

. . . . . . . . . . .

Już sam zostałem.

Z grupy czterech brzóz smutnych wyrasta przedemną krzyż czarny z żelaza lany. Krzyż głową ponad brzozy wybiegł i w chmurny bezmiar patrzy, a u stóp jego olbrzymia tafla granitu mogiłę Gutka i Powierskiego zamyka.

Wicher rozpętał się i huczy.

Pod złomem granitu cisza.

I we mnie gdzieś na dnie duszy burza się zrywa i sercem miota... I we mnie jest szmer żałosny drzew bezlistnych na cmentarzu żyjących... I smutek nieruchomych tafli mogilnych... I szary mrok chmur rozpłakanych... I głuchy ból zdrożonego pielgrzyma przed murami kaplicy zamkniętej i zimnej.

Mam to w sobie...

W poszumie wichru słyszę harce tłuszczy piekielnej, która ziemię męczy, słyszę znane mi jęki i płacze, a potem sypki dźwięk łańcucha, a potem śmiech szyderczy i wołania naigrawcze...

...Chyba sam nad sobą płakać będziesz...

Tak...

Chyba sam nad sobą...

Po drodze krzyk miłości osieroconej kroków moich nie wstrzyma.

Nikt nie zawoła i nikt nie przeszkodzi...

Nikt...

Tylko schody załamać się mogą, lochy ciemnością padające ciało otoczą i serce bólem rozjęknie i jęk ten ostatni bez echa skona... A potem nic... cisza, jak pod tym złomem granitu...

Najpodlejszy z bolów piersi moje rozsadza i z rumieńcem poczucia hańby walczy... Ohydny potwór zwątpienia serce moje szarpie... Młodość o życie błaga... Ciało strachem bolu się kurczy...

Precz!...

I tęsknota...

Precz!...

Drżę cały i kajam się...

„ . . . pobladłemi usty, którym tchu nie starczy,
„Wyznaję winy swoje i posłuch niedowiarczy
„Podszeptom wielkich czynów dawała ma ręka.
„ . . . . . . . . . . . . . . .
„ . . . . . . . . . . Złamana poręka
„Przysiąg moich na wierność myślom niebosiężnym...*)

Całą potęgą, całą mocą duszy mojej z ohydnym potworem walczę.

Precz!...

I kajam się!... kajam się...

. . . . . . . . . . . .

Wicher rozpętał się i huczy...

Niesie mi pozdrowienie z mogił po cmentarzu rozwianych... niesie mi pozdrowienie z innych cmentarzy dalekich i mogił samotnych.

Taki wicher żałobny i jak lód zimny... Wicher od mogiły matki mojej, od ofiarnej mogiły wśród śniegów dalekiej północy zakopanej.

A dzwonek przy bramie wciąż o pacierz za dusze tego wzgórza grobów prosi.

I milknie...

Poszum wichru go zabił i sam na cmentarzu został.

Szalonym wirem pochwycone wiotkie gałęzie brzóz czarne ciało krzyża oplątały, a szary, przemokły, smutny wierzchołek grobu Powierskiego i Gutka do stóp krzyżowych się ciśnie.

Chwila ciszy i znowu gwałtowny szum wichru, w którym ból jakiś wyje. Drzewa korony swe ku ziemi chylą, tylko czarne ciało krzyża z Gutkowego

---

*) Staff.

grobu wyrasta i w krainę słońca zakrytego zwałem chmur szarych strzela... A z ramion krzyżowych zdaje mi się, że wysuwa się ręka bardzo blada i bardzo znękana i wskazuje dal mroczną, gdzie pod wściekłem uderzeniem huraganu chmury pękły i złota purpurą bramowana taśma błyszczy.

. . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . .

Idę już!... Idę...

Żytomierz, grudzień 1902 r.

KONIEC.

| | Kor. | Rb. |
|---|---|---|
| **Karłowicz J.** O człowieku pierwotnym | 2·— | —·80 |
| **Kasprowicz J.** Arcydzieła europejskiej poezyi dramatycznej, 2 tomy każdy tom po | 8·— | 3·50 |
| — Ajschylos. Dzieła | 6·— | 2·60 |
| — Baśń nocy świętojańskiej | 1·— | —·50 |
| — Ballada o słoneczniku | 3·60 | 1·50 |
| — Chwile. Poezye | 3·60 | 1·45 |
| — Dzieła poetyckie, wydanie zbiorowe, 6 tomów | 30·— | 14·— |
| — Krzak dzikiej róży, wydanie II | 3·60 | 1·45 |
| — Poezye, wydanie rowe | 3·— | 1·20 |
| — **D'Annunzio.** Franczeska z Rimini | 5·60 | 2·80 |
| **Maeterlinck.** Siostra Beatryks | 2·— | —·80 |
| — **Browning-Yeats.** Próby angielskiej poezyi dramatycznej | 3·60 | 1·50 |
| — **Swineburne.** Atalanta w Kalydonie | 3·60 | 1·50 |
| — **Shelley.** Rodzina Cencich | 3·60 | 1·50 |
| — — Oedipus Tyrannus czyli Opuchłołydziec Król | 1·50 | —·60 |
| — **Marlowe.** Tragiczne dzieje doktora Fausta | 3·60 | 1·50 |
| **Kisielewski J. A.** O teatrze japońskim | 1·50 | — 50 |
| — Sonata. Dramat | 3·— | 1·— |
| — Ostatnie spotkanie. Komedya | 3·60 | 1·50 |
| — Karykatury. Komedya | 3·60 | 1·50 |
| — Panmusaion. Szkice literackie | 3·20 | 1·35 |
| — Życie dramatu. Szkice literackie | 4·60 | 1·80 |
| **Kleiner Dr. J.** Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli, 2 t. | 10·— | 4·50 |
| — Studya o Słowackim | 3·— | 1·20 |
| **Kłośnik Z.** Japonia | 3·— | 1·30 |
| **Korzon T.** Zamknięcie dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta | —·80 | —·35 |
| **Koskowski B.** Gmina wiejska | —·80 | —·50 |
| **Kozicki Wład.** Wolne duchy. Dramat karnawałowy | 3·— | 1·30 |
| — W gaju Akademosa | 5·50 | 2·40 |
| **Kubisz J.** Z niwy śląskiej | 3·— | 1·20 |
| **Kulikowska M.** Król Bolesław Chrobry. Dramat | 2·— | —·80 |
| **Lemański J.** Colloquia albo rozmowy | 1·80 | —·90 |
| **Łada J.** Sweet Boy. Nowele | 3·— | 1·50 |
| **Macoszek A.** Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim | 2·— | 1·— |
| **Majerski St.** Mapa fizyczna ziem polskich, wyd. III | 1·80 | —·90 |
| **Makuszyński K.** W kalejdoskopie. Wyd. III | 5·— | 2·— |
| — Dusze z papieru. 2 tomy | 6·— | 2·60 |
| **Marcinowska Jadwiga (Pereswit).** Bajka | 2·— | —·80 |
| **Miłkowski Z.** Sprawa ruska | 1·20 | —·50 |
| — Skarb narodowy Polski | 2·50 | 1·— |
| **N. N.** Potęga wojenna Rosyi | 3·— | 1·50 |
| **Niedźwiedzki Z.** Oczy. Nowele | 3·20 | 1·50 |
| **Niesiołowski T.** Sny i widzenia. Nowele | 1·70 | —·70 |
| **Nowaczyński A. N.** Studya i szkice | 4·— | 2·— |
| **Nowiński J.** Życie i marzenie. Powieść | 5·60 | 2·30 |

| | Kor. | Rb. |
|---|---|---|
| **Orkan Wł.** W roztokach. Powieść 2 tomy. Wyd. II | 5·— | 2·— |
| — Komornicy. Powieść. Wyd. II . . . . . . . | 2·60 | 1·10 |
| — Franek Rakoczy. Epilog . . . . . . . . . . | 2·— | —·80 |
| — Miłość pasterska. Nowele . . . . . . . . . | 2·40 | 1·— |
| **Paderewski Ignacy.** O Szopenie (Przemówienie na obchodzie szopenowskim we Lwowie) . . . | 1·— | —·50 |
| **Paszkowski E.** Jasne wody. Powieść . . . . . . . | 3·— | 1·30 |
| **Pieśni Ossjana,** przekład Goszczyńskiego . . . . . | 3·— | 1·20 |
| **Pietrzycki J.** Refleksy światła . . . . . . . . . . | 1·— | —·40 |
| **Plutyński A.** Walka na G. Śląsku . . . . . . . . | 1·20 | —·50 |
| **Płomieńczyk Iwo (M. Wolska).** Dziewczęta. Nowele | 3·— | 1·20 |
| **Podlasiak.** Co nam przyniosły rady rolnicze Wittego 1902/3 . . . . . . . . . . . . . . . . | 1·— | —·40 |
| **Popławska F.** Dwie mogiły. Powieść . . . . . . | 3·— | 1·20 |
| **Popławski J. I.** Życie T. T. Jeża . . . . . . . . . | —·50 | —·20 |
| **Potocki A.** Dzień Powszedni. Nowele . . . . | 2·60 | 1·15 |
| — St. Wyspiański . . . . . . . . . . . . . . | 3·— | 1·20 |
| — M. Konopnicka . . . . . . . . . . . . . . . | 1·50 | —·60 |
| — Szkice i wrażenia . . . . . . . . . . . . . | 4·— | 2·— |
| — Wychowawcze zadania ogółu . . . . . . . . | 3·50 | 1·40 |
| **Potocki J. K.** Współzawodnictwo i współdziałanie. Wydanie nowe . . . . . . . . . . . . . . | 5·— | 2·— |
| **Przybyszewski S.** Androgyne . . . . . . . . . . | 4·— | 2·25 |
| **Przygodny.** Warszawa współczesna (na wyczerpaniu) | 1·50 | —·60 |
| **Radzikowski St. El.** Styl zakopiański . . . . . . . | 3·— | 1·30 |
| **Rakowski K.** Powstanie poznańskie w 1848 roku | 6·— | 2·40 |
| **Rydel-Dębicki.** Bajka o Kasi i królewiczu . . . . | 4·— | 1·80 |
| **Sewer.** Na pobojowisku . . . . . . . . . . . . . | 4·40 | 1·80 |
| **Skałkowski A. M.** O cześć imienia polskiego . . . | 6·— | 2·40 |
| **Ślepowron A.** Echa z nad Niemna . . . . . . . . | 1·50 | —·60 |
| **Smrek J.** Nad Lemanem . . . . . . . . . . . . | 2·40 | 1·— |
| **Srokowski K.** Likwidacya caratu . . . . . . . . . | 3·— | —·— |
| **Studnicki W.** Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne w Szwajcaryi . . . . . . . . . | 2·40 | 1·20 |
| — Od socyalizmu do nacyonalizmu . . . . . | 5·— | 2·— |
| **Świderska A.** Trudno inaczej . . . . . . . . . . | 2·— | —·80 |
| **Wasilewski Z.** Nowy Konrad . . . . . . . . . . | 1·20 | —·50 |
| — Listy dziennikarza w sprawach kultury narodowej . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 3·60 | 1·50 |
| — Śladami Mickiewicza . . . . . . . . . . . . | 3·60 | 1·50 |
| — Od romantyków do Kasprowicza . . . . . . | 5·50 | 2·20 |
| — O sztuce i człowieku wiecznym . . . . . . | 3·— | 1·20 |
| — Z życia poety romantycznego . . . . . . . | 3·— | 1·20 |
| **Żuławski J.** Prolegomena . . . . . . . . . . . . | 3·— | 1·35 |
| — Na srebrnym globie . . . . . . . . . . . . | 5·— | 2·— |
| — Gra . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 4·— | 1·80 |
| — Gród słońca . . . . . . . . . . . . . . . . | 4·— | 1·80 |
| — Koniec Mesyasza . . . . . . . . . . . . . . | 4·— | 1·80 |